

Nie istnieje groźniejszy wróg, niż zdradzona
i porzucona kobieta.
Zwłaszcza taka, która nie ma już niczego do stracenia...

TO, CO NIE NASZE



SONIA ROSA

SONIA ROSA

**TO, CO
NIE
NASZE**

FILIA

To okropny grzech, myśleć, że wszystko się należy.
Hanna Krall, *Sublokatorka. Okna*

CZEŚĆ PIERWSZA – ONI ZROZUMIEJĄ

1
IZABELA

Osiemnasty kwietnia, moje trzydzieste szóste urodziny. Wstaję wcześnie, na długo przed mężem, i samotnie schodzę na parter.

To mój dzień i moje święto, ale w tej chwili nie myślę o sobie. Za niecałe dwa miesiące piętnaście lat skończy Iga, nasza córka. Gdziekolwiek teraz jest, z kimkolwiek będzie obchodzić ten piękny moment...

Na wspomnienie Igi czuję wzbierające pod powiekami łzy. Zaginęła ponad trzy i pół roku temu, bez wieści. Dosłownie jakby zapadła się pod ziemię. Trzy przecznice – tyle miała do przejścia. Był słoneczny wrześniowy dzień, kilka minut przed czternastą. Chciała odebrać od koleżanki z klasy zeszyty i pobujać się w jej ogrodzie na zamontowanej kilka dni wcześniej huśtawce. Nigdy jednak do Karoliny nie dotarła. Rozpłynęła się w powietrzu gdzieś pomiędzy parkiem a niewielkim skwerem na obrzeżach naszego miasta. Była dziewczynka, nie ma dziewczynki...

– Cześć. – Robert zjawia się w kuchni, kiedy wstawiam wodę na kawę. – Wszystkiego najlepszego – mruczy, ale nie wykonuje żadnego czułego gestu, nawet nie całuje mnie w policzek, przez co czuję się, jakbym dostała właśnie życzenia od sąsiada, a nie od męża.

– Dzięki – rzucam tylko, bo jego słowa brzmią niemal śmiesznie.

„Wszystkiego najlepszego”, poważnie? Zaginęła nasza córka! Co mogłoby w ogóle sprawić, żebym jeszcze kiedykolwiek była szczęśliwa?!

– Dla ciebie. – Mąż otwiera jedną z kuchennych szuflad, z której wyciąga opakowany w srebrno- -różowy papier prezent.

– Co to jest? – pytam zmęczonym głosem, bo, prawdę mówiąc, nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam w nastroju do świętowania.

Moje trzydzieste piąte urodziny spędziłam u przyjaciółki, wypłakując się jej nad flaszką wódki, trzydzieste czwarte w tanim hotelu w Grecji, dokąd poleciliśmy z Robertem na kilka dni, łudząc się, że chociaż na chwilę uda się nam zapomnieć – o błoga naiwności, a trzydziestych trzecich nawet nie pamiętam...

– Nie otworzysz? – Pytanie męża przywraca mnie rzeczywistości.

– Co to jest? – powtarzam, kiedy z ozdobnego pudełka wydaję pęk kluczy.

– Kupiłem nam domek w okolicach Ostródy.

– Nie pytając mnie o zdanie? – Nie dowierzam, że mógł zrobić coś takiego. – Stać nas na to?

– Najwidoczniej tak, skoro zostałem jego właścicielem. – Robert od razu się obrusza, bo nie lubi rozmów o pieniądzach, irytują go, chociaż jest księgowym.

– A co będziemy robić w okolicach Ostródy? – pytam bez większego entuzjazmu, przyglądając się kluczom, które mąż wpiął w metalową zawieszkę w kształcie rakiety.

Mieszkamy w Olsztynku, więc to w miarę blisko, ale nie widzę sensu wywalania kasy na własną nieruchomość, która przez większą część roku będzie stała pusta. Rozważam wszystkie „przeciw”, podczas gdy stojący obok Robert wygląda tak, jakby tylko czekał na entuzjastyczne podziękowanie. Cóż, nie zamierzam się rozplątać się w zachwytach.

– Nie wiem... łowić ryby, pływać kajakiem, pić? – odpowiada mi, lekko urażony. Zdążył się już chyba zorientować, że prezent nie wzbudził we mnie szczególnej radości.

– Ostatnia opcja wydaje mi się najbardziej prawdopodobna – rzucam lekko złośliwym tonem. – W dwie pozostałe bardzo wątpię.

– Czemu? Co jest aż tak nieprawdopodobnego w tym, że kiedyś zabiorę cię na kajaki? – obrusza się Robert.

– To, że nigdy wcześniej tego nie robiliśmy? – mruczę, sięgając po ulubiony kubek z kwiatowym motywem. – Chcesz kawy?

– Później. Idę pod prysznic. – Mąż kończy dyskusję i naburmuszony wychodzi z kuchni.

Wiem, że wróci po jakimś kwadransie, ubrany w odprasowaną prążkowaną koszulę (kilka lat temu upatrzył sobie filmowy styl finansisty z Wall Street, któremu do dziś pozostaje wierny), eleganckie spodnie i jedwabny krawat. Jego policzki będą gładko ogolone, a ciemne włosy zaczesane do tyłu, na żel. Od jakiegoś czasu ma spore zakola, ale wciąż je uwydatnia, zaczesując włosy, co czasem mnie irytuje, a czasem wyłącznie śmieszy. Wiem jednak, że zawsze bardzo nadwrażliwie reagował na wszelkie moje uwagi dotyczące jego wyglądu czy stylu, więc dawno temu przestałam cokolwiek komentować.

– Domek w okolicach Ostródy – mówię do siebie, podrzucając klucze na dłoni. – Dobra, może i jest to jakaś opcja? – dodaję.

Ostatnio często gadam do siebie, zwłaszcza kiedy jestem sama w domu. Wydaje mi się, że znajomy dźwięk mojego głosu pomoże mi się uporać z osaczającą mnie, wszechobecną samotnością.

Odkładałam klucze od nowego domu na stół, wyrzucam do przepelnionego kosza na śmieci strzępy podartego papieru pakunkowego, później wypijam kawę i zapatrzona w spływające po okiennej szybie strugi wiosennego deszczu myślę o Idze. Nasza mała dziewczynka, obecnie już prawie kobieta... Gdzie jesteś, kochanie? Kto mi ciebie zabrał, pozostawiając tę rozdzierającą, nieskończoną pustkę w sercu i życiu?

Pamiętam każdy pieg na jej nosku, rumiankowy zapach świeżo umytych ciemnoblonde włosów, zielone cętki w piwnych oczach i radosny, perlisty śmiech, który latami rozbrzmiewał w naszym domu. Bez niej to tylko dach nad głową, nic nieznacząca skorupa... Odkąd przepadła, wszystko straciło sens.

Robert trzyma się chyba lepiej ode mnie, chociaż i jemu zdarzają się epizodyczne załamania. Pije wtedy przez kilka dni, zawala pracę, stacza się. Później wraca do formy, przez kilka miesięcy żyje jak robot, z dnia na dzień, starając się udawać przed światem, że wszystko jest w porządku, że jakoś sobie radzi, a następnie znowu się rozpada... Ostatnio dopadło go zimą – końcem stycznia wylądował w szpitalu z objawami zatrucia alkoholem, później rozpoczął terapię, ale szybko ją sobie odpuścił, a ja nie naciskałam, żeby kontynuował. Nie wierzę

w terapeutów, psychiatrów i całą resztę – uważam, że nawet najlepszy specjalista nie jest w stanie ukoić naszego bólu. Tylko ktoś, kto przeżył to, co my, byłby w stanie zrozumieć...

– Iza! Podasz mi czysty ręcznik? – Mąż wydziera się z łazienki, a ja podskakuję, wyrwana z zamyślenia.

– Przestraszyłeś mnie – mówię cicho, choć wiem, że pewnie tego nie usłyszy.

Później wyjmuję z dużej drewnianej komody w przedpokoju dwa frotowe ręczniki kąpielowe i niosę je do łazienki.

Robert stoi nagi przed lustrem, wklepując w policzki krem po gołeniu. Mimo swoich trzydziestu ośmiu lat ma ciało młodego chłopaka – szczupłe, ładnie umięśnione, zadbane. Woda ścieka z jego pośladków, ud i kształtnych łydek, kapie z końcówek ciemnych włosów, moczy kafełki pod jego bosymi stopami. Jestem zaskoczona, że mam ochotę się do niego przytulić. Bo przecież my od dawna się nie przytulamy, nie kochamy, nie dodajemy sobie otuchy intymną bliskością. Najwyżej co jakiś czas poklepujemy po plecach czy ramionach jak starzy kumple. Niemal obcy ludzie w domu, który przestał być prawdziwym domem, myślę i czuję, że znowu chce mi się płakać...

– Dzięki. – Robert bierze ode mnie jeden z ręczników i zaczyna się wycierać.

– Wytrzymaj po sobie podłogę – proszę go przed wyjściem z łazienki.

– Poznałem kogoś ciekawego – mówi mąż, a ja przystaję w progu.

– W sensie?

– Parę, taką jak my. Ich ośmioletnia córeczka zaginęła niecałe dwa lata temu, podczas szkolnej wycieczki do Trójmiasta. Na pewno kojarzysz, sprawa była bardzo nagłośniona przez media, a nauczycielom postawiono zarzuty.

– Amelia z Iławy. Osiem lat, zaginiona na początku czerwca w Gdyni Oksywiu, prawdopodobnie zwabiona bądź siłą wciągnięta do samochodu na niewielkim parkingu w okolicach plaży. Wokół pełno ludzi, jasny słoneczny dzień i nikt nic nie widział – recytuję, bo przecież krajowe sprawy zaginionych dzieci mam w małym palcu, od paru lat

śledzę je regularnie, przeglądam sieć, przeszukuję najprzeróżniejsze fora internetowe. Ciągłe nie umiem porzucić tematu, chociaż wiem, że w pewien sposób mnie to zabija.

– Tak, Amelia.

– Gdzie ich poznałeś? – pytam zmęczonym głosem, a mąż, swoim zwyczajem, ciska mokry ręcznik na podłogę i sięga po grzebień.

– W sieci, a gdzieżby? Przecież nie w OBI – wysila się na sarkazm. – To fajna para, bardzo sympatyczna. Oboje chcieliby się z nami spotkać.

– Ale może ja nie chcę? Zapytałeś mnie o zdanie? – parskam, poirytowana tym, że zawiera tego typu znajomości za moimi plecami.

– Czemu miałabyś nie chcieć, Iza? To ludzie, którzy przeszli przez to samo, co my. Ich córka przepadła bez wieści, podobnie jak nasza. Mogą nas pocieszać znajomi i sąsiedzi, może razem z nami płakać rodzina, ale tylko tacy, jak oni, naprawdę nas zrozumieją. Przechodzą przez to samo, dokładnie teraz.

– I co, będziemy razem szlochać nad flaszką wyborowej?! – podnoszę głos.

– Pogadajmy, poznajmy ich. Daria jest przedszkolanką. To znaczy, była, bo od zaginięcia Amelii nie pracuje. Wojtek to budowlaniec, równy facet. Mają wolny weekend i pomyślałem o domku.

– Domku pod Ostródą?

– Właśnie.

– Żartujesz, Robert?! Jeszcze nawet go nie widziałam, a ty, za moimi plecami, zaprosiłeś tam dwójkę obcych ludzi? – naskakuję na niego.

– Może teraz są obcy, ale z czasem uda się nam zaprzyjaźnić? Nie możemy do końca życia tkwić tu, w tym domu, czekając na dzwonek do drzwi i powrót naszej córki. Ona może nigdy nie wrócić, Iza, rozumiesz? Musisz się pogodzić z myślą, że Iga...

– Zamknij się! Po prostu się zamknij! – krzyczę histerycznie, bo każda sugestia, że nasza córka może nigdy się nie odnaleźć, doprowadza mnie dosłownie na skraj obłądu.

– Taka jest prawda – mówi cicho Robert.

Później poklepuje mnie po ramieniu i sugeruje, żebym wzięła prysznic, zanim umyje zachlapaną podłogę.

– Chcę mieć jeszcze jedno dziecko – odzywam się w momencie, w którym mąż prawie opuścił łazienkę.

Moje słowa zatrzymują go w progu, unieruchamiają, na jego gładko ogolonej twarzy pojawia się brzydki grymas bólu. A może to złość?

– Rozmawialiśmy o tym tyle razy – cedzi. – Nie przejdę przez to wszystko raz jeszcze, nie mam na to ochoty! Na rodzicielską odpowiedzialność, która na gównu się przydaje w zderzeniu z podłością losu, na ten ciągły strach, niepewność, czujność, nieprzespane noce. Nie, Iza. Nie będziemy mieć drugiego dziecka, bo nie potrafiliśmy upilnować pierwszego! – rzuca mi prosto w twarz, a ja przez chwilę czuję się jak najgorsza matka na świecie.

– Więc to moja wina, tak? Znowu zmierzamy do tego?! Bo ja byłam wtedy w domu, ja pozwoliłam jej wyjść do Karolinki, ja...

– To nie twoja wina – rzuca Robert, ale w jego głosie słyszę jakiś fałsz.

Oczywiście, że mnie obwinia. Wiem to od początku. To dlatego przestał ze mną sypiać, nie potrafi nawet mnie dotknąć, myślę ze łzami w oczach, zastanawiając się, jakim my w ogóle jesteśmy małżeństwem? Na papierze, przed ludźmi? Bo w domu już na pewno nie, a z całą pewnością nie w sypialni. Ostatnio kochaliśmy się ponad dziesięć miesięcy temu, po imprezie, z której oboje wróciliśmy pijani. Wcześniej również mieliśmy dłuższą przerwę, zupełnie jakby seks przestał nam być niezbędny do życia. Przynajmniej Robertowi, bo ja wciąż za nim tęsknię.

– Nie twoja wina, Iza – powtarza nieco bardziej przekonującym tonem, ale przecież ja swoje wiem.

– Dobrze, spotkajmy się z tymi ludźmi – zgadzam się nagle, nie mając pojęcia, jak brzemienne w skutki okaże się nasza znajomość z Darią i Wojciechem.

– Świetnie. Ten weekend, w naszym nowym domku. I proszę, nie wracaj więcej do tematu drugiego dziecka. Nie chcę zostawać ojcem po

raz kolejny i mam dość tłumaczenia ci dlaczego. Mam, kurwa, dość tego tematu, Iza! – Robert podnosi głos, co rzadko mu się zdarza. Po chwili mnie przeprosza i wychodzi z łazienki.

Biorę więc prysznic, wycieram się i myję podłogę, bo przecież nie będę wołać męża tylko po to, żeby przejechał kafelki mopem. Następnie układam włosy, w sypialni wkładam jedną z ulubionych granatowych sukienek i wychodzę do pracy.

Jestem fryzjerką, od lat zatrudnioną w salonie Yasmin w centrum miasta. To dobre zajęcie, zwłaszcza dla kogoś w mojej sytuacji. Pozwala zająć czymś ręce i oderwać myśli od koszmarnych wspomnień. Klientki na okrągło paplają, w tle gra radio, a Kuba, jeden z młodych fryzjerów, zawsze potrafi mnie czymś rozbawić. To dobra praca dla matki, której jedenastoletnia córka dosłownie rozplynęła się w powietrzu. Dzięki temu zajęciu mam jeszcze siłę wstawać rano z łóżka i udaje mi się jakoś dociągać do wieczora. To ono trzyma mnie przy życiu. Bo tylko tyle mi zostało – mycie i farbowanie głów oraz udawanie żony faceta, który już nawet ze mną nie sypia.

2

DARIA

W kuchni pachnie świeżym chlebem – mój tato, właściciel sieci piekarni, podrzucił mi po drodze do dentysty trochę wypieków, w tym mój ulubiony razowiec ze słonecznikiem. Ojciec doskonale wie, że od jakiegoś czasu staram się ograniczać węglowodany, a już na pewno unikam pieczywa. Podejrzewam, że zwozi do nas wszystkie te pachnące wiejskie bochny z chrupiącymi skórkami, chałki i razowce, żeby przy okazji sprawdzić, jak się trzymam. Załamanie nerwowe – termin krąży po rodzinie, oblepił mnie, na dobre do mnie przylgnął. Tak, chciałam się zabić. Jakiś czas temu, w pierwszą rocznicę zaginięcia naszej córki Amelii, ale przecież już ze mną lepiej, staram się pokonać przygnębienie, zażywam przepisane mi leki, składam się do kupy, sklejam tysiące rozbitych kawałków.

– Poradzisz sobie, córeczko? – pyta mnie tata, zanim wychodzi.

Widzę, że przyciął włosy i jest lekko opalony, w weekend musiał skoczyć na ryby, co zawsze lubił, odkąd pamiętam.

– Tak. – Uśmiecham się blado, chociaż, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak przetrwam kolejny dzień, miesiąc i rok...

Rzuciłam pracę i praktycznie całe dni spędzam w domu. Kiedyś byłam przedszkolanką i, zanim zaginęła Amelia, kochałam to zajęcie, ale teraz... Sam widok przyjeżdżających po dzieci szczęśliwych rodziców byłby przecież dla mnie nie do zniesienia.

– Zjedz coś, proszę. Zrobić ci kanapki? Jak byłaś smarkulą, kochałaś chleb z masłem i pomidorem, lekko przyprószony pieprzem. – Tato szeroko się uśmiecha, a wokół jego błękitnych oczu pojawiają się kurze łapki.

Tak bardzo go kocham, myślę. Jego, mamę, męża, całą moją rodzinę, która przecież też straciła Amelię.

Ale to ja jestem jej matką.

Mnie boli najbardziej, ja przez dziewięć miesięcy nosiłam ją pod sercem, żeby później urodzić ją w bólach i to wokół mnie wszyscy chodzą na palcach, chociaż od jej zniknięcia minęły już niemal dwa lata. Ich troskliwość mnie rozczula, sprawia, że każdego dnia udaje mi się wstać z łóżka i przetrwać kolejne godziny. Moja rodzina nie pozwala mi nawet na moment popaść w rozpacz, zwłaszcza rodzice robią wszystko, żeby uczynić moje życie bez Amelii znośniejszym. Ale to nie pomaga... Mimo ich najszczerzej chęci w zestawie wszystkich moich życiowych ról najważniejsza jest ta zrozpaczonej matki, której ośmioletnia córeczka nie wróciła ze szkolnego wyjazdu.

– Muszę już iść. – Tato zamyka mnie w swoich szerokich ramionach i przez krótką chwilę czuję się w jego objęciach tak bezpiecznie, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem.

Ale świat nie jest bezpieczny... Wokół nas polują drapieżcy, wilki w owczych skórkach mogące w każdej chwili zamienić nasze życie w piekło. Bestia, która porwała moją córeczkę, gdzieś sobie teraz żyje. Chodzi po ulicach, robi zakupy w dyskontach o idiotycznych owadziach nazwach, popija piwo, oddycha... Kim jest człowiek, który zabrał mi dziecko? Codziennie zadrezczam się tym pytaniem. Co zrobił mojej dziewczynce, co nadal jej robi? Czy Amelia jest w łapach jakiegoś zwyrodnialca, czy może miała szczęście w nieszczęściu i trafiła do rodziny, która pragnęła mieć dziecko za wszelką cenę, nawet kradnąc je innym rodzicom?

– Gdzie jesteś, maleńka? – szepczę, czując, że zaraz się rozplaczę.

Tym razem to po części również przez tatę. Jego dobroć i troskliwość roztkliwiają mnie i osłabiają. Za każdym razem, kiedy mnie tuli jak dziecko, znowu się rozsypuję. Ale tego mu przecież nie powiem, bo złałabym mu serce. Wiem, że mnie kocha i jestem mu za tę miłość wdzięczna.

Dziękuję mu za pieczywo i proszę, żeby pozdrowił ode mnie mamę, a potem zamykam za ojcem drzwi. Wiem, że mama od rana walczy z silną migreną i powinnam chyba do niej wpaść, zwłaszcza że rodzice mieszkają kilka ulic od naszego domu, ale czuję, że nie zdołam nawet przekroczyć progu, nie dziś.

Po tym, jak zostaję sama, wchodzę do pokoju Amelii, w którym wszystko wygląda tak jak w dniu, kiedy odwieźliśmy ją na stację przed szkolną wycieczką. Ulubiony hipopotam siedzi w fotelu przy oknie, łóżko jest starannie pościelone – poszwa i poduszki w owieczki, w jego nogach ulubiony różowy koc z pomponami. Na biurku szkolne zeszyty, piórnik i kolorowe pisaki, na parapecie bladożółty storczyk, który kupiliśmy dwa tygodnie przed jej zniknięciem. Kwiat wciąż kwitnie, co uznaję za dobry znak. Ona do nas wróci, mówię sobie w duchu, wygładzając dłonią nieistniejące zagniecenia na pościeli.

– Bądź bezpieczna, dziecinko – szepczę. – Gdziekolwiek jesteś, bądź bezpieczna...

W południe do domu wpada Wojtek. Zazwyczaj o tej porze pracuje, bo jego firma remontowo-budowlana ma sporo zleceń, ale tym razem ma czas, żeby przed wyjazdem do kolejnego klienta wziąć prysznic i coś zjeść.

– Odgrzać ci zupę czy wolisz resztkę leczko? – pytam męża, kiedy z wilgotnymi włosami, w świeżo odprasowanej koszulce polo i jasnych spodenkach przed kolano zjawia się w kuchni.

– Ciebie bym schrupał, małeńka – mruczy, przyciągając mnie do siebie, i po chwili jego usta błędzą po mojej szyi.

Nie mam ochoty na seks, ale przecież wiem, jak Wojtek to lubi. Zanim zaginęła Amelia, nasze życie łóżkowe było idealne – kochaliśmy się przy każdej okazji, wszędzie, gdzie się dało, w każdej możliwej pozycji. Zaginięcie naszej córki zablokowało mnie na igraszki, odcięłam się od mojej cielesności, jakbym podświadomie chciała się ukarać za to, co spotkało naszą rodzinę, ale Wojtek wciąż ma na mnie nienasycony wręcz apetyt.

– Chodź! – Ciągnie mnie do salonu, a po drodze obejmuje, tuli, szepcze świństewka.

Kochamy się na sofie, a kiedy mąż dochodzi i po chwili się ze mnie zsuwa, oddycham z ulgą, że nie czuję już na sobie jego ciężaru.

– Będę dziś wcześniej, bo robota nam nie wypaliła. Skoczmy do pubu? Mirek i Olga zapraszają na nas na piwo – mówi, wkładając bokserki.

Jest taki idealny, myślę, przyglądając się jego nagiemu ciału. Wciąż bardzo go kocham i równie mocno pragnę, jednak każde nasze zbliżenie rodzi we mnie ból. Kochając się z nim, myślę o Amelii – być może nasza córka właśnie marznie, jest głodna, spragniona lub wykorzystywana, podczas gdy mąż doprowadza mnie do orgazmu.

– Daria, słyszałaś? Olga i Mirek zapraszają nas na piwo – powtarza.

– Słyszałam – mówię bez cienia entuzjazmu w głosie.

– I oczywiście nie masz ochoty tam iść – domyśla się.

– I tak nie mogę pić na lekach, które biorę. – Wzruszam ramionami.

– To zjesz duże frytki, pośmiejesz się z nami, zaśpiewasz coś.

W piątki w Pijanym Kogucie jest karaoke, kiedyś je lubiłaś.

– Chryste, tylko nie tam. – Krzywię się, kiedy mąż wymienia nazwę pobliskiej knajpy. – Przecież tam będą tłumy...

– Ludzie są wszędzie, Daria. – Wojtek odgarnia mi włosy z czoła i całuje między brwiami, a zaraz później w czubek nosa. – Nie możesz do końca życia przed nimi uciekać – dodaje.

– Gapią się na mnie, nie rozumiesz? – syczę, wytrącona z równowagi jego moralizatorskim tonem. – Dla nich jestem lokalną atrakcją, matką, która, niczym bohaterka jakiegoś amerykańskiego filmu, straciła dziecko w niewyjaśnionych okolicznościach!

– Bzdury wygadujesz! To nasi sąsiedzi, znajomi i przyjaciele!

W czerwcu miną dwa lata, nikt się już na ciebie nie gapi! – Wojciech podnosi głos, również sprawiając wrażenie poirytowanego.

– Okej, mniejsza z tym. Pójdę z tobą na piwo, zjem pieprzone frytki i postaram się zabawić – obiecuję mu dla świętego spokoju.

Ostatnio ciągle mu w czymś ustępuję. To wydaje mi się znacznie prostsze niż ciągle potyczki słowne czy przerzucanie się wzajemnymi oskarżeniami.

Nie chciałam, żeby Amelia jechała wtedy do Trójmiasta. Ledwo wyszła z anginy, bałam się o jej zdrowie, wolałam ją mieć przy sobie, w domu. Ale Wojtek naciskał, mówił, że nad morzem nawdycha się jodu, pozwiedza, opali się. Sprawiał wrażenie ojca, który pragnie jak najlepiej dla jedynej córki, ale przecież wiedziałam, że chciał mieć wolny weekend, czas na sączenie drinków i erotyczny maraton ze mną, bez dziecka za ścianą. Nigdy nie powiedziałam mu tego wprost, ale przecież byłam pewna, że właśnie dlatego tak nalegał na jej wyjazd. Zawsze kochał Amelię, ale, w przeciwieństwie do mnie, nigdy nie miał nic przeciwko pozbyciu się jej na kilka godzin. Chętnie podrzucał ją swojej matce, moim rodzicom, a nawet zaprzyjaźnionym sąsiadom mającym córkę w tym samym wieku, a sam zasiadał przed plazmą i z piwem w dłoni dochodził do siebie po ciężkim tygodniu w pracy, jak to lubił określać. I w końcu udało mu się jej pozbyć. Na dobre, myślę i czuję, że ogarnia mnie wściekłość.

Gdyby tylko wtedy mnie posłuchał...

Gdyby Amelia została z nami w domu...

Gdyby tamten przeklęty dzień nigdy się nie wydarzył...

– Podgrzej mi tę zupę, jeśli możesz – prosi mąż, nieświadomy mętluku ponurych myśli pałętających się po mojej głowie.

Później na dłuższą chwilę znika gdzieś w głębi domu i zostaję sama.

Czekam w kuchni, aż zagrzeje się pomidorówka i przyglądam zawieszonemu na lodówce, namalowanemu kredkami obrazkowi. To ostatni rysunek naszej córki, łąka pełna kolorowych kwiatów, którą Amelia naszkicowała w ostatni wieczór przed swoim wyjazdem. Nad nią słońce, drzewo z rozłożystymi gałęziami i ptaki, w samym rogu obrazka samotny błękitny obłoczek. Wpatruję się w te kwiaty codziennie, sycę wzrok, znam każdą kreskę i pociągnięcie kredki. Wojtek nie znosi tego rysunku, mówi, że to upiorne nadal trzymać go na lodówce. Kłóciliśmy się o to tyle razy, że nie umiem już zliczyć. Upiorne? Upior-

nym byłoby zdjęcie obrazka, myślę i uśmiecham się do namalowanego przez córkę słońca. Była taka niewinna, nietknięta przez okrucieństwo tego świata, czysta. Co ją spotkało? Myślę o tym z chochłą w dłoni i znowu zaczynam płakać, tym razem nad garem zupy.

Wieczorem nie jest ani trochę lepiej.

Mirek to dobry kumpel mojego Wojtka, a jednocześnie jeden z jego dwóch współników. Pracują razem od ośmiu lat i są zżyci niemal jak bracia. Jego panna, Olga, jest głupia jak but, głośna i wulgarna – ma w sobie wszystkie cechy, których dosłownie nie trawię. Wiem jednak, że Wojtek bardzo ceni przyjaźń z Mirkiem, więc staram się być dla niej miła, a przynajmniej jawnie nie okazywać jej niechęci, co też uznaję za mój towarzyski sukces.

– Zajebiste, nie?! – Olga podsuwa mojemu mężowi pod sam nos swoje świeżo zrobione paznokcie z motywem płomieni i macha palcami, chwając się pracą ulubionej manikiurzystki, u której regularnie bywa na kawie, plotach i pazurach, jak to określa.

Przymknij się, pustaku, myślę i przygryzam wargę, żeby nie powiedzieć czegoś złośliwego. Wiem jednak, że trochę przeczę samej sobie – chcę, żeby ludzie dali mi żyć i nie przypominali ciągle tego, co się stało, ale też mam żal, że zachowują się lekko i swobodnie, podczas gdy we mnie nadal wszystko krzyczy, a z bólu chce mi się wyc.

– Są świetne – mówię więc, a Olga, która chyba nie spodziewała się komplementu z mojej strony, posyła mi niepewny uśmiech.

– Prawda? – Mruga do mnie. – Jak się trzymasz? – pyta chwilę później.

Widok kufła piwa w jej dłoni sprawia, że dosłownie w sekundę skacze mi ciśnienie.

– Wybacz, ale nie zamierzam rozmawiać o zaginięciu mojej córki w momencie, w którym ty chlejesz żywca i podjadasz orzeszki – rzucam przez zęby, a ona się zamyka.

– To nie było miłe, Daria – zwraca mi uwagę mój Wojtek tonem, jakim mógłby besztać krnąbrne dziecko. – Olga chciała tylko zapytać, jak się trzymasz, a ty...

– Dobrze, powiem ci, jak się trzymam! Wszystkim wam, kurwa, powiem, jak się trzymam! – wrzeszczę, a później strącam miskę z orzeszkami, wchodzę na masywny drewniany stół, prawie tracąc równowagę w butach na koturnach, i wrzeszczę: – Skoro wszyscy w tym pieprzonym mieście tak cholernie chcą wiedzieć, jak się trzymam, już mówię! Moja córka zaginęła i jest naprawdę strasznie, ale oczywiście świat dalej się kręci, więc chlejmy, pieprzmy się i śmiejmy, do upadłego! Tak, gapcie się! Gapcie się na matkę zaginionego dziecka, żebyście jutro mieli o czym opowiadać w robocie! – drę się, a w lokalu powoli milkną rozmowy i większość gości spogląda już wyłącznie na mnie.

Część z nich mi współczuje. Znają moją historię. Ci ludzie mieszkają przecież gdzieś nieopodal, a w ich oczach widzę litość przemieszana z lekkim zażenowaniem. Inni natomiast mnie nie znają, ale mój wybuch sprawia, że są głodni sensacji, wpatrują się we mnie z zainteresowaniem, są ciekawi dalszego ciągu, który jednak nie następuje.

– Chodź, idziemy do domu. – Wojciech, który przy pomocy Mirka, ściągnął mnie ze stołu, narzuca mi na ramiona swoją ulubioną sportową marynarkę i trzymając mocno za ramiona, wyprowadza z knajpy.

Na zewnątrz jest chłodno, siąpi deszcz. Wzdrygam się z zimna, a mąż prowadzi mnie w stronę bramy i dalej, na pobliski skwerek.

– Stań tutaj, zadzwonię po taryfę – mówi, ale wyjmuję mu z ręki telefon.

– Chcę się przejść. To nie tak znowu daleko.

– Pada, jeśli nie zauważyłaś, i jest jakieś czternaście stopni.

– To nic – zapewniam go. – Po prostu już chodźmy – upieram się i po chwili ręka w rękę idziemy w stronę naszego osiedla.

Wiem, że mu zimno. Po tym, jak oddał mi swoją marynarkę, został w samej koszuli, która momentalnie wilgotnieje od mżawki, ale chyba mam to gdzieś. Wszystko mnie boli – serce, dusza, głowa. Chcę wyć z bezsilności albo na dobre zniknąć.

– Jutro jedziemy pod Ostródę, pamiętasz? – przypomina mi. – Spoktać się z Izą i Robertem, mówiłem ci.

– Pamiętam, czemu miałabym zapomnieć? Nie jestem aż tak pierdolnięta, jak ci się czasem wydaje. Twoja żona wariatka jeszcze kojarzy pewne fakty – rzucam kąśliwie, a Wojtek gniewnie parska.

– Tylko ci przypomniałem, to nic takiego. Ale zrozumieć, jeśli nie będziesz miała ochoty, żeby tam ze mną jechać.

– Ależ jedźmy, czemu nie? – Uśmiecham się krzywo.

Nie wiem, czy jestem sadystką, czy po prostu złym człowiekiem, ale nagle pociesza mnie myśl, że jutro poznam inną kobietę, która przeszła przez podobne piekło. Matkę zaginionej bez wieści dziewczynki, która cierpi tak samo, jak ja. Nie mnie jednej los rozdał takie paskudne karty, myślę i czuję coś na kształt mściwej satysfakcji, ale zaraz później wyrzuty sumienia. Ciekawe, czy się polubimy? Zastanawiam się nad tym. Czy faktycznie połączy nas jakaś nierozzerwalna nić porozumienia, czy może wręcz przeciwnie – mimo podobnych przeżyć okażemy się po prostu czwórką zupełnie obcych ludzi, którzy nie mają zbyt o czym rozmawiać?

3

IZABELA

W sobotę pracuję do czternastej. Wesela, imieniny i inne rodzinne okazje – głów chętnych do farbowania i strzyżenia nie brakuje, zwłaszcza w wiosenny weekend, kiedy, dzięki słońcu i wyraźnej poprawie pogody, ludzie zaczynają się otrząsać z zimowego marazmu i radośnie wracać do życia towarzyskiego.

Pierwszej klientki nie znam. Albo jest nowa w mieście, albo do niedawna chodziła się strzyć zupełnie gdzie indziej. Kiedy siada w fotelu, usiłuję wciągnąć ją w rozmowę, ale szybko zdaję sobie sprawę, że młoda blondynka nie ma ochoty na pogawędkę. Milknę więc i delikatnie nakładam na jej włosy mieszankę farby.

Dopiero, kiedy ją modeluję, pyta, czy może zapisać do nas swoją siostrę, a później znowu milknie, zajęta swoim telefonem. Na jej palcu widzę wąską ślubną obrączkę, na szyi wisiorek ze złotą zawieszka w kształcie serca i przez chwilę się zastanawiam, jak bardzo idealne jest jej życie. Wygląda na pewną siebie, szczęśliwą i kochaną – są ludzie roztaczający wokół tego typu aureę, a ja rozpoznaję ich bez trudu, zresztą to akurat proste – emanują szczęściem, promienieją, każdy ich gest zdaje się współgrać z chęcią cieszenia się każdym dniem. Zazdroszczę jej. Młodości, tego, co jeszcze przed nią, nieskomplikowanego życia. Bo takie właśnie chyba jest – nieskomplikowane. Ale może to tylko pozory? Zastanawiam się nad tym, wyciągając na szczotce kolejne pasmo jej długich jasnobłond włosów.

Żegnamy się szybko i raczej oficjalnie.

– Dziękuję bardzo – mówi tylko blondynka i nie zostawiając mi napiwku, wychodzi z salonu, z telefonem przy uchu.

Kolejna zjawia się Elżbieta Dobrowolska, jedna z największych plotkar w okolicy, zbliżająca się do sześćdziesiątki matka dwóch dorosłych synów, z których od kilku lat jeden jest w zakonie, a drugi w wojsku.

– Jak zwykle, pani Elu? – pytam, pewna, że Dobrowolska zażyczy sobie podcięcia końcówek i zrobienia odrostu, ale tym razem klientka mnie zaskakuje.

– No właśnie nie – mówi. – Inaczej jakoś bym chciała – dodaje, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze, ale nie potrafi sprecyzować, o co tak właściwie jej chodzi. – Niechże pani coś zaproponuje, pani Izo kochana – odzywa się, wyraźnie właśnie we mnie pokładając wielkie nadzieje na spodziewaną metamorfozę.

Wsuwam palce w jej cienkie, sięgające ramion, proste włosy, które od lat farbuje na platynowy blond, chcąc ukryć niewielką siwiznę srebrzącą się gdzieniegdzie w jej odroście, a później uśmiecham się na widok jej dużych, orzechowych oczu w ciemnej oprawie i proponuję przejście na rudy.

– Co też pani, pani Izo? – Słyszając to, Dobrowolska aż się wzdryga. – Te rude to wredne przecież jakieś, fałszywe. – Krzywi się. – Pomijając panią, pani Izuniu kochana – dodaje, zorientowawszy się, jaką właśnie palnęła gafę.

– Moja dziewczyna jest ruda – wtrąca pracujący przy stanowisku obok Kuba, masując jednocześnie głowę leżącej w fotelu klientce. – I nie jest wredna. To znaczy czasem bywa, ale z całą pewnością nie jest wredniejsza od blondyny, z którą byłem przed nią – dodaje i kilka obecnych w salonie osób parska śmiechem.

– No, skoro pana dziewczyna jest ruda, panie Kubusiu kochany, to może ja też spróbuję. – Dobrowolska szybko zmienia zdanie i prosi o nowy odcień. – Ale nie na jakąś marchewkę? – zastrzega jeszcze, a ja pochylam się nad nią i mówię:

– Będzie pani zachwycona.

I faktycznie, niecałą godzinę później Dobrowolska przygląda się sobie z zachwytem w oczach, nie potrafiąc oderwać wzroku od lustra, przed którym siedzi. Na głowie ma jasny odcień, elegancki, stonowany.

Nowy kolor podkreśla jej orzechowe oczy i pięknie współgra z szafirowo-zieloną sukienką, którą ma na sobie.

– Pani Elu, petarda! – Kuba puszcza do niej oczko i Dobrowolska dosłownie się rozpromienia.

– Ja też jestem zachwycona – zapewniam ją, a ona kręci głową na boki, delikatnie przeczesuje włosy palcami i w końcu wstaje, by mnie uściskać.

Nie lubię tego, że niektóre klientki czują potrzebę tak wylewnych powitań i pożegnań, ale wiem, że czasem w życiu trzeba poudawać. Pozwalam się więc objąć, starając nie myśleć o tym, jak przeraźliwie Dobrowolska cuchnie potem, a później proponuję jej zdjęcie.

Mamy w salonie kącik VIP, jak żartobliwie nazywamy ustawiony przy recepcji pikowany butelkowitzony fotel z wysokim zagłówkiem, który w towarzystwie lustra w złożonych ramach, palmy w dekoracyjnej donicy i pomalowanej na lawendowo komódki z fikuśnie wygiętymi nogami stanowi estetyczne tło dla tych klientek, które chcą sobie zrobić zdjęcie w nowej fryzurze.

Dobrowolska nigdy wcześniej tego nie robiła i wyraźnie się waha.

– Gdzie taka stara baba do zdjęcia? Modelka ze mnie żadna – mamrocze, ale kiedy Kuba podchodzi do niej z komórką w ręku, daje się namówić i rozsiada się w fotelu.

– A chciałem być kiedyś fotografem – mruga do niej Kuba. – I wygląda, że trochę jestem – dodaje i prosi, żeby lekko przechyliła głowę. – Cudnie, o to chodzi, pani Elu! Zdjęcie zaraz pani wyślę, będzie pa-miątka.

– Pokaż mi je – proszę go, a on wyciąga wytatuowane przedramię i podsuwa mi pod nos swoją komórkę.

– Petarda, nie? – mówi.

– Jest ogień – przyznaję.

– Pani Elu, da mi pani swój numer? Wyślę od razu. Bez obaw, nie będę pani zasypywał sprośnymi esemesami, mam dziewczynę – zwraca się do rozpromienionej Dobrowolskiej, a klientka, zalana potokiem komplementów, dosłownie się rozplęwa.

Jakub jest prawdziwym skarbem, myślę. Potrafi dowartościować kobietę w każdym wieku i w dużej mierze to dzięki niemu mamy w salonie taki duży ruch. Jest też cwany i sprytny, a jego komplementy nie zawsze są szczerze. Czasem trochę mnie to irytuje, ale przecież... Dla dobra biznesu wszystko.

– Elżbieta Potem Zajeżdżająca wyszła, wietrzymy! – rzuca Jakub i, gdy tylko za Dobrowolską zamykają się drzwi, otwiera na oścież wszystkie okna w salonie i psika wokół przyniesionym z łazienki cytrusowym odświeżaczem powietrza. – Ta baba cuchnie gorzej niż mój świętej pamięci wujek Gienek, który latami miał ksywę Skunks, niech mu ziemia lekka będzie – dodaje, wachlując się trzymanym w dłoni katalogiem z fryzurami.

– Fałszywiec z ciebie, Kubusiu – śmieje się siedząca w recepcji Jowita, a on obojętnie wzrusza ramionami.

– Czemu? Byłem dla niej miły, bo to miła kobieta. Nie widzę jednak przyczyny, dla której szczerze nie miałbym teraz przyznać, że baba po prostu śmierdzi. No przecież nos urywa, same czujecie – mruczy Kuba, spryskując odświeżaczem fotel, na którym przed momentem siedziała Dobrowolska.

– Może już wystarczy? Udusisz nas – rzucam, a on przewraca oczyma.

– Nie moja wina, że Elżbieta Potem Zajeżdżająca... – Jakub przerywa w pół zdania na widok wyłaniającej się z pokoju do masażu klientki i posyła jej szeroki uśmiech. – W tej długości wygląda pani jak nastolatka, pani Agnieszko – komplementuje ją, chociaż ta musiała już przekroczyć pięćdziesiątkę i bardziej niż nastolatkę na moje oko przypomina buldoga.

Uśmiecham się pod nosem i wracam, by posprzątać wokół mojego stanowiska, zanim pojawi się kolejna klientka.

Następna jest Hanka Zajączkowska z mojej ulicy. Kiedyś chodziłyśmy razem do podstawówki, przez jakiś czas siedziałyśmy nawet w jednej ławce, a odkąd zostałam fryzjerką, jest mi wierna i zawsze strzyże się u mnie.

– Hej, kochana. – Dawna szkolna koleżanka wita mnie wylewnie i wręcza mi pudełko nadziewanych ajerkoniakowym likierem czekoladek. – Na smuteczki – dodaje balsamicznym głosem, który moduluje tak sztucznie, jak niektórzy księża na kazaniach, a później rozsiada się w fotelu i pyta, czy trzeba już podcinać końcówki.

– Mogę je podciąć, ale nic się nie stanie, gdy przetrzymamy je jeszcze kilka tygodni – mówię, a ona pyta, czy wiadomo coś w sprawie Igi. – Policja coś wam w ogóle mówi? Są jakieś nowe tropy? – szepcze i ledwo ją słyszę po tym, jak Kuba włączył suszarkę.

Nie chcę rozmawiać o mojej córce i nie znoszę klientek, które, niby przypadkiem, podejmują temat jej zaginięcia. Najchętniej ostrym tonem odpowiedziałabym, że to nie jej sprawa, ale nie zamierzam przecież zrazić do siebie Hanki, która – jak by nie było – jest od lat moją wierną klientką.

Mówię więc, że niestety nic nie wiadomo, a później celowo szarpnię ją za włosy, udając, że to przypadkiem, i wylewnie ją przeproszam. Cóż, najwidoczniej nie tylko Kuba bywa fałszywy, uśmiecham się pod nosem, kiedy Hanka z opuszczoną głową grzebie w torebce w poszukiwaniu dzwoniącego telefonu.

Po pracy idę do wróżki. W domu mam być przed szesnastą, jedziemy z Robertem pod Ostródę, ale nie chcę odwoływać spotkania, na które umówiłam się miesiąc wcześniej i punktualnie o czternastej trzydziści pukam do drzwi madame Izydy. Kobieta przyjmuje w jednej z kamienic w centrum, kilka przecznic od naszego salonu. Znam większość wrózek i jasnowidzów z naszej okolicy i nie tylko, ale u niej nigdy nie byłam.

Wygląda zwyczajnie – szczupła szatynka koło czterdziestki, jasne oczy, krótko przycięte i nawet niemuśnięte lakierem paznokcie, ładna cera – madame Izyda nie ma w sobie nic z filmowych wrózek, które zazwyczaj noszą cygańskie kiecki, mocno się malują i pobrzękują zdobięcymi przeguby bransoletkami.

– Proszę, niech pani wejdzie – mówi, kiedy otwiera mi drzwi.

Jej mieszkanie też wygląda zwyczajnie, w niczym nie przypomina widywanych w filmach salonów, w których przyjmują wróżki. Tu jest jasno, czysto i nijako, króluje Ikea oraz Jysk, a w oknach zamiast ciężkich aksamitnych zasłon są na wpół opuszczone rolety.

Kiedy siadam naprzeciwko niej, a ona rozkłada karty, czuję pęczniącą gdzieś we mnie niepokój. Powinnam natychmiast przestać odwiedzać tego typu ludzi, którzy i tak nigdy w żaden konkretny sposób mi nie pomogli, myślę, ale pokusa jest silniejsza.

Wiem, że ludzkość od zarania dziejów szuka pomocy u wróżbitów. Wróży się z wosku, dłoni, badając ludzkie i rybnie wnętrzości, patrzy się w dym, śledzi ruchy węży, odczytuje przyszłość, obserwując ogień, a nawet nasłuchując szczekania psa. Istnieje pseudonauka zwana rumpologią, którą można by określić jako wróżenie z pośladków. Znana ponoć w starożytnych Babilonie, Indiach i Grecji łączyła kształt pupy z odpowiednimi cechami ludzkimi, takimi jak próżność, cierpliwość czy optymizm. Pewna Amerykanka twierdzi, że przewidziała wynik wyborów, wróżąc z zadków swoich dobermanów. Zawsze, kiedy o tym myślę, czuję się nieco mniej szalona, siedząc naprzeciwko kogoś takiego jak madame Izyda.

– Karty mówią mi, że osoba, której szukasz, żyje – odzywa się nagle, a ja zaciskam dłonie w pięści i przygryzam wargę, żeby nie krzyknąć z bezsilności.

– To gdzie jest?! Gdzie jest moja córka?! – pytam ostro, zaczepnie, a wróżka rozkłada ręce.

– Widzę tylko, że jej zaginięcie ma związek z mężczyzną, który może ją przetrzymuje. To zły człowiek, w Tarocie reprezentuje go karta Diabła.

– Czy Iga się odnajdzie? – pytam, a wróżka wpatruje się w karty i mówi, że nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

– To za co ja płacę?! – Zrywam się z krzesła i, wzburzona, wybiegam z jej salonu.

W korytarzu prawie wpadam na wielkiego czarnego kota, który, przeraźliwie miaucząc, czmycha mi spod nóg. Szarpię za klamkę i wy-

biegam na ciemną, ponurą klatkę starej kamienicy.

To jakiś żart?! Przetrzymuje ją mężczyzna? Też mi odkrycie! Tyle to ja sama wiem, myślę. Kobiety raczej nie uprowadzają jedenastoletnich dziewczynek. Nagle zaczynam płakać. Siadam na schodach, ukrywam twarz w dłoniach i szlocham tak rozpaczliwie, że z trudem łapię powietrze.

Moja córeczka... Kim jesteś, bydlaku, który mi ją zabrałeś? Zalewajm się łzami na cuchnącej gotowanej kapustą ciemnej klatce schodowej.

Kiedy w końcu uspokajam się na tyle, żeby wstać, wytrzeć oczy i zejść na parter, zdaję sobie sprawę, że nie zapłaciłam za wizytę i robi mi się głupio. To przecież nie jest wina tej kobiety, że niczego konkretnego nie zobaczyła. Czasem karty nie chcą podobno przemówić, tak chyba gdzieś czytałam.

Wracam więc na górę, pukam do jej drzwi, a kiedy otwiera, nalegam, że zapłacę, ale madame Izyda nie chce moich pieniędzy.

– W niczym pani nie pomogłam, a pani z kolei nie zajęła mi wiele czasu – mówi.

Chowam więc pieniądze z powrotem do torebki i schodzę na dół.

Robert dzwoni, kiedy pieszo idę przez park.

– Kupisz coś do jedzenia? – pyta.

– Jest jeszcze leczo, zjedz je – mówię, świetnie wiedząc, że sama w najbliższym czasie nie zdołam niczego przełknąć.

– Nie ma już, zjadłem je w nocy – przyznaje.

– Ile razy cię prosiłam, żebyś nie plądrował lodówki nocami? – pytam go, ale oczy mi się śmieją.

Myszkowanie w kuchni to cecha, która zawsze mnie w Robercie roztkliwiała. Jest coś uroczego w dorosłym mężczyźnie, który, niczym mały chłopiec, ukradkiem przeszukuje lodówkę i szafki w poszukiwaniu ulubionych smakołyków.

– Kupię krostki – obiecuję więc, bo akurat mijam sklep z garmażerką, a mąż rzuca „dzięki” i dodaje, żebym się pośpieszyła.

Stojąc w kolejce do garmazerii, obserwuję czekające na obsłużenie kobiety. W jednej rozpoznaję klientkę, która kiedyś do nas przychodziła, a później gdzieś przepadła, inne są mi kompletnie obce. Wszystkie wyglądają na mniej lub bardziej zmęczone, są lepiej lub gorzej ubrane i pewnie tyle samo je łączy, co dzieli, ale idę o zakład, że żadna z nich nie przeżywa tego, co ja. Żadnej nie zaginęło dziecko. Statystycznie rzecz biorąc, to raczej niemożliwe.

Może któraś z nich kiedyś poroniła albo straciła dziecko na późniejszym etapie, ale z całą pewnością nikt nie porwał im jedenastoletniej córki. W tym niewielkim sklepie, czekając przy olbrzymich lodówkach z żarciem, tylko ja jestem wybranką podłego losu, kobietą, która straciła wszystko, myślę i nagle czuję, że nie mogę oddychać.

Ze sklepu wybiegam bez krokietów, po prostu nie jestem w stanie dłużej stać w kolejce. Później zachodzę do niewielkich delikatesów, w których kupuję kluski, gotowy sos pesto i kilka drobiazgów na weekend.

Po kwadransie, już w domu, wchodząc do kuchni, zastanawiam się, co teraz robi Daria. Wieczorem ją poznam, dociera do mnie. Matkę, która jest moim lustrzanym odbiciem. Nagle czuję euforię przemieszana ze strachem. Chcę, żeby czas przyspieszył i zwolnił jednocześnie, boję się i chcę już ją zobaczyć.

– Masz z nimi kontakt na Facebooku? – pytam męża, który czeka, aż wrzucę do wrzątku kluski i podam mu je z pesto.

– Z kim? – pyta Robert, nie odrywając wzroku od trzymanego w rękę telefonu.

– Z Darią i Wojciechem, tak trudno się domyślić? – fukam na niego.

– Tak, a co?

– Mogę ich zobaczyć? – pytam, wyjmując jednocześnie z szafki wściekle różowy cedzak, do którego za kilka minut przerzucę gotujące się kluski.

– Jasne. – Mąż wchodzi na Facebooka i jako pierwsze pokazuje mi zdjęcie Darii, na którym, oparta o porośnięty bluszczem ukruszony

kamienny mur, w długiej do połowy łydki zielonej sukience z falbanami, kobieta stoi i nieśmiało uśmiecha się do aparatu.

Ma mniej więcej tyle samo lat, co ja, ale na tym podobieństwa między nami się kończą. Ja jestem ruda i wysoka, po kobiecemu zaokrąglona. Ona drobna, szczuplutka i jakaś taka mysia. Cienkie, ciemno-blond włosy spięte w kitkę, zadarty nosek, smutek w jasnych oczach... Jest niebrzydka, ale sprawia wrażenie przygaszonej i nieśmiałej. Ciekawe, czy zdjęcie zrobiono przed czy po zaginięciu ich córki, zastanawiam się, tymczasem Robert podsuwa mi pod nos fotografię Wojciecha, na którego widok aż uchylam usta ze zdumienia.

Taki przystojny facet z tą szarą myszą? Wow! To chyba jednak prawda, że czasem przeciwieństwa się przyciągają, myślę, chociaż nigdy w to nie wierzyłam, i jednocześnie przyglądam się świetnie zbudowanemu blondynowi z kilkunastowym zarostem, który z nagim torsem, w samych krótkich spodenkach stoi na drabinie z pędzlem w dłoni i szerokim uśmiechem na twarzy.

– Zjem i jedziemy – mówi tymczasem Robert, a ja zdaję sobie sprawę, że przegotowałam kluski i w pośpiechu zdejmuję garnek z kuchenki.

– Mogą być rozgotowane – uprzedzam, a on obojętnie wzrusza ramionami.

– Obojętnie. Przebieraj się, zaraz ruszamy – mruczy, otwierając słoik z pesto.

Gówniana ze mnie żona, myślę. Karmię go kupnym żarciem, jak psa, nie umiem go pocieszyć, nie potrafię sprawić, żeby znowu mnie zapragnął... Ale czy on jest dla mnie dobrym mężem? Pod pewnymi względami również nie najlepszym, dociera do mnie smutna prawda.

Wyjmując z komody dzinsy, zastanawiam się, czy Robertowi podoba się Daria. Po chwili dociera jednak do mnie, że nie ma to żadnego znaczenia. Jedziemy tam poznać ludzi, którzy, jak my, stracili córkę. Nie wybieramy się bynajmniej na spotkanie swingersów, myślę i parskam nerwowym śmiechem. Człowiek ma czasem idiotyczne myśli, nawet będąc w totalnej rozsypce, mówię sobie, w pośpiechu spinając długie,

proste włosy w luźny kok. Pyszniça wziąć nie zdążę. Trudno, kąpałam się rano.

– Jedziemy?! – wrzeszczę.

– Tak! – odkrzykuje Robert.

Boję się tego spotkania, ale to przyjemny, pobudzający strach. Chyba raczej powinnam powiedzieć, że jestem podekscytowana.

DARIA

Dziś poznamy tych ludzi. Od rana kołacze mi się po głowie ta myśl. Niepokoi, ale też pulsuje we mnie jakąś dziwną ekscytacją. Jestem ciekawa obojga, ale szczególnie Izabeli. Ona, podobnie jak ja, jest matką, z której ramion i bezpiecznego domu podstępem i na długo wyrwano ukochane dziecko. Obie nasze córki są jedynaczkami. Po ich zniknięciu nie zostało nam nic... Czasem, kiedy tak myślę, mam wyrzuty sumienia. Jestem przecież mężatką, kocham Wojtka, mam jeszcze jego. A jednak, gdybym mogła odzyskać córkę, wymieniłabym ją za męża bez chwili wahania. Miłość do dziecka jest inna niż do współmałżonka. Silniejsza, bardziej pierwotna, obezwładniająca. Kocham Amelię nawet teraz, w każdej minucie dnia, chociaż nie ma jej przy mnie, nie mogę jej zobaczyć. Myślę o niej, tęsknię, wyję z bólu. Wojtek jest tuż obok, stara się, okazuje mi wsparcie, ale przestało mnie to pocieszać. Wręcz przeciwnie, czasem, w złości, przez jeden krótki moment, wyobrażam sobie, że mąż znika... Chyba chcę go ukarać. Za to, że tak nalegał na wyjazd Amelii do Trójmiasta, nie posłuchał mojej intuicji, uparł się. Gdyby nie pojechała...

– Jak tu pusto – szepczę, rozglądając się po starannie wysprzątanym domu, w którym nie ma nawet kłębka kurzu.

Dostaliśmy go w prezencie ślubnym od moich rodziców. Jest duży, położony na przestronnej zadrzewionej działce i jeszcze do niedawna był moim rajem na ziemi. Tu miałam się przyglądać, jak Amelia rośnie, uczy się do matury, zdaje na studia, przyprowadza pierwszych chłopców. Tu miałam jej pomóc ubrać się do ślubu, objąć ją w dniu, w którym powie mi o swojej pierwszej ciąży, cieszyć się z wnuka. Wiem, daleko wybiegałam w przyszłość, ale taka jest przecież kolej

rzeczy w rodzinach, które mają szczęście podążać szeroką ścieżką pomyslnego losu. Moja rodzina się wykoleiła, a ja nie umiem się z tym pogodzić.

Przedpołudnie spędzam bez większego celu snując się po domu i ogrodzie. Tak właśnie o tym myślę – snucie się. Tu przeciągnę szczotką do kurzu, tam coś przetrę. Podlewam kwiaty, skubię liście, w nieskończoność przestawiam ozdobiące obramowanie kominka ramki ze zdjęciami. Na każdej fotografii jest Amelia. Małeńka, w śpioszkach i znacznie starsza – w żłobku, przedszkolu, naszym ogrodzie. Uśmiecha się. Najpierw uroczo szczerbata i pucułowata, później szczuplejsza, ale ciągle szczęśliwa. Tak, była szczęśliwym dzieckiem. Nie tylko dlatego, że dobrze się nam wiedzie finansowo i nigdy niczego jej nie odmawialiśmy. Ona po prostu taka się urodziła – była otwarta, radośna, ufna i ruchliwa. Kochała zwierzaki, uwielbiała wypadki do lasu, wszędzie było jej pełno i tak łatwo było sprawić jej radość.

Kiedy przypominam sobie naszą ostatnią wyprawę nad morze, zaczynam płakać. Wojtek, w ramach niespodzianki, zabrał nas na jeden dzień do Gdyni i Sopotu, a wspomnienie targanych wiatrem włosów mojej biegającej po plaży córeczki sprawia, że po policzkach spływają mi łzy.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że kilka tygodni później to właśnie Trójmiasto stanie się naszym przekleństwem... Zachwyciłam się zachodem słońca podziwianym z punktu widokowego na Kamiennej Górze, zajadałam frytkami, tańczyłam na gdyńskim bulwarze, wśród przenikliwego pisku latających nad naszymi głowami mew. Amelia trzymała mnie za rękę, chociaż była już na to za duża, zawsze lubiła tak ze mną spacerować. A teraz jej nie ma, a ja nie mogę nawet położyć kwiatów na jej grobie, bo przecież nie wiem, czy nadal żyje, czy może jest martwa.

Czasem chodzę na cmentarz. Spaceruję pośród grobów, szukając nagrobków dzieci. W jakiś sposób pociesza mnie myśl, że los uderzył nie tylko w nas. Może jestem złym człowiekiem, nie wiem. Wiem tylko, że

kiedyś byłam promienną, młodą mężatką, a dziś umiem być wyłącznie pograżoną w niekończącej się żalobie opuszczoną matką.

W południe zmuszam się, żeby pójść do spożywczego. Od zaginięcia Amelii to mąż albo tata przynoszą sprawunki. Mnie, jak dotąd, przerażały wyjścia do sklepów, bałam się ludzkich spojrzeń. Wojtek zaczyna jednak powoli tracić do mnie cierpliwość. „Całe dni spędzasz w domu, beczynnie, podczas gdy ja haruję. Nie mogę jeszcze na okrągło latać po masło i pieprzoną mąkę” – rzucił mi ostatnio w twarz. Zabolalo, ale cóż... Trochę racji ma, wiele na niego spadło, a ja wcale mu nie pomagam. Przyjęłam status świętej krowy, lubię, kiedy to moje cierpienie rodzina podkreśla najbardziej. Bo to przecież ja jestem matką.

W pobliskim sklepie spożywczym jest o tej porze prawie pusto, co przyjmuję z ulgą. W głębi pomieszczenia dostrzegam jedynie szczupłą nastolatkę ze słuchawkami w uszach, której widok sprawia mi ból. Dziewczyna podryguje w rytm muzyki, wybierając jednocześnie chipsy. Ma na sobie krótkie dżinsowe szorty, pod które założyła czarne siatkowe rajstopy, ciężkie czarne buciory z metalowymi okuciami i koszulkę na ramiączkach z trupią czaszką na plecach, spod której wystaje ramiączko stanika w kolorze fuksji. Chyba dostałabym spazmów, gdyby to moja nastoletnia córka kiedykolwiek tak się ubrała, myślę, ale chwilę później dociera do mnie, że przecież to nie miałoby żadnego znaczenia. Amelia mogłaby nosić wszystko, robić, co chce i doprowadzić mnie na skraj obłędu, byle tylko wróciła. Ale ona przepadła...

– Wszystko? – pyta sprzedawczyni, kiedy kładę na taśmie przy kasie opakowanie zbożowych ciastek, dwa jogurty naturalne, kefir i paprykę.

Wojtek zje obiad u klientki, której remontuje taras, a później wyjeżdżamy na weekend pod Ostródę, nie widzę zatem sensu robienia większych zakupów.

– Tak – rzucam więc niesympatycznym tonem, dając babie do zrozumienia, że jej pytanie mnie zirytowało, a później sięgam jeszcze po le-

żące przy kasie czekoladowe draże i kładę je na taśmie. – Plus czerwone marlboro – dodaję. – I zapalniczkę.

Kasjerka wstaje, żeby sięgnąć po papierosy, a wtedy sklepie zapada cisza.

Kilka sekund później gdzieś na tyłach spożywczego rozlega się przeźliwy brzęk szkła, a kobieta aż podskakuje, przestraszona.

– Chwila – rzuca do mnie i ruszając truchtem, wpada pomiędzy regały.

Idę za nią z ciekawości, podejrzewając, że to nastoletnia smarkula coś stłukła i faktycznie – dziewczyna w siatkowych pończochach stoi nad rozbitym piwem, które rozlało się po posadzce i się pieni pośród ostrych odłamków strzaskanej butelki.

– Pięknie! I kto za to zapłaci?! – naskakuje na nią kasjerka. – W twoim wieku i tak bym ci go nie sprzedała!

– Ale ja wcale nie chciałam go kupić. Stało na skraju regału, straciłam je plecakiem – broni się dziewczyna.

– Plecakiem, jasne – syczy kasjerka, czubkiem podniszczonej tenisówki przesuwając najbardziej ostry odłamek szkła. – I myj teraz, człowieku, podłogę, bo gówniary nie potrafią się poruszać po sklepie – dodaje pogardliwym tonem.

Dziewczyna jest czerwona na twarzy, wygląda tak, jakby zaraz miała się rozpłakać.

Dostrzegam, że jest znacznie młodsza, niż w pierwszej chwili w ogóle pomyślałam. Sugerując się jej strojem, dawałam jej jakieś szesnaście, siedemnaście lat, ale teraz oceniam ją na góra czternaście.

Sprzedawczyni ciężko posapuje, z jej tuszą nawet sprzątnięcie tak niewielkiego bałaganu będzie wyzwaniem. Mimo to nie podoba mi się sposób, w jaki potraktowała nastolatkę.

– Przepraszam, ale chciałabym móc zapłacić. Nie mam pół dnia – mówię więc lodowatym tonem, a ona lekko, ledwie zauważalnie się krzywi i kiwnięciem głowy każe przejść dziewczynie prosto do kasy.

– Niech ta młoda idzie pierwsza, żeby mi tu jeszcze czegoś nie zmalowała. Bierze te chipsy, płaci i do widzenia – rzuca pogardliwie.

Wtedy nie wytrzymuję.

– Ta młoda to czyjeś dziecko, a przede wszystkim klientka! – syczę. – Chamstwo takie, jakie pani sobą reprezentuje, powinno chyba odejść razem z Peerelem?

– Słucham?! – Sklepowa opiera dłonie na szerokich biodrach i wbija we mnie wściekłe spojrzenie. – Ja jestem chamska?!

– Tak, pani.

– Gówniara robi straty, a ja...

– Ta gówniara to klientka. Oraz czyjeś dziecko, bez względu na wiek. Więc odrobinę szacunku! Gdyby to piwo rozbił jakiś elegancik koło czterdziestki w dobrze skrojonym garniturze, ze skórzaną teczką w dłoni, pewnie byłaby pani znacznie grzeczniejsza, co?! Tej małej też należy się szacunek! – podnoszę głos.

Dziewczyna milczy. Teraz jest już dosłownie purpurowa na twarzy, jej dolna warga drży, w oczach ma łzy.

– Nie przejmuj się, kochanie – mówię. – Zapłacę za piwo i chipsy. – Uśmiecham się do niej, a ona wybucha płaczem, szepcze: „dziękuję” i dosłownie tuląc do piersi opakowanie paprykowych Laysów, niepewnie zerka na ekspedientkę, jakby chciała się upewnić, czy babsztyl nie ma nic przeciwko takiemu rozwiązaniu.

Kiedy tak szłocha, wyglądając przy tym rozbijając niewinnie, mam ochotę wziąć ją w ramiona i długo tulić, wdychając zapach jej włosów, gładząc je i głaszcząc ją po plecach, ale przecież wiem, jak bardzo byłoby to niestosowne, wręcz wariackie. Dlatego tylko tęsknym wzrokiem odprowadzam jej sylwetkę, a później wracam do kasy.

Kobieta wydaje mi resztę i posyła pogardliwy, wredny uśmieszek.

– Myśli, że jak własnej córki nie upilnowała, to może matkować całej okolicy – rzuca pod nosem, wręczając mi paragon.

Nieruchomieję.

Jej słowa są tak okrutne i jednocześnie bezczelne, że przez chwilę brakuje mi tchu.

– Co pani powiedziała? – rzucam przez zęby, a ona lekko wzrusza pulchnymi ramionami.

– Nic nie mówiłam. Że siedemnaście sześćdziesiąt wyszło – odpowiada, wyzywająco patrząc mi w oczy.

Wtedy odkręcam plastikową butelkę z kefirem, ciskam zakrętkę na podłogę i chlustam kasjerce prosto w twarz białą mazistą cieczą, zalewając jej oczy, dekolt i częściowo wysuniętą szufladę kasy, w której są pieniądze.

– Co, do kurwy?! – Sprzedawczyni zrywa się z krzesła, rękoma usiłując zetrzeć z twarzy kefir, który zalepił jej oczy, a ja łapię za zakupy i bez słowa wychodzę ze sklepu.

Kiedy przekraczam próg, słyszę jeszcze, jak wrzeszczy coś o policji.

Wtedy zawracam, stoję przy kasie i syczę:

– Piśnij słowo glinom, a przyjdę tu nocą i spalę tę budę. Słyszałaś, co powiedziałam?! Puszczę z dymem ten wasz stragan!

Babsko nie odpowiada. Na jej umazanej resztką kefiru nalanej twarzy maluje się wyraz skrajnego zdumienia, gapi się na mnie tak, jakby właśnie zobaczyła kosmitkę.

– Dotarło? – pytam.

– Nie mówi pani poważnie. – Udaje jej się w końcu wykrztusić.

Jej głos drży, już nie jest taka wyszczekana, jak jeszcze przed chwilą.

– Chcesz się przekonać? – Uśmiecham się lodowato, bezczelnie zwracając do niej na „ty”, chociaż jest mniej więcej w wieku mojej matki. – Straciłam dziecko, przez co wyraźnie popadam w obłąd. Wiesz, do czego jest zdolny człowiek w mojej sytuacji?

– Przepraszam – mówi nagle. – Za to, co powiedziałam.

– Że wyszło siedemnaście sześćdziesiąt? – kpię.

Właścicielka spożywczego nie odpowiada. Połykając łyzy, wyciera w służbowy uniform zalane kefirem banknoty i pociąga przy tym nosem.

– Żegnam – mówię, bo przecież wiem, że chociaż ten niewielki sklepik jest najbliżej mojego domu, więcej tu nie wrócę.

Chleb i tak regularnie przynosi nam tato, a większe zakupy robię w supermarkecie. Chrzańię tę paskudną, pomazaną graffiti budę z zakratowanymi oknami, w której ceny są ewidentnym rozbojem w biały

dzień, mówię sobie i trzęsąc się z wściekłości, idę przez wylany betonem placyk przed spożywczym.

Dziewczynę z chipsami dostrzegam chwilę później – stoi oparta o metalowy słup nieczynnego przystanku PKS i wyjada je prosto z opakowania.

Na mój widok unosi dłoń w geście powitania i nieśmiało się uśmiecha.

– Podwieźć cię gdzieś? – pytam, mijając ją.

Jestem autem, jak zawsze. Mimo że sklep, w którym właśnie robiłam niewielkie zakupy, mieści się niecałe trzysta metrów od naszego domu, a ja nie powinnam prowadzić po tabletkach, które (nieregularnie, ale jednak) łykam, przyjechałam samochodem, żeby uniknąć niezręcznych spotkań z sąsiadami. Ludzie ciągle się na mnie gapią. Wojtek stale powtarza, że tylko to sobie wmawiam, ale przecież wiem. Nawet teraz, po takim czasie od zaginięcia Amelii, czuję się fatalnie, idąc chodnikiem czy kręcąc się pieszo po naszej okolicy. W aucie jest lepiej. Jego wnętrze bezpiecznie odgradza mnie od świata, niczym przytulny kokon. Tu nikt nie zapyta, co u mnie, ani czy wiadomo coś więcej w sprawie zaginięcia Amelii.

Dziewczyna odmawia. Mówi, że zaraz podjedzie po nią tata.

Przez chwilę się zastanawiam, czy nie kłamie, ale stwierdzam, że to jednak nie moja sprawa. Jest biały dzień, zalana słońcem ulica. Mijają nas samochody, wokół kręcą się ludzie. Nic jej nie grozi, zapewniam się w duchu, chociaż przecież wiem, że kiedy zaginęła moja córka, w Gdyni również świeciło słońce...

Dlatego wsiadam do samochodu i tak długo udaję, że szukam czegoś w schowku, aż po dziewczynę faktycznie podjeżdża ojciec. Znam go z widzenia, to weterynarz z sąsiedniej ulicy. Nie wiedziałam jednak, że ma już taką dużą córkę. Kiedy ostatnim razem, w przelocie, widziałam go spacerującego z jego małą, dziewczynka wyglądała na jakieś jedenaście lat i niosła w ręku balon w kształcie Myszki Miki. Czas leci szybko, dzieci sąsiadów zmieniają się nie do poznania, myślę.

Kiedy odjeżdżają, mimowolnie zerkam w stronę sklepu, zastanawiając się, czy ekspedientka jednak zawiadomi policję, czy da sobie spokój. Teraz, kiedy samotnie siedzę w aucie, czuję się głupio. Zareagowałam jak skończona wariatka, myślę. I nagle robi mi się żal tej otyłej, zbliżającej się do sześćdziesiątki kobiety, którą nie tylko upokorzyłam, oblewając ją kefirem, ale też naraziłam na straty, zalewając przy okazji kasę. Nie wiem, czy da się odratować pieniądze. Pocieszające jest tylko to, że w szufladzie nie było ich wiele.

Po chwili wahania wysiadam z auta i ponownie wchodzę do sklepu. Na mój widok kasjerka krzyczy, że zaraz dzwoni po policję.

- Chciałam przeprosić – mówię i wyjmuję z portmonetki trzy stówki.
- To w ramach rekompensaty – dodaję, a ona zaciska usta.
- Nie trzeba – rzuca. – Ale niech pani już idzie i więcej tu nie wraca.
- Nie zamierzałam – oznajmiam wyniośle.

Jestem przy drzwiach, kiedy kasjerka prosi, żebym zaczekała.

– Ja też przepraszam – mówi cicho, kiedy odwracam się twarzą do niej. – To, co powiedziałam, było okrutne.

Nie odpowiadam, bo za bardzo chce mi się płakać. Kiwam tylko głową, doceniając jej słowa, i wchodzę na zalany słońcem plac przed sklepem.

W drodze do domu myślę o weterynarzu. Czy ten facet wie, jakie ma szczęście, mogąc podjechać po własną córkę, zabrać ją na obiad do domu, przytulić? Wie, jaki ma fart, widząc jedzącą chipsy, opartą o słup nieczynnego przystanku dziewczynę, z której kiedyś wyrośnie kobieta, być może matka jego wnuków?, zastanawiam się przez chwilę, a łzy spływają po moich policzkach i kapią na poplamioną bluzkę.

Chryste... Zrobiłam z siebie kompletną wariatkę, myślę i wybucham histerycznym śmiechem na wspomnienie zalanej kefirem nalanej twarzy sklepowej. Ale to, co nawyprawiałam, w sumie nie jest śmieszne... Najpierw mój niedawny wyskok w klubie karaoke, teraz to... Zaczynam tracić nad sobą kontrolę? Do tego doprowadziły mnie bezsilne

lata oczekiwania na cud, który się nie wydarza, myślę, wjeżdżając do garażu.

Wojciech czeka na mnie w salonie. Wygląda na zmęczonego. Przez chwilę mam ochotę się do niego przytulić, ale coś mnie blokuje. Wiem, że na to nie zasłużył, ale ciągle go obwiniam. Gdyby mnie wtedy posłuchał...

W łazience wymiotuję, jakbym chciała wyrzygać kłębiące się we mnie bolesne emocje. Później płuczę usta płynem o ostrym, chemicznym smaku, starannie szczotkuję zęby i biorę szybki prysznic.

W drodze pod Ostródę, w samochodzie, słuchamy muzyki.

Siedząc u boku męża śpiewam razem z Korą i przez jedną krótką i ulotną chwilę czuję się prawie szczęśliwa.

Prawie...

IZABELA

Dom, który bez mojej wiedzy kupił Robert, jest paskudny. Parterowy, ze spadzistym dachem, typowy styl dla stawianych kiedyś we wsiach budynków. W oknach kraty, przed wejściem mało urokliwa weranda – słowem – nic ciekawego. W środku bynajmniej nie jest lepiej. Kuchnia po prostu beznadziejna, umeblowana przypadkowo zebranymi gratami, z jadalnią, którą jednocześnie można nazwać salonikiem, dzięki stojącej tam sofie z zaplamionym obiciem i stołowi z rozchybotanymi nogami. Dwie maleńkie sypialnie na tyłach domku są równie szpetne i nijakie. W każdej stoi masywna drewniana szafa, krzesło, mały stół i po dwa wąskie łóżka. Razem cztery, plus miejsce na splamionej sofie w saloniku, jeśli ktoś lubi narażać plecy na coś tak ekstremalnego.

– Poprzedni właściciel wynajmował go ludziom wpadającym tu na weekendy i wakacje – mówi Robert, kiedy z malującą się na twarzy odrazą chodzę po wnętrzu mojego urodzinowego prezentu. – To miejsce na imprezę w gronie znajomych, ludzie głównie tu chlali i balowali, ale przecież wszystko można wyremontować. Wstawi się trochę mebli, pomaluje ściany, odnowi się kuchnię i będzie z tego całkiem niezłe gniazdko, w którym...

– Mam to gdzieś – wchodzę mu w słowo, bo dom pod Ostródą jest naprawdę bardzo nisko na liście moich obecnych priorytetowych zmartwień.

– Masz gdzieś? – parska mój mąż. – I tak zamierzasz żyć już zawsze? Wszystko mając gdzieś? Mnie, naszą przyszłość, wspólne inwestycje, plany, marzenia?

– Nasza córka zaginęła, Robert! Wybacz, ale w dupie mam, czy wstawisz tu nowe meble! Po jasną cholerę w ogóle kupiłeś tę budę?! –

wrzeszczę.

– Szczerze? Żeby mieć własne miejsce, kiedy nie będę mógł wytrzymać pod naszym dachem – cedzi mój mąż, a ja z niedowierzaniem kręcę głową.

– Masz mnie dość? A może chcesz rozwodu i do tego zmierza ta rozmowa?! Odmawiasz mi bliskości, nie chcesz drugiego dziecka, odgrodziłeś się ode mnie betonową ścianą, nie do przebicia! – wylewa się ze mnie.

– Poważnie?! Właśnie teraz chcesz gadać o drugim dziecku?! Zaraz przyjadą Daria i Wojtek, a ty znowu podejmujesz temat?! – Robert wyjmuje piwo ze starej lodówki, w szufladzie znajduje otwieracz i ekspresowo rozprawia się z kapslem.

Musiał tu bywać wcześniej. Zrobił zakupy, co nieco ogarnął. Wyraźnie widać, że nowy dom przynosi mu sporą frajdę, czego nie mogę powiedzieć o sobie.

– Chcę mieć drugie dziecko, Robert. Nic na to nie poradzę. Wiesz przecież, ile mam lat! To dla mnie ostatni moment, nie rozumiesz tego? Ja nie mogę sobie pozwolić na zwłokę czy wahanie, jak ty – mówię, a on upija kilka łyków piwa i patrząc mi prosto w oczy, cedzi, że on się nie waha.

On już podjął decyzję.

– Nie chcę drugiego dziecka! Czego, kurwa, nie rozumiesz?! – Mąż wali pięścią w stół. – Jak możesz być taką pieprzoną egoistką, wytłumacz mi to?! – wybucha.

Robert coraz częściej wpada we wściekłość, chociaż w ostatnich latach zdarzało mu się to raczej sporadycznie – zawsze był wyważony w wyrażaniu emocji, co nie raz doprowadzało mnie do szału – ja wolałabym kłótnie w sycylijskim stylu, po których można było zawrzeć rozejm przy kieliszku wina albo w łóżku.

– Ja jestem egoistką? – Aż rozchyłam usta z niedowierzaniem.

– To dla mnie za trudne! Tłumaczyłem ci to wiele razy, ale ty ciągle wracasz do tematu, żeby mnie nim katować! – zarzuca mi.

– To byłyby dla nas szansa, nie widzisz tego? – mówię cicho, a w oczach mam łzy.

– Szansa na co? – parska Robert, zanim upija kilka kolejnych łyków piwa. – Na nowy początek? Tak to widzisz?! Zrobimy sobie nowego pulchnego dzidziusia i znowu wszystko będzie cacy?! Wiesz, jak się poczuje Iga, kiedy wróci i zastanie w domu tego obcego bachora?!

– Bachora?! Mówisz o naszym dziecku i nazywasz je bachorem?!

– Nie mówię o dziecku, bo ono nie istnieje! A nasza córka poczułaby się zdradzona! Pomyślałaby, że zastąpiliśmy ją kolejnym dzieckiem. Wybacz, ale tak właśnie to widzę!

– Bzdura! Cieszyłaby się, że ma braciszka lub siostrzyczkę!

– Taka jesteś tego pewna? – Robert krzywo się uśmiecha i wyjmuje z szafki opakowanie paprykowych chipsów. – Chcesz? – pyta irytująco lekkim tonem, zupełnie jakby burzliwa małżeńska dyskusja, w której przed moment brał udział, spłynęła po nim jak po kaczce.

– Nie. Podobno planujesz grilla? Nie napychaj się tym teraz. – Krzywię się.

– Grill się opóźni. Wojciech wysłał mi esemesa z wiadomością, że trochę się spóźni. Jakies problemy na drodze, chyba utknęli w korku. Masz, zjedz coś. – Robert znajduje w szafce opakowanie oblanych czekoladą zbożowych ciasteczek i rozrywa je, ale nie chcę jeść, nie zdołałabym teraz niczego przełknąć.

Stoję tuż przy nim, mając upiorne wrażenie, że ten kupiony przez niego za moimi plecami dom w pobliżu jeziora stanie się świadkiem ostatecznego upadku naszego związku, ponurym grobowcem naszej miłości.

Kiedy tu jechaliśmy, wyobrażałam sobie romantyczne siedlisko i marzyłam o tym, że może tej nocy będziemy się w końcu kochać i coś się pomiędzy nami poprawi, ale widok upstrzonych truchłami komarów odrapanych ścian w obu sypialniach, stojących obok siebie wąskich łóżek z poznaczonymi scyzorykiem drewnianymi zagłówkami i naderwanymi kraciastymi zasłon w oknach z brudnymi szybami sprawił, że poczułam jedynie obrzydzenie.

To nora, nie dom. Pełna obcego DNA, cudzych włosów, a może nawet spermy i kawałków obciętych paznokci imprezownia, w której nigdy nie poczuję się jak u siebie.

– Idź na ogród, skoro nie chcesz jeść. Zobacz, jak tam ładnie. To dla tych drzew w ogóle ten dom kupiłem. – Robert chowa do szafki ciastka, na które nawet nie spojrzałam, a ja samotnie wychodzę z kuchni.

Ogród faktycznie jest piękny. Pełen grusz, jabłoni i krzewów porzeczek, ciągnie się w dół, aż do odgradzonych drewnianym płotem pól. Później są szuwary i jezioro, nad które idzie się podobno nieco okrężną drogą, nie przez pola. Bliskość jeziora mnie cieszy, ale nadal nie umiem wskrzesić w sobie głębszej radości. Miałabym tu regularnie przyjeżdżać, upijać się i grillować, podczas gdy Iga nadal jest daleko od domu, nie wiadomo gdzie?

Pod jedną z grusz stoi ławka. Drewniana, stara, urokliwa. Siadam na niej i wyobrażam sobie naszą córkę opalającą się w trawie u moich stóp. Leży na kocu, w kostiumie kąpielowym z falbanką. Jest piękna, pełna życia, nasza.

– Gdzie jesteś, maleńka? – szepczę i po policzkach spływają mi łzy.

Nie wiem, jak długo samotnie siedzę na ławce. Robert został w domu, chyba zajmuje się mięsem. Powinnam mu pomóc, ale nagle zdaję sobie sprawę, że mi się nie chce. To on kupił ten dom, on zaprosił do niego tych zupełnie obcych ludzi. Niech robi, co chce, mówię sobie w duchu.

Gapiąc się na porośniętą bluszczem drewnianą szopę w kącie ogrodu, przypominam sobie dzień, w którym Iga szła do komunii. Wyprawiliśmy jej wtedy przyjęcie na trzydzieści kilka osób, a nasza córeczka wyglądała jak mała księżniczka. Robert trochę się złościł, kiedy zobaczył jej pełną koronek sukienkę, która wyglądała jak ślubna. Mówił, że jest zbyt mało skromna, że to nie wypada, ale byłam innego zdania. Dla mojej córeczki wszystko, co najpiękniejsze. Marzyła o takiej właśnie i taką dostała. Nie, nie rozpuszczałam jej bezmyślnie, nie zawsze miała wszystko, co sobie wymarzyła. Ale do komu-

nii poszła w sukience marzeń. Czy kiedyś założy podobną do ślubu? Czy będzie jej to dane?, zastanawiam się.

Robert zjawia się w ogrodzie kilka minut później. W ręku trzyma talerz, idzie w moją stronę.

– Zjedz chociaż kanapkę – mówi. – Dzięki. – Posyłam mu blady uśmiech, a on siada obok, na ławce.

– Słyszysz? Cisza. – Uśmiecha się. – W mieście nigdy nie jest aż tak cicho.

– Nie lubię ciszy – mówię, zanim wgrzynam się w przygotowaną przez niego kanapkę. – Zbyt głośno słyszę wtedy wszystkie moje złe myśli...

Wolę, kiedy gra radio, w salonie, w którym pracuję przekrzykują się ludzie, a ja mam ręce zajęte pracą. Cisza jest koszmarna, tak samo jak niedziele, które stały się dla mnie nie do zniesienia. W niedziele wychodzą na spacer wszystkie szczęśliwe rodziny. Chodzą po mieście, jedzą lody, zaśmiewają się z czegoś i tulą do siebie, a ja tkwię zamknięta w domu, modląc się, żeby był już poniedziałek i żebym mogła iść do salonu Yasmin, by się zająć cudzymi głowami. Praca ratuje mnie przed obłędem, pozwala znieść to, co nas spotkało.

– Widzisz tamtą gałąź? – pyta nagle Robert. – Kupiłem sznur – dodaje, wpatrując się w rosnące naprzeciwko ławki wysokie drzewo z grubymi konarami.

– Tak? Żeby mogła się powiesić? – wysilam się na czarny humor, a on się krzywi, mocno zniesmaczony.

– Żeby mógł zawiesić huśtawkę. Dla Igi, zawsze chciała – mówi.

– Iga na początku czerwca skończy piętnaście lat – przypominam mu. – Nie sądzę, żeby nadal marzyła o huśtawce w ogrodzie – dodaję, jednak jego pomysł mnie wzrusza. – Ale to miłe – stwierdzam, a on zagryza wargę i z niedowierzaniem kręci głową.

– Jak to możliwe, że nadal jej nie znaleźliśmy? Tylu ludzi jej szuka, wszędzie monitoring, a jej nie ma... Gdzie jest nasza dziewczynka? – pyta łamiącym się głosem.

Wyciągam rękę, żeby pogłaskać go po głowie, ale od razu ją cofam. Mur pomiędzy nami jest nieprzenikniony, nie umiem go ominąć, na-

wet teraz.

– Ona się znajdzie – mówię z naciskiem. – Nasza córeczka się znajdzie!

– Naprawdę w to wierzysz? Po tak długim czasie, kilku latach kompletnej bezsilności policji i tej pustki wokół nas? Nie mają nawet podejrzanego, nic! Kompletna niewiadoma!

– Czasem dzieją się cuda – mówię cicho.

– Liczenie na cud to dość marna perspektywa.

– Podkomisarz Lisiecka mówi, że...

– Ta baba jest niekompetentna! Ona, jej koledzy, cała ta mundurowa zgraja! Mydli ci oczy, nic więcej nie robiąc! – warczy Robert, nie pozwalając mi dokończyć.

– Uprzedziłeś się do niej, bo jest kobietą – wyrzucam mu.

– Może – przyznaje cicho i zaskakująco szczerze. Wyszedł w końcu na mizogina i nawet tego nie ukrywa, jakby jemu też było już wszystko jedno.

– Ona naprawdę się w tę sprawę zaangażowała. Wciąż szuka Igi, przecież wiesz – bronię Bogny Lisieckiej, którą, mimo braku jakichkolwiek postępów w sprawie naszej córki, uważam za oddaną i dobrą śledczą.

– Może w przyszłym miesiącu znajdę pieniądze dla tego detektywa – mówi Robert. – Wiesz, tego kolesia z Olsztyna, o którym ci mówiłem.

– Wiem.

– Myślisz, że to ma sens? Czy wyrzucamy kasę w błoto? – pyta.

– Nie wyrzucasz kasy w błoto, szukając córki.

– Nie o to mi chodziło. Pytam tylko...

– Ćśśś! Słyszysz? Chyba przyjechali – mówię, bo gdzieś zza domu, od strony wąskiej uliczki, przy której stoi budynek, wyraźnie słyhać odgłos silnika zbliżającego się samochodu. – Chodźmy tam, zanim się zgubią i pojedą dalej. Tabliczka z numerem jest całkiem zasłonięta krzewami – dodaję.

Kiedy podchodzę do ogrodzenia, przed domem zatrzymuje się samochód, z którego wysiada drobna kobieta.

Daria – od razu rozpoznaję ją ze zdjęć na Facebooku. Oglądałam je tyle razy, że niemal znam jej twarz na pamięć.

On też wygląda znajomo, ale na żywo wydaje się wyższy i jeszcze przystojniejszy.

Kiedy wysiada, zdaję sobie sprawę, jak świetnie jest zbudowany – czarny podkoszulek, który ma na sobie, opina jego opalone, muskularne ramiona, jasne dzinsy świetnie leżą na wąskich biodrach i zgrabnym tyłku.

– Witajcie! Trafiliście bez problemu? – odzywa się Robert i oboje potakują.

Podchodzę do Darii i posyłam jej uśmiech.

– Izabela – rzucam, a ona wyciąga do mnie rękę, którą ściskam.

Na jej przegubie widzę wąską srebrną bransoletkę z zawieszka w kształcie serca i tatuaż z imieniem córki. Amelia. Wytatuowała je sobie przed czy po zaginięciu dziewczynki?, zastanawiam się, kiedy całą czwórka idziemy w stronę domu.

– Nie spodziewajcie się luksusów. Ledwo to miejsce kupiłem, wszystko jest tu do odświeżenia. Ale bez obaw, pościel będzie czysta – żartuje Robert, a Wojciech klepie go po plecach.

– Spoko, chłopie – mówi. – Jest idealnie. Lubimy z Darią naturę i nienapruszone klimaty, prawda, kotku? – Obejmuje idącą obok żonę, która kładzie mu głowę na ramieniu.

Widząc ten gest, czuję zazdrość. My z Robertem już tak nie potrafimy.

W środku, rozglądając się po wnętrzu domu, Wojtek proponuje nam pomoc w ewentualnym remoncie.

– Jestem budowlańcem, ale to pewnie wiecie.

– Pogadamy o tym. – Robert podaje mu piwo i sięga po otwieracz. – To co, rozpalamy grilla?

Czuję dziwną i nieuzasadnioną złość na męża.

Czemu on się zachowuje tak, jakbyśmy umówili się tu na chłanie ze starymi przyjaciółmi? Przecież miała nas połączyć wspólna trauma, wszyscy straciliśmy córki. Szybko jednak dociera do mnie niedorzecz-

ność moich zarzutów. Nasi goście dopiero co weszli, nawet się nie znamy. Nie mogę oczekiwać, że zalejemy się łzami, od progu zaczynając rozmowę o naszych dziewczynkach. Wszystko ma swój czas, pocieszam się, pomagając mężowi układać na półmisku przeznaczone do grillowania kawałki mięsa.

– Pomóc ci? – pyta Daria, a ja zdaję sobie sprawę, że znowu gapię się na jej tatuaż i zmuszam, żeby odwrócić wzrok.

– Zrobiłam go kilka miesięcy temu – zdradza, dostrzegając moje spojrzenie.

Nie wygląda na urażoną, chyba przywykła do tego typu ciekawości ze strony innych ludzi.

– Jest piękny – mówię i po chwili obie mamy w oczach łzy.

Nie znam tej kobiety, kompletnie nie mam pojęcia, kim jest, ale właśnie w tym momencie rodzi się pomiędzy nami pierwsza nić porozumienia. Amelia. Pamiętam jej twarz niemal tak dobrze, jak buzię własnej córki. Pamiętam je wszystkie, dzieci, które w ciągu ostatnich lat zaginęły w Polsce. Głównie dziewczynki, bo sprawom chłopców nie przyglądam się aż tak uważnie. Nagle wpada mi do głowy myśl, która sprawia, że po plecach przechodzą mi ciarki. A co, jeśli ich córka znajdzie się cała i zdrowa, a nasza martwa? Czy nasza znajomość przetrwałaby taki obrót spraw? Nadal by nas pocieszali, rozumiejąc, przez co przechodzimy, czy może odwróciliby się od nas i zerwali kontakt, nie chcąc wciąż się nurzać w bolesnych emocjach, skoro ich dziecko byłoby już bezpieczne?

– Podaj pieprz – prosi Robert, wrywając mnie z koszmarnych rozważań.

Szukam więc przyprawy w siatce z zakupami, które zrobiliśmy po drodze, a mąż wychodzi na zewnątrz, z półmiskiem pełnym mięs w dłoni.

Co przyniesie ten weekend? Zastanawiam się, idąc w ślad za nim.

Daria łapie za rękę Wojtka, a on coś jej szepcze na ucho.

Są tacy zakochani, myślę i nagle prawie wybucham płaczem. Bo ja nie mam już nawet tego.

Mnie mój mąż nie kocha.

A nawet jeśli ciągle coś do mnie czuje, nie potrafi mi tego okazać w sposób, który podnosiłby mnie na duchu.

Przy grillu otwieram piwo.

Daria robi to samo i mówi, że mam piękne włosy.

– Zawsze uwielbiałam rudy, chociaż absolutnie do mnie nie pasuje.

Ale ty jesteś do tego koloru stworzona.

– Dzięki – mówię i obie siadamy w rozstawionych przez Roberta leżakach, przyglądając się kręcącym się przy palenisku mężczyznom.

– Za to lubię grille – mówi cicho Daria. – Faceci przejmują pałeczkę.

– Fakt. – Uśmiecham się, zdając sobie jednocześnie sprawę, że gapię się na tyłek Wojtka.

Chryste...

6 DARIA

Jedzenie jest naprawdę pyszne. Zajadając się sałatkami, opieczoną bagietką i ciastem z kruszonką, mam wyrzuty, że siedzę przy grillu i się opycham, ale mówię sobie, że czasem nawet tacy rodzice, jak my, mają prawo do odrobiny radości.

Robert i Izabela są sympatyczni, otwarci i wygadani – już po dwóch piwach czuję się całkiem dobrze w ich towarzystwie, choć przecież to zupełnie obcy ludzie. Ona jest piękna, kobieca i ciepła, ma w sobie coś matczynego, jakby chciała opiekować się całym światem. On sprawia wrażenie zdystansowanego, ale kiedy pozna się go nieco lepiej, można zmienić zdanie.

Do zachodu słońca jemy, gawędzimy o bzdetach i nieśpiesznie sączymy piwo za piwem. Dopiero kiedy się ściemnia, a mężczyźni rozpalają wielkie ognisko w samym rogu ogrodu, atmosfera robi się znacznie bardziej intymna, ale też bolesna. Jak na koniec kwietnia jest nieprawdopodobnie ciepło. W Polsce padł właśnie jakiś rekord temperatury, co nas cieszy, bo siedzimy pod chmurką.

– Macie jeszcze nadzieję? – pyta nagle mój Wojtek, a ja czuję na niego złość za to pytanie.

– Oczywiście, że mam nadzieję! – rzucam ostrym tonem.

– Zawsze – mówi Izabela.

Robert milczy. Trzyma nad ogniem kij z nabitą na niego kiełbasą i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy patrzy w płomienie.

– Nic nie powiesz? – pyta go Izabela.

– Tak, wciąż mam nadzieję, ale jest coraz słabsza. To chciałaś usłyszeć? Zaczynam też dopuszczać do siebie myśl, że nasza córka nigdy

się już nie odnajdzie. I wiem, że ty nie umiesz jeszcze tego zrobić – odpowiada żonie.

Po jego boleśnie szczerych słowach zapada martwa cisza, zakłócana jedynie szczekaniem psa gdzieś w oddali. Siedzimy wokół ognia, który wesoło trzaska i strzela iskrami w ciemne wieczorne niebo, a nasze serca ściska ból.

– Ona wróci – mówi w końcu Izabela. – Wróci, zobaczysz – powtarza z naciskiem, zanim wstaje i rusza w stronę domu.

– Dokąd idziesz? – pyta ją mąż.

– Sikać. Mogę? – sarka.

– Możesz. – Robert lekko się uśmiecha i ściąga znad ognia kielbasę.

– Ja też pójdę. – Podnoszę się z leżaka i biegnę za Izabelą. – Czeka, ciemno tu! – wołam, a ona przystaje i świeci mi pod nogi trzymaną w dłoni latarką. – Jestem kompletnie pijana – chichoczę, co, zwłaszcza po tym, o czym przed chwilą mówiliśmy, wydaje mi się wyjątkowo nie stosowne.

Ale Iza też się śmieje. Mówi, że kręci się jej w głowie, i żartem dodaje, że się zaraz posika.

– Robert zawsze się ze mnie nabija, że po alkoholu biegam do toalety dosłownie co kwadrans, więc staram się wytrzymać jak najdłużej, ale już naprawdę nie mogę – parska śmiechem, kiedy wpadamy do ciemnego domu. – Mogę iść do łazienki pierwsza? – pyta, rozpinając przy tym guzik ciemnych, wąskich spodni, które ma na sobie.

– Jasne, idź. U mnie sytuacja nie jest jeszcze tak dramatyczna – zapewniam ją, chociaż prawdę mówiąc, mnie też piwo mocno działa na pęcherz.

Kiedy Izabela jest w toalecie, wyjmuję z kieszeni komórkę, robię sobie idiotyczne selfie z wywalonym językiem i wysyłam je mężowi z tekstem: „Miałeś rację, potrzebowaliśmy takiego weekendu”.

Wojtek odpisuje po chwili.

„Ja zawsze mam rację”, czytam i się uśmiecham.

„Chciałbyś”, piszę i czym prędzej chowam telefon do kieszeni.

– Dobra, leć! – Iza wychodzi z łazienki i przepuszcza mnie w drzwiach.

Zamykam się więc w środku i siadam na sedesie. Zazwyczaj nie robię tego w obcych miejscach, ale tu jest czysto i schludnie – widać, że chociaż kupili domek niedawno, Iza z Robertem zdążyli już wysprzątać łazienkę.

Telefon dzwoni, kiedy sikam.

– Dawno nie widziałem twojej twarzy w świetle ogniska – mówi mąż, kiedy odbieram. – Jest jak na Kaszubach, przed laty, pamiętasz? – pyta.

Pamiętam, jasne, że pamiętam. Jeździliśmy wtedy na weekendy ze znajomymi, którzy obecnie mieszkają w Nowej Zelandii i wciąż nam ich brakuje. Amelii nie było jeszcze na świecie, a my nie mieliśmy pojęcia, że któregoś dnia los przyklei nam upiorną łatkę rodziców zaginionej dziewczynki.

– Jestem spocona, pogryziona przez komary i przesiąknięta dymem z ogniska, ale mam ochotę się dziś z tobą kochać – mówię cicho.

– To masz jak w banku – śmieje się Wojtek. – Wracajcie szybko z tej łazienki, nudno bez was – dodaje, zanim się rozłącza.

Zanim wychodzimy z domku, Izabela woła mnie do kuchni.

Rozdzieliliśmy się tylko na chwilę, ale widzę, że zdążyła się przebrać – zamiast obcisłych džinsów, bluzki na ramiączkach i kraciastej flanelowej koszuli ma na sobie pistacjowozielony welurowy dres, który podkreśla jej krągłe kobiece kształty.

– Za dużo piwa w siebie wlałam, przyciasne džinsy były udręką – mruga do mnie i siada na jednym z krzeseł. – Jak to robicie, że tak dobrze się wam z Wojtkiem układa? – pyta cicho, zerkając w stronę drzwi, jakby się bała, że lada moment pojawi się w nich jej Robert. – Bo nasze małżeństwo zdaje się rozpadać z dnia na dzień – wyznaje.

Jej słowa mnie zaskakują. Na pierwszy rzut oka nasi gospodarze wydają się przecież całkiem zgrani, ale, jak widać, pozory mylą.

– My też miewamy upadki i wzloty – mówię.

– To jasne, jak w każdym związku, ale przynajmniej ciągle się dotykacie. Mój mąż, nie licząc kilku sporadycznych akcji, przestał ze mną sypiać – wyznaje Iza zaskakująco szczerze i w tym momencie wybaczam jej wgapienie się w tyłek mojego Wojtka, na czym ją przyłapałam tego wieczoru.

– Seks zawsze był dla nas bardzo ważny. Pocieszamy się w ten sposób.

– Cóż, ja też tak myślałam, ale Robert... Nieważne, zapomnij. – Iza wyciąga z lodówki piwo, otwiera je i przechyla głowę, żeby się napić. – Gdybyś kiedyś chciała zamienić się na mężów, daj znać – dodaje po chwili, a ja dopiero teraz widzę, że jest znacznie bardziej pijana, niż myślałam.

– Bardzo wątpię, ale dzięki za propozycję. – Uśmiecham się do niej raczej chłodno, bo nie bawią mnie takie żarty.

Zwłaszcza że Izabela jest ode mnie o wiele ładniejsza.

– Przegięłam? – pyta i wybucha śmiechem. – Żartowałam, wyluzuj. Zrobiłaś taką minę, jakbym zadźgała ci prababkę szpikulcem do lodu.

– Przegięłaś – przyznaję, a wtedy ona podchodzi do mnie i dosłownie się na mnie wiesza.

– Zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami? – pyta z nadzieją.

Na szyi czuję jej ciepły, przesiąknięty alkoholem oddech. Sytuacja jest dla mnie mało komfortowa, ale idąc za jej radą, postanawiam się wyluzować i rzucam: „Jasne”.

– Kurwa, jednak za dużo w siebie wlałam. – Iza odstawia niedopite piwo, dyskretnie czka i mówi, że musi się napić kawy. – Też chcesz?

– Poproszę.

– Zaparzę. I błagam, nie przypominaj mi jutro, co tu wygadywałam – prosi i włącza czajnik. – Denerwowałam się tym spotkaniem – wyznaje. – Bałam się go.

– Ja też – przyznaję szczerze i robi mi się wstyd na wspomnienie swojej niezdrowej chęci poznania innej pogrążonej w rozpaczce matki.

– W waszym towarzystwie czuję się dobrze, bo wiem, że rozumiecie. Wszystko. To, że czasem się chce na chwilę o tym wszystkim zapo-

mnieć, i to, że się śmieję, piję, żyję. Bo momentami mam wyrzuty sumienia nawet z powodu tego, że oddycham. Wiesz, co mam na myśli? – pyta Izabela, chwilę przed tym, jak zatacza się na stół, klnie pod nosem i siada.

– Siedź, ja się zajmę kawą – proponuję. – Powiedz mi tylko, gdzie co jest.

– Kawa tam. – Iza wskazuje palcem jedną z odrapanych kuchennych szafek. – Kubki w kredensie, a cukier diabli wiedzą gdzie. Chyba w jednej z tych reklamówek, których Robert jeszcze do końca nie rozpakował. – Wskazuje, również palcem.

Wyjmując cukier z torby na zakupy, dostrzegam paragon, a na nim, widoczne, bo na końcu listy innych produktów, prezerwatywy. Mówiła, że ze sobą nie sypiają, dziwię się. On ma romans? A może po prostu chce z nią dziś iść do łóżka, ale ona nie jest na tabletkach?, zastanawiam się.

– Masz? – pyta Iza, zanim łapie ją czkawka. – Kurwa mać – mamrocze.

Później czka i czka, wygląda to żałośnie i komicznie jednocześnie.

Podchodzę, gładzę ją po plecach i spontanicznie obejmuję tę siedzącą na krześle, wciąż jeszcze niemal zupełnie obcą kobietę, a ona zaczyna nucić kołysankę:

W górze tyle gwiazd,

w dole tyle miast.

Gwiazdy miastu dają znać,

że dzieci idą spać.

Ach, śpij, kochanie.

Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz – dostaniesz.

Czego pragniesz, daj mi znać,

ja ci wszystko mogę dać...

...Więc dlaczego nie chcesz spać? – dołączam, bo świetnie pamiętam tekst, który kilka lat temu śpiewałam Amelii.

Kiedy kończymy, obie płaczemy.

Później Izabela głośno czka i obie wybuchamy gromkim, histerycznym śmiechem.

– Kobiety, świt was tu zastanie. Poszłyście się wysikać i przepadłyście – odzywa się Robert, który zjawia się w kuchni, przerywając nasz nagły napad śmiechu.

– À propos, znowu muszę do łazienki. – Iza ponownie biegnie, żeby się wysikać, a ja zalewam wrzątkiem kawę.

– Upiła się, wybacz – usprawiedliwia żonę nasz gospodarz, ale protekcyjny ton jego głosu nie przypada mi do gustu.

– To grill, więc byłabym bardziej zdziwiona, gdyby tego nie zrobiła – mówię.

– Jasne. – Robert posyła mi zakłopotany uśmiech i otwiera jedną z szuflad. – Łyżeczki, na wypadek, gdybyś ich szukała.

– Dzięki.

Ognisko dogaszamy koło drugiej czterdzieści nad ranem. Dobrze nam się siedzi przy ogniu, ale wszyscy są już tacy zmęczeni, najedzeni i pijani, że chcemy tylko się położyć i odpłynąć.

– Idziesz pod prysznic? – pyta Wojtek, kiedy docieramy do jednej z sypialni i zamykamy się w środku na zamontowaną w drzwiach metalową zasuwkę.

– Rano – mruczę.

– Zsuwamy łóżka?

– Zostaw, po prostu śpijmy razem na jednym.

– Będzie ciasno – uprzedza mnie mąż, ale nie zamierza się upierać przy swoim i po chwili kładzie się, wtula w moje plecy i szepcze mi na ucho, że mnie pragnie.

Kiedy się kochamy, przypominam sobie gapiącą się na jego tyłek Izabelę i czuję coś na kształt satysfakcji. Ona może się ślinić na jego widok, ale to wciąż mój mąż, myślę o tym, kiedy on się we mnie porusza.

– Lubię, kiedy jesteś pijana – mruczy Wojtek, a potem przygryza płatek mojego ucha.

Dochodząc, krzyczę, a mój głos niesie się w ciszy ciemnego, niewielkiego domku nad jeziorem.

Zasypiam z myślą o Amelii, ale oplatające mnie mocne ramiona męża przynoszą chwilowe ukojenie. Przeszliśmy przez piekło, ale mieliśmy w nim siebie. Czasem pociesza mnie to mniej, czasem bardziej. Tej akurat nocy bardzo. Wygląda na to, że Izabela nie ma nawet tego.

IZABELA

Kiedy rozchodzimy się do pokoi, mówiąc sobie „dobranoc” w wąskim ciemnym korytarzu, mąż lekko obejmuje mnie w talii i przepuszcza w drzwiach, a ja jestem Robertowi wdzięczna za ten gest. Dawno mnie nie dotykał, nawet tak.

W środku jest duszno i pachnie dymem z ogniska – po naszym przyjeździe Robert otworzył okno, ale zapomniał je zamknąć.

– Cuchnie tu – mówi teraz, zamykając je, a mnie nie chce się nawet wypominać mu, że w zasadzie to jego wina.

Zresztą to byłoby przegiecie. Wystarczy, że ostatnio obwiniam go o tyle różnych rzeczy, podobnie, jak on mnie.

Czuję się wcięta. Mimo wypitej niedawno kawy z cytryną kręci mi się w głowie, świat wiruje wokół mnie, w ustach mam sucho.

W pokoju, podobnie jak w tym, w którym śpią dziś nasi goście, są dwa wąskie łóżka stojące przy przeciwległych ścianach. Przez chwilę mam ochotę zaproponować, żebyśmy je złączyli, ale przecież wiem, że Robertowi nie będzie się chciało. On też jest pijany, w dodatku nieprzyjemnie milczący. Świetnie znam ten jego ponury nastrój, wiem, że teraz lepiej zostawić go w spokoju.

– Dobranoc – rzuca tylko, zanim zsuwa spodnie na podłogę i kładzie się spać w bokserkach i podkoszulku, plecami do mnie, a twarzą do ściany.

Zajmuję więc drugie łóżko i kładę się na wznak, starając nie myśleć o unoszącym się wciąż w pokoju gryzącym zapachu dymu i tym, że znowu chce mi się siku.

Mąż zasypia niemal od razu, jego ciche pochrapywanie sprawia, że mam ochotę nakryć głowę poduszką.

Po kwadransie decyduję się na wyprawę do łazienki i wstaję z łóżka. Na pograżony w ciemnościach korytarz wychodzę bosy, stąpam na palcach, żeby nikogo nie obudzić, a później to słyszę – zza zamkniętych drzwi pokoju naszych gości wyraźnie dochodzą odgłosy uprawianej miłości.

Cichy kobiecy krzyk rozkoszy, który dociera do moich uszu chwilę później, sprawia, że przygryzam wargę. Obcy ludzie pieprzą się pod naszym dachem, podczas gdy mój mąż nawet mnie nie pocałował, myślę bliska łez.

W łazience płaczę. Ronię łzy nad sobą, naszą zaginioną córką, moim rozpadającym się małżeństwem, a z każdą kolejną, która spływa po moich policzkach, czuję się coraz lżejsza, spokojniejsza.

Na koniec biorę szybki chłodny prysznic, osuszam włosy ręcznikiem i przyglądam się sobie w lustrze. Może powinnam od niego odejść?, zastanawiam się przez chwilę, ale nie jestem pewna, czy odważę się na tak radykalny krok... Jak udźwignę w pojedynkę samotność, która nawet u boku Roberta stała się nie do zniesienia?, myślę, przeczesując palcami mokre włosy.

Osuszam je ręcznikiem i wychodzę z łazienki.

W korytarzu mam ochotę przystanąć pod drzwiami naszych gości i przyłożyć do nich ucho, ale opieram się pokusie. To byłoby przegięcie. Zasypiam chyba dopiero jakoś przed czwartą.

Śpię niespokojnie, ale dość długo – budzi mnie dopiero czyjś głośny śmiech i dociera do mnie, że nasi goście, w towarzystwie Roberta, zasiedli już w ogrodzie przy drewnianym stole postawionym pod jednym z drzew.

Ubieram się szybko, myję zęby, piję kilka łyków wody i wychodzę na zewnątrz.

– A już się zastanawialiśmy, czy nie zapadłaś w śpiączkę – rzuca na mój widok Robert.

Wojtek głośno się śmieje, rozbawiony durnym żartem nowego znajomego, ale Daria, w przeciwieństwie do męża, lekko się krzywi – jej

najwyraźniej nie rozbawiło przaśne poczucie humoru mojego ślubnego.

– Dzień dobry wszystkim – mówię, podchodząc do nakrytego kracianym obrusem stołu, a Wojtek wstaje, żeby szarmancko podsunąć mi krzesło. – Dzięki – dodaję, posyłając mu dość powściągliwy uśmiech. – Teraz, kiedy wytrzeźwiałam, zdaję sobie sprawę, że wieczorem zbyt ostentacyjnie się na niego gapiłam i jest mi naprawdę głupio.

Daria ma pogodny wyraz twarzy, ale nie mówi ani słowa. Wydaje się niewyspana, lekko skacowana i smutna, a ja zdaję sobie nagle sprawę, że jesteśmy nie tyle weekendowymi znajomymi, ile przede wszystkim czwórką osób, które usiłują się pozbierać po zaginięciu dzieci.

– Zjedz coś i idziemy nad jezioro. – Mąż kładzie przede mną duży talerz w kwiaty, na którym leżą trzy skąpo posmarowane truskawkowym dżemem kromki ciemnego chleba ze słonecznikiem, kupionego przez nas wczoraj w drodze tutaj.

– Nalej mi soku – proszę go, a on sięga po dzbanek. – Jak spaliście? – pytam i posyłam niewinny uśmiech Wojtkowi, ale Darii nie umyka złośliwość w moim głosie. Chyba się domyśla, że słyszałam, jak się Kochają.

– Całkiem nieźle – odpowiada jej mąż, po czym całuje żonę w szyję, a jej policzki oblewa zdradziecki rumieniec.

Delikatna jak mimoza, myślę, zanim wgrzynam się w kanapkę.

Nad pobliskie jezioro ruszamy godzinę później, po kawie i chwili spędzonej w ogrodzie. Idziemy wzdłuż porośniętej wysokimi trawami wąskiej drogi aż na sam skraj wody.

Ochłodziło się, dzień wcześniej było cieplej. Teraz jest szesnaście stopni, od wody czuć wilgoć, a mimo to założyłam dzinsowe szorty i nową bluzę z nadrukiem w róże. Faceci są w dzinsach i dresowych bluzach, tylko Daria zdecydowała się na ciemnobłękitną sukienkę, na którą włożyła beżowy sweter z paskiem.

Nad wodą siadamy na drewnianym pomoście, a Robert wyjmuje z plecaka cztery butelki schłodzonego piwa.

– Rozumiem, że wyjeżdżacie dopiero po obiedzie – mruga do Wojtka, zanim wręcza mu jedną z nich i podaje otwieracz.

– Ja dziękuję, wczoraj wlałam w siebie wystarczająco. – Daria zdecydowanie odmawia, a ja, chyba trochę na przekór tej mimozie, od razu otwieram żywca i piję, nie przejmując się pianą na brodzie.

– Ładnie tu – mówi ona, opierając głowę na ramieniu siedzącego obok męża.

– I cicho – dorzuca Robert z taką dumą w głosie, jakby był właścicielem przynajmniej całego terenu nad jeziorem, co oczywiście jest bzdurą.

– Odbija wam czasem? – pyta nagle Daria, a mój mąż posyła jej pytające spojrzenie. – No wiecie, kiedy nie potraficie poradzić sobie z emocjami. Ja ostatnio zrobiłam z siebie widowisko w knajpie i oblałam kefirem sklepową.

– Co? – parskam. – Czemu akurat kefirem?

– Tak się złożyło, że akurat kefir miałam pod ręką – wyjaśnia niby poważnym głosem, ale oczy jej się śmieją.

– Gdyby baba była wredna, wezwałaby policję – wtrąca się Wojciech, a ona wzrusza ramionami.

– Ona była wredna, kochanie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. A policja może mi skoczyć. Jestem matką zaginionego dziecka, to w takich sytuacjach spory bonus. Nikt nie chce skazywać mnie na więcej, niż już przeszłam.

– Obyś się kiedyś nie zdziwiła – mruczy Wojciech, zanim całuje Darię w czubek głowy i upija kilka kolejnych łyków piwa.

– Ja prawie kiedyś pobiłem zupełnie obcego faceta – odzywa się nagle mój Robert. – Myślałem akurat o Idze, a on zajechał mi drogę... Wyskoczyliśmy z samochodów, wywiązała się sprzeczka, puściły mi nerwy.

– Nigdy mi o tym nie wspominałeś – wyrzucam mu, a on wzrusza ramionami.

– Jakie to ma znaczenie? – rzuca obojętnym tonem i, zapatrzony w wodę, milknie.

– Przejdę się – decyduję, wstając z pomostu.

– Idę z tobą. Chętnie się rozejrzę po okolicy – mówi Wojciech.

Zaskakuje mnie tym, że chce dołączyć. Przez chwilę się zastanawiam, czy nie zaproponować spaceru pozostałej dwójce, ale wygląda na to, że nie mają ochoty nam towarzyszyć.

Według tego, co powiedział mi dzień wcześniej Robert, jezioro można obejść dookoła wąską, porośniętą łopianem ścieżką, na której leżą porzucone puszki po piwie, zużyte prezerwatywy i najprzeróżniejsze śmieci, jakie ma w zwyczaju zostawiać po sobie szkodnik zwany człowiekiem. Na moje oko spacer zajmuje góra dwadzieścia minut i zapewnia ładne widoki, co sobie cenię.

– Uważaj – mówi idący kilka kroków przede mną Wojciech, wskazując na ukruszone cegły.

– Dzięki – rzucam, a on się zatrzymuje i odwraca do mnie przodem.

– Świetni z was ludzie, cieszę się, że się poznaliśmy – mówi.

Jego uwaga jest zupełnie niewinna, ale sposób, w jaki patrzy mi w oczy...

Nagle mam wrażenie, że jest między nami niezaprzeczalna chemia, że wcale sobie tego nie uroiłam. Podobam mu się, a on podoba się mnie – wpadł mi w oko już w pierwszej chwili, ba, powiem więcej – zrobił na mnie naprawdę piorunujące wrażenie.

– Dzięki. – Uśmiecham się, a on wyciąga rękę i samymi opuszkami palców muska skórę na moim policzku.

– Myślę, że jesteś równie krucha, jak Daria, ale na zewnątrz tego nie okazujesz. Założyłaś pancerz i może to właśnie dzięki niemu udaje ci się przetrwać i w miarę normalnie funkcjonować – zauważa, po czym cofa rękę. – Wybacz.

– To nic – mówię cicho i odwracam wzrok, żeby nie zobaczył w moich oczach łez, ale jest za późno, bo zorientował się, że jestem poruszona.

– Iza, przepraszam, nie chciałem doprowadzić się do płaczu – mówi, zdrabniając moje imię w sposób, który całkiem mi się podoba.

– Nie płaczę przez ciebie. Ja tak ogólnie, bo chyba... – Urywam, kiedy łamie mi się głos, a on przyciąga mnie do siebie i przytula.

Czuję zapach jego wody kolońskiej, twardość jego mięśni, bicie serca. Gest jest tak intymny i niestosowny, że brakuje mi tchu. Przecież jest mężem innej kobiety, i to w dodatku całkiem obcym facetem, a jednak w jego ramionach czuję się pocieszona.

– Jesteś silna – mówi tuż przy moim uchu. – Znacznie silniejsza, niż myślisz. Już sam fakt, że potrafisz normalnie chodzić do pracy i być między ludźmi, świadczy o tym, że niełatwo cię złamać. Moja żona od dnia zaginięcia naszej córki siedzi w domu. Po prostu tam utknęła i wygląda na to, że nieprędko stamtąd wyjdzie – dodaje, a w jego głosie słyszę gorycz.

– Każdy przechodzi przez to po swojemu. – Wyswobadzam się z jego ramion. – Przepraszam, rozkleiłam się. Niedawno miałam urodziny, czego nienawidzę, odkąd nie ma z nami Igi, poza tym małżeństwo mi się sypie, a ty... Dawno nikt mnie nie dotykał. Nie tak – dodaję szeptem, zażenowana, że opowiadam mu o swoich tęsknotach i rozczarowaniach, jakbyśmy znali się od wieków.

Wciąż stoimy blisko siebie, zbyt blisko, na wąskiej ścieżce. Gdzieś u naszych stóp chlupocze woda, z oddali słychać męski śmiech, chyba Roberta. Proszę, proszę, więc mimoza potrafiła rozbawić mojego męża... Punkt dla niej, myślę, zdając sobie sprawę, że czuję lekkie ukłucie zazdrości.

Wojciech wciąż patrzy mi w oczy, intymność tej chwili zdaje się przeciągać, pomiędzy nami dosłownie przeskakują iskry.

– Wracajmy już – proszę go, po raz kolejny zdając sobie sprawę, jak bardzo niestosowne jest to, co właśnie robimy, choć przecież, gdyby wyłączyć wszystkie emocje, nie robimy w zasadzie nic.

– Myślałem, że obejdziemy jezioro dookoła – protestuje on, ale ja idę już w kierunku pomostu i męża, którego zostawiłam z Darią.

Tak, jestem zazdrosna i przez chwilę zastanawiam się, czy jest szansa, że tym dwojgu przyjdzie do głowy coś niestosownego.

– Powinieneś z nią porozmawiać – mówię, kiedy ścieżka nieco się poszerza i Wojciech, zamiast z tyłu, idzie obok mnie. – Z Darią. O jej powrocie do pracy. Tego typu izolacja chyba nikomu nie służy.

– Myślisz, że nie próbowałem?

– Może ona potrzebuje jeszcze trochę czasu? – sugeruję, a on parska.

– Ile? Od zaginięcia Amelii minęły prawie dwa lata. Dwa lata, a ona codziennie wygląda tak, jakby to się stało dosłownie kilka godzin wcześniej. Chciałbym ruszyć do przodu, rozumiesz? Życie jest jedno, a nam dzień po dniu przecieka przez palce. Tęsknię za moją córeczką, nigdy nie przestałem jej kochać, ale chciałbym móc normalnie funkcjonować. – Nagle to Wojtkowi łamie się głos.

Kiedy siada na olbrzymim głazie wśród trawy, a potem pochylony ukrywa twarz w dłoniach, zajmuję miejsce obok niego i głaszczę go po plecach.

– Każdego dnia wracam z pracy z nadzieją, że spędzimy chociaż jedno popołudnie jak normalni ludzie. Pizza, piwo, może jakiś wypad do kina czy nad wodę. Ale wtedy widzę jej udręczoną minę i mam dość. Robię wszystko, żeby o nią zadbać, nieba bym jej przychylił, ale ona potrafi wyłącznie obwiniać mnie o to, co się przytrafiło naszej córce. Moja żona uważa, że to przeze mnie Amelia zaginęła. To ja się upierałem, żeby jechała do Trójmiasta, to ja zesłałem na naszą rodzinę to przekleństwo. Ona jest czysta jak łza, bez winy. Zawsze była dobrą matką, idealną wręcz, a teraz obnosi się z tym swoim męczeństwem, jakby nie liczyło się nic innego, i wali mnie nim po oczach, chłoszcze, rani, katuje. Jest matką, z której ramion wyrwano dziecko, a ja tylko frajerem, który całymi dniami haruje, żeby utrzymać ją, dom i wszystko to, co wcześniej razem zbudowaliśmy.

– Wyglądacie na dobre małżeństwo – mówię cicho, a Wojtek lekko wzrusza ramionami.

– Bywamy dobrym małżeństwem. Wciąż ją Kocham, ale czasem myślę, że ta miłość przynosi mi wyłącznie ból. Może jestem jakimś prostakiem, ale naprawdę marzę o życiu, które bezpowrotnie minęło. Mam dość wyrzutów sumienia, bólu w jej oczach i świadomości, że choćbym zrobił wszystko, nie potrafię jej uszczęśliwić. Nie umiem dać szczęścia kobiecie, którą Kocham. Wiesz, jakie to frustrujące?

– Wyobrażam sobie – mówię.

– Masz rację, wracajmy do nich. Scena zazdrości to ostatnia rzecz, na jaką mam dziś ochotę. – Wojciech wstaje z kamienia, na którym przysiedliśmy, i wyciąga do mnie rękę. – Uważaj, w trawie jest pełno szkła – ostrzega.

Wtedy mówię coś, czego nigdy nie powinnam powiedzieć, ale po prostu mi się wymyka.

– Wy przynajmniej wciąż ze sobą sypiacie.

Wojciech uśmiecha się na te słowa.

– Słyszałaś coś w nocy? Wybacz, poniosło nas.

– To ja przepraszam, ten tekst był bardzo nie ma miejscu – tłumaczę się, zdając sobie sprawę, że moje policzki oblewa rumieniec.

On tymczasem przystaje na ścieżce i patrzy mi w oczy.

– Seks jest wszystkim, co mamy. Tylko kiedy się z nią Kocham, mam wrażenie, że dopuszcza mnie do siebie, na moment zapominając o gardzie. Kiedy pozwala mi się dotykać, wciąż jest tą dziewczyną, w której się zakochałem. Znikają nasze problemy, trauma, którą przeżyliśmy, złe wspomnienia, myśl o pustym dziecięcym pokoju. Są tylko nasze rozgrzane, połączone ciała, na chwilę wszystko inne staje się znośniejsze... Wow! Przyznaj, że nieźle się przed sobą otworzyliśmy, jak na tak krótki spacer – śmieje się Wojciech.

– Fakt – odpowiadam.

Kiedy wracamy na pomost, Daria jest sama.

– Gdzie Robert? – pytam.

Sekundę później widzę jego ciuchy – bluzę, dzinsy i buty, które rzucił na deski pomostu.

Zawsze lubił pływać, nawet w zimnej wodzie. Zdarzało mu się morsować nawet zimą, w Bałtyku, więc podejrzewam, że dzisiejsze temperatury nie są dla niego żadnym większym szokiem.

Spoglądam na wodę i dostrzegam męża na samym środku jeziora – płynie wolno, rytmicznie wymachując rękoma. Podejrzewam, że cieszy go taki kontakt z naturą i nagle znowu czuję się przeraźliwie samotna.

– Zmarzłaś? – pyta Wojciech Darię i obejmuje żonę ramieniem.

Nawet jeśli dosłownie przed chwilą mi się na nią zalił, teraz w jego głosie daje się usłyszeć tylko czułość.

Znowu jestem sama, myślę. A może zawsze tak to wyglądało? Robert bywał oschły i zamknięty w sobie na długo przed zaginięciem naszej córki. To, co w narzeczeńskich czasach brałam za jego poukładanie emocjonalne i stabilność, okazało się po prostu mrukliwością i dystansem, który lubił utrzymywać nawet w relacjach ze mną.

Kilka minut później mąż podpływa do pomostu, wdrapuje się na niego i otrzepuje z wody jak mokry pies.

Daria ukradkiem na niego zerka, ale szybko opuszcza oczy, chyba peszy ją widok półnagiego męskiego ciała.

Otwieram wciąż jeszcze przyjemnie schłodzone piwo, którym ona pogardziła, i piję je duszkiem, spragniona tego przyjemnego zawrotu głowy, który chociaż na chwilę pomaga zapomnieć o całym świecie.

– Skoczę po suche ciuchy. Przynieść wam coś z domu? – pyta Robert.

– Termos pełen kawy – mruczę, a on krzywo się uśmiecha.

– Ktoś chyba wczoraj mocno przeholował z alkoholem – rzuca raczej kąśliwym tonem.

– Nie ja jedna – bronię się.

– Fakt. – Daria staje w mojej obronie, a ja posyłam jej uśmiech.

– Nie zimno ci? – pytam ją, kiedy Robert znika nam z oczu. – Masz gołe nogi.

– Jestem zahartowana. – Wzrusza ramionami.

– Może ja też popływam? – odzywa się Wojciech, ale żona szybko stopuje jego zapędy.

– Zapomnij – rzuca. – Ja cię ratować nie będę, jeśli zaczniesz się topić, a oboje wiemy, że pływak z ciebie żaden.

– Potrafisz wykastrować faceta, co? Jedno zdanie i aż się jaja kurczą.

– Krzywi się on, ale kiedy Daria odgarnia mu włosy z czoła i głaszcze go po plecach, nie wygląda już na urażonego.

Oni wciąż się kochają, myślę.

I chociaż wiem, że nie powinnam dopuszczać do siebie takich niskich uczuć, znowu czuję obezwładniającą mnie falę zazdrości.

Spodziewałam się po naszym spotkaniu mnóstwa emocji, myślałam jednak, że będą dotyczyć sprawy zaginięcia naszych córek. Tymczasem weekend w towarzystwie nowych znajomych boleśnie obnażył prawdę o moim małżeństwie – nas już nie było... Robert jest już tylko marionetką, która pałęta się gdzieś przy mnie, nie potrafiąc jeszcze radykalnie się odciąć. Jesteśmy martwi, nie czujemy już nic oprócz zgorzknienia i chociaż tak bardzo bym chciała, żeby było inaczej, nie potrafię tego zmienić.

8

DARIA

Po powrocie znad jeziora siadamy w ogrodzie. Gramy w karty, rozmawiamy, pijemy kawę. Robert przynosi z samochodu dwie rakietki do badmintonu i kilka lotek, więc koniec końców biegamy po trawie, wymieniając się – raz grają oni, raz my z Wojtkiem.

Czas płynie szybko, a świecące jasno kwietniowe słońce zdecydowanie poprawia nam nastroje. Nie mówimy już ani o Idze, ani o Amelii, chociaż niewypowiedziane słowa zdają się nad nami wisieć. Wszyscy wiemy, że ponury cień naszych zaginionych córek jest pośród nas i to pewnie szybko się nie zmieni.

Dochodzi trzynasta trzydzieści, kiedy Izabela oznajmia, że zgłodniała, i proponuje, że zrobi coś do jedzenia.

– Zostańcie w ogrodzie – mówi, kiedy mój Wojtek pyta ją, czy może w czymś pomóc.

Mężczyźni zostają więc na zewnątrz, ale ja idę za nią do kuchni.

– Chryste, jak tu paskudnie. Ta buda pamięta chyba jeszcze czasy Gierka. – Krzywi się, otwierając lekko odrapane drzwiczki jednej z drewnianych szafek. – Nie mam pojęcia, po jaką cholere mój mąż kupił ten dom, choć przyznaję, że po dzisiejszym poranku nad jeziorem moje uczucia względem tej rudery nieco się ociepliły – mówi, sięgając po talerze.

Kiedy chodzi z kąta w kąt po tej niemodnie urządzonej, zaniedbanej kuchni, co chwilę poprawiając swoje niesamowite, rude włosy, zdaję sobie sprawę, że zawsze chciałam być taką kobietą, jaką jest ona – Izabela emanuje pewnością siebie, a przy tym niezwykłą wręcz zmysłowością. Nawet ja miałabym ochotę jej teraz po prostu dotknąć, chociaż lesbijskie klimaty nigdy jakoś szczególnie mnie nie kręciły.

– Masz miłego męża – mówi, zanim wyjmuje z lodówki słoik z czarnymi oliwkami.

– Ty też – odwzajemniam komplement, chociaż, prawdę mówiąc, nie udało mi się nawiązać jakiejś bliższej relacji z Robertem, ot, wymieniliśmy na pomoście kilka durnych żartów i pogadaliśmy o pogodzie.

– Długo ze sobą jesteście? – pyta mnie, wydłubując jednocześnie ze słoika oliwki, które przerzuca do niewielkiej miseczki.

– Całe wieki. – Uśmiecham się, przypominając sobie dawne czasy i nasze kilkuletnie narzeczeństwo. – A wy?

– Też całkiem długo – odpowiada, nie wdając się w szczegóły.

Wtedy mówię coś, czego szybko żałuję, ale jest za późno.

– Zwierzał ci się, prawda? Mój Wojtek, kiedy poszliście na spacer. Narzekał na to, jaki czuje się samotny, zrobił ze mnie męczennicę, a z siebie udręczonego i zaniedbanego kolesia, który robi wszystko, żeby się zatroszczyć o żonę, ale ona jest zimną, nieczułą suką? – wyrzucam z siebie, a Izabela parska śmiechem.

– Rany, aż tak źle nie było. Po prostu mu trudno, jak nam wszystkim.

– Daj spokój, przecież widziałam. Zwierzaliście się sobie, tulił cię!

– Dobra, przepraszam, nie powinnam się kleić do twojego męża. Do tego zmierza ta rozmowa?! – podnosi głos, bo chyba lekko wytrąciłam ją z równowagi.

– Nie chodzi o to, że się do niego tuliłaś. Mam po prostu dość tego, w jaki sposób opowiada ludziom naszą wspólną historię. Jak zwala całą winę na mnie, robi ze mnie histeryczkę, podczas gdy sam... Zresztą nieważne. – Urywam w pół zdania.

– Nikomu nie jest łatwo. Ani jemu, ani tobie, ani mnie, ani mojemu Robertowi. Wojciech przynajmniej wciąż jeszcze cię kocha, czego na przykład ja w ogóle nie jestem już pewna w przypadku mojego męża – mówi z wyrzutem Iza, zanim sięga po pikle.

– Nie wiem, czy Robert cię kocha, ale przynajmniej nie szuka emocjonalnego oparcia w osobach, które zna jakieś pięć minut. A Wojtek robi to ciągle. Zaprzyjaźnia się z kobietami, przed którymi gra pohara-

tanego emocjonalnie, odrzuconego przez żonę gościa, a one robią wszystko, żeby przychylić mu nieba.

– Tylko rozmawialiśmy – broni się Izabela. – Myślałam, że właśnie po to wszyscy się spotkaliśmy, żeby porozmawiać o naszych córkach. O tym, co czujemy, co chcielibyśmy...

– Daj spokój, on prawie szlochał z twarzą pomiędzy twoimi pierściami! Jeszcze moment, a tuliłabyś go jak...

– Więc obwiniasz mnie?! – wchodzi mi w słowo Izabela. – Błagam cię, Daria, nie bądź śmieszna! Nie robiliśmy nic złego! Po prostu się rozkleił, bywa, zresztą ja też.

– Wierzę. Problem w tym, że on rozkleja się w towarzystwie każdej atrakcyjnej kobiety. Mam tego dość, rozumiesz?

– Więc z nim pogadaj, ale nie złość się na mnie. I nie patrz tak, jakbym właśnie nasikała ci do kawy! – rzuca Izabela, a ja, mimo wszystko, parszam śmiechem.

– Przepraszam – mówię. – Odwała mi. Wojtek nie znosi, kiedy jestem o niego zazdrosna, ale ostatnio... Sama nie wiem, jak to ująć... Odkąd zaginęła Amelia, czuję się głównie udręczoną matką, ale rzadko kiedy seksowną żoną. Czasem chciałabym to zmienić, ale wtedy myślę, że może nawet już mi nie wypada? Bo przecież jesteśmy w żałobie, oboje. I on, i ja. To nie czas na koronkowe gorsety, samonośne pończoszki czy majteczki z dziurką w kroczu. A jednak mam wrażenie, że on chce iść do przodu. Tęskni za mną z dawnych lat, brakuje mu śmiechu, pikantniejszego seksu, nowego rozdziału. Chciałby się odciąć od przeszłości, a ja nie umiem iść do przodu. Rozumiesz coś z tego? – mówię bliska łez, a Izabela odkłada półmisek pełen serów, który trzymała w ręku, podchodzi do mnie i odgarnia mi włosy z czoła.

– Wszystko – mówi cicho. – Nawet nie wiesz, jak dobrze to rozumiem – zapewnia mnie i po chwili obie płaczemy.

– Niezły sobie tu zafundowaliśmy emocjonalny rollercoaster, co? – Parszam śmiechem, ocierając łzy, a ona podaje mi chusteczki, które

wyjęła z olbrzymiej torby na zakupy, tej samej, w której wieczorem zauważyłam paragon z wyszczególnionymi na liście prezerwatywami.

– Dokładnie taki był cel naszego spotkania. – Mruga do mnie, a ja wydmuchuję nos. – Wiesz, co jest dla mnie najtrudniejsze? – pyta. – Świadomość nieubłaganie upływającego czasu. Nawet jeśli nasza córka kiedyś się odnajdzie, nigdy nie odzyskamy tych lat, które nam zabrano. Czekamy na tę dziewczynkę, która tamtego dnia wyszła do koleżanki, ale przecież ona się zmienia, staje się kimś innym. Powinna to robić na naszych oczach, ale nie ma jej... A co, jeśli kiedyś wróci, a ja jej nie poznam? Jeśli zmieni się tak, że nie będę potrafiła jej kochać?

– Daj spokój, sama nie wierzysz w to, co mówisz. Każda matka kocha dziecko, bez względu na wszystko – pocieszam ją.

– Gdzie ona jest? Zastanawiasz się czasem, kto ma waszą Amelię? – pyta mnie Izabela, a ja wzdrygam się, słysząc to określenie, bo przecież brzmi to tak, jakby ktoś naszą córkę przetrzymywał, co pewnie jest prawdą, pod warunkiem że ona jeszcze żyje...

– Czasem – przyznaję. – I bardzo chcę wierzyć, że mają ją po prostu ludzie, którzy chcieli mieć dziecko. Tacy, którzy tak rozpaczliwie pragnęli zostać rodzicami, że posunęli się do porwania cudzego szczęścia. O tym, że może ją przetrzymywać jakiś obleśny dziadyga, staram się nie myśleć. To dla mnie za dużo – wyznaję cicho, a Izabela w milczeniu kiwa głową, potakując.

Jemy na zewnątrz.

Niewiele tego, byle zaspokoić pierwszy głód, ale przecież w domu nie ma jeszcze warunków do ugotowania czegokolwiek czy zaserwowania nam obiadu z prawdziwego zdarzenia.

Później, po tym jak już odnosimy talerze do środka i zamykamy dom, ponownie idziemy nad jezioro i Robert proponuje spontaniczną wyprawę do pobliskiej Ostródy.

– Skoczcie z nami. Zjemy dobrą pizzę, poszwendamy się po molo, złapiemy jeszcze trochę słońca – mówi.

– Jasne, chętnie. – Mój Wojciech zgadza się od razu, bo jemu wyraźnie przypadło do gustu towarzystwo naszych nowych znajomych, ale ja nie mam najmniejszej ochoty na zatłoczoną weekendową Ostródę i tłumy roześmianych ludzi na tamtejszym molo.

– Boli mnie głowa, wolałabym powoli wracać do domu – mówię, a mąż się krzywi.

– Daj spokój, nie ma jeszcze piętnastej. Zażyj coś i wyluzuj się – radzi mi.

– Mam się wyluzować?! – ponoszę głos. – Zdajesz sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało?!

– Po prostu pragnę chociaż raz spędzić miło czas! – teraz to on krzyczy. – Chociaż, kurwa, raz! Bez twoich dąsów, łez w oczach i tego całego męczeństwa, z którym uwielbiasz się obnosić! – ciska we mnie słowami, które sprawiają, że wybucham płaczem.

– Przeginasz, chłopie – słyszę jeszcze głos Roberta, a później rzucam się w stronę ich domu i biegnę, dopóki nie wpadam do ogrodu.

Frontowe drzwi są oczywiście zamknięte, siadam więc na zewnątrz, przy stole pod drzewem, i pociągam nosem.

Izabela zjawia się przy mnie chwilę później, jest wyraźnie poruszona, pragnie mnie pocieszyć, otacza ramieniem.

– Puściły mu nerwy, bywa – mówi.

– Bronisz go?! – podnoszę głos, bo naprawdę ciężko mi w to uwierzyć.

– Nie bronię go. Mówię tylko, że puściły mu nerwy.

– Jedźmy do tej Ostródy – zmieniam nagle zdanie. – Skoro tak mi zależy, zjem pieprzoną pizzę, pójdę na molo, może nawet zgodzę się na rowery wodne czy na cokolwiek, czego sobie zażyczy mój zmęczony żalobą mąż.

– Nie rób niczego na siłę. Jeśli nie masz ochoty...

– Po prostu tam jedźmy – wchodzę w słowo Izabeli, po czym zrywam się z krzesła i ruszam w stronę furtki, a dalej drogą nad wodę.

Wygląda jednak na to, że Wojciech zmienił zdanie – nad wodą mówi mi, że postawiłam na swoim i zaraz wracamy do domu.

Chcę coś powiedzieć, ale nawet mnie nie słucha – dość wylewnie żegnana się z Robertem, całuje Izabelę w oba policzki i całą czwórka idziemy z powrotem do domu, żeby zabrać nasze rzeczy.

– Obiecuj, że jeszcze nas odwiedzicie – prosi mnie Izabela, kiedy stoimy przy naszym samochodzie. – Wiem, że było dość ekstremalnie, ale czuję, że to się może przerodzić w piękną i wartościową przyjaźń – dodaje.

Cóż, ja nie mam jeszcze takiej pewności, ale nie zamierzam z nią polemizować. Pozwalam się przytulić, dziękuję za gościnę i zakładam duże ciemne okulary, chcąc ukryć przed światem zapuchnięte od płaczu oczy.

Kiedy ruszamy, Wojtek milczy, co też nie poprawia mi nastroju.

– Będziesz się na mnie boczyć, bo boli mnie głowa? – pytam cicho, kiedy wyjeżdżamy na główną drogę.

– Problem w tym, że ciebie zawsze coś boli – opowiada.

Jego głos jest szorstki, pełen wyrzutu. Jeszcze kilka godzin wcześniej się kochaliśmy, a on na każdym kroku okazywał mi czułość, ale facet siedzący za kierownicą w niczym go nie przypomina.

– To miał być taki lekki, miły weekend. Jedna z nielicznych chwil oddechu od tego, co nas spotkało, ale ty jak zwykle zrobiłaś wszystko, żeby zamienić go w kolejny akt rodzinnego dramatu – zarzuca mi mąż.

– Ja zamieniłam nasz weekend w dramę?! A ty?! Nie wyplakiwałaś się Izabeli?! Widziałam was, słyszysz?! – wrzeszczę. – I skąd ci przyszło do głowy, że będzie miło i przyjemnie w towarzystwie ludzi, którzy w dramatycznych okolicznościach stracili dziecko?! – dorzucam, a on w złości wali dłonią w kierownicę i zjeżdża na pobocze.

– Zamknij się – cedzi. – Poważnie, zamknij się, Daria.

Chwilę później gasi silnik, wyjmuje kluczyk ze stacyjki, wysiada z samochodu, trzaska drzwiami i zostawia mnie samą w aucie.

Kiedy stoi na poboczu, zapatrzony w migające raz za razem w wyłaniającym się zza ciężkich chmur słońcu wody pobliskiego jeziora, wybucham płaczem.

Nie mogę go stracić. Nie przeżyłabym tego.

Zanosi się na burzę, niebo nam nami ciemnieje tak gwałtownie, że robi mi się nieswojo – ponura, burzowa i duszna aura zdaje się współgrać z moim niepokojem i wewnętrznym rozedrganiem.

Wysiadam z auta i idę w stronę męża.

– Nawet nie zaczynaj! – warczy Wojtek, nie odwracając się – musiał usłyszeć chrzęst moich kroków na pełnym żwiru poboczu.

Nie odpowiadam.

Wtulam się w jego plecy i przywieram do nich policzkiem.

– Kocham cię, przecież wiesz – szepczę, a on odwraca się twarzą do mnie i ujmuje moją twarz w dłonie.

– Też cię kocham, dziecinko – mówi, wyraźnie mięknąc. – I bardzo cię przepraszam – dodaje, zanim mnie całuje.

Pierwsze krople deszczu spadają na nas, kiedy się całujemy, stojąc na poboczu. Chwilę później niebo dosłownie się nad nami otwiera i chlustają z niego hektolitry wody.

Podróż jest trudna, wlecemy się wolno, przy niebezpiecznie słabej widoczności, w końcu Wojtek zjeżdża na niewielki parking przed zamkniętym na głucho przydrożnym lokalem, gdzie chcemy przeczekać najgorsze.

– Boisz się? – pyta, kiedy gdzieś nad nami przetaczają się grzmoty.

– Nie – kłamię, a on gładzi mnie po głowie.

– Jasne, że tak. – Szczerzy się w tym swoim chłopięcym szerokim uśmiechu. – I w sumie całkiem lubię tę przerażoną małą kobietkę, w którą się czasem zamieniasz – dodaje.

Kiedy burza uspokaja się na tyle, że możemy ruszać, Wojtek wolno wyjeżdża na drogę, a ja włączam radio, gdzie trafiam na doniesienia o gwałtownej nawałnicy i zerwanym dachu remizy gdzieś kilkanaście kilometrów stąd.

– Wygląda na to, że epicentrum burzy było nieco dalej – mruczy Wojtek, nie odrywając wzroku od mokrego asfaltu.

Do domu wracamy spokojni, pogodzeni, ale też przepełnieni głębokim smutkiem.

Wchodząc do środka, staramy się nie myśleć o pustym dziecięcym pokoju, otaczającej nas ciszy i wieczorze, który samotnie spędzimy przed telewizorem, daleko od córki. Amelia przepadła.

Czasem chciałabym umieć się z tym pogodzić, ale nadal nie potrafię. Zaginięcie córki zdeterminowało całe moje życie, odcisnęło się piętnem na wszystkim, co robię, przygięło mnie tak, jak silny wiatr gnie wiotki pień drzewa. Chcę żyć lepiej, pełniej, radośniej, ale nie potrafię.

Dlatego zamykam się w łazience i płaczę.

Wychodzę z niej dopiero, kiedy Wojtek łomocze w drzwi.

– Zrobiłem zapiekankę – mówi.

Nie jestem głodna, mam to na końcu języka, ale milczę. Wiem, że on się stara, powinnam bardziej to doceniać. W przeciwnym razie znajdzie się taka kobieta, której przyjdzie to z większą łatwością.

– Powinnaś wrócić do pracy – odzywa się nagle Wojciech, a ja neruchomieję z kawałkiem zapiekanki w dłoni.

Nie mogę, nie jestem na to gotowa!, coś we mnie krzyczy, ale on patrzy z taką nadzieją w oczach.

– Nie służy ci ta izolacja, to zbyt długo trwa. Nie musisz wracać do przedszkola, znajdź sobie coś innego, ale wróć między ludzi.

– Nie dam rady – szepczę, połykając łzy. – Ja wciąż nie jestem gotowa, nie rozumiesz?

– Minęły prawie dwa lata – przypomina mi mąż, zupełnie jakbym codziennie nie odliczała dni od tej przeklętej daty, gdy los odebrał nam córkę.

– To nie jest kwestia czasu, tylko tego, co mam w sercu. Nie umiem wyjść do ludzi, bo nie mam im nic do zaoferowania. Nie wyobrażam sobie codziennych rozmów o niczym, tej wszechobecnej w miejscach pracy paplaniny, z którą musiałabym się zmierzyć. Nie umiem nawet myśleć o tym, że kobiety, z którymi będę pracować, będą miały dzieci, a ja...

– Miliony kobiet mają dzieci! – krzyczy Wojciech. – I co, zamkniesz się w domu, żeby ich nie widywać?!

– Nie miałabym nic przeciwko – mówię cicho, ledwie słyszalnym szeptem, a on warczy, że mam zacząć szukać etatu.

– Na dniach, słyszysz?! Mówię poważnie, wracasz między ludzi!

– Nie rozkazuj mi! Nie jesteś moim ojcem, a ja nie mam już piętnastu lat!

– To się tak nie zachowuj! Bo czasem mam wrażenie, że mieszkam z rozkapryszoną nastolatką! Wiem, że rodzice cię rozpieszczali. Że zawsze miałaś wszystko, a teraz...

– Nie mieszaj w to moich rodziców! Kochają mnie, to cała ich wina! – krzyczę.

Chwilę później zrzucam na obrus resztkę niedojedzonej zapiekanki i z furią ciskam upačkanym keczupem talerzem o pomalowaną na jasny beż, niedawno odnawianą ścianę.

– Spierdalaj! – cedzę.

– Jak sobie życzysz! – Wojciech wstaje od stołu i w zaciętym milczeniu opuszcza jadalnię.

Później słyszę już tylko trzaśnięcie frontowych drzwi i w naszym domu zapada cisza.

Płacę skulona na sofie, a moje łzy wsiąkają w ozdobną poduszkę, którą kiedyś lubiła Amelia. Cały mój świat się wali, a ja nie umiem nic z tym zrobić, myślę.

Wojciech wraca przed dwudziestą pierwszą, lekko pijany. W ręku ma bukiet forsycji, której musiał narwać w pobliskim parku, a na twarzy wyraz skruchy.

– Przepraszam. – Przyklęka obok sofy, na której leżę. – Przepraszam cię, Dariuszko – mruży, zanim całuje mnie w usta.

Wyciągam rękę i gładzę go po nieogolonym policzku.

– Wszystko będzie dobrze – mówię, chociaż wcale w to nie wierzę

IZABELA

Kiedy Daria z Wojciechem odjeżdżają, Robert przechodzi za mną do ogrodu i zaczyna zbierać ze stołu talerze, jednorazowe kubki po soku i flaszki po piwie.

– Jak się bawiłaś? – pyta, kiedy, widząc, że zanosi się na burzę, zabieram się za składanie rozstawionych nieopodal leżaków.

– Było całkiem miło – mówię dyplomatycznie, bo w sumie sama nie wiem, jak będę wspominać ten weekend.

Wojciecha od razu polubiłam, ale na tę pozytywną ocenę jego osoby mógł też wpłynąć fakt, że facet od razu wpadł mi w oko.

Natomiast jeśli chodzi o Darię, mam wobec niej mocno ambiwalentne uczucia. Z jednej strony jest mi jej żal, wiadomo, rozumiem, przez co przechodzi, i serce mi się kraje na samą myśl o tym. Z drugiej jednak, mimo swojej kruchości i delikatności, żona Wojciecha sprawia wrażenie roszczeniowej i rozkapryszzonej – myślę, że w ich związku to Wojtek skacze wokół niej, nie na odwrót. To on stara się bardziej, robi wszystko, żeby ją zadowolić, nie zawsze z odpowiednim skutkiem. Drażni mnie to, bo nigdy nie lubiłam takich księżniczek. Ja pochodzę ze skromnego domu, w którym się raczej nie przelewało. Mam starszą siostrę i dwóch młodszych braci, od dziecka wychowywano mnie surowo i wdrażano w domowe obowiązki. Daria sprawia natomiast wrażenie wychuchanej królowny, której dosłownie wszystko podano na posrebrzanej tacy, myślę. Ale być może oceniam ją zbyt surowo? Nie mogę też powiedzieć, że zdecydowanie jej nie polubiłam, bo jest w niej coś, co mnie ujęło, na pewno udało się nam nawiązać jakąś więź, a to już coś na początek.

– Jemu musi dobrze iść w tych remontach, skoro sam utrzymuje dom – mówi nagle Robert, a ja lekko się krzywię, bo mojego męża zawsze w pierwszej kolejności interesują wyłącznie kwestie finansowe, co jest trochę rozczarowujące.

– Ludzie ciągle się budują, remontują, co się dziwisz? – Wzruszam ramionami, podnosząc leżący w trawie plastikowy kubek.

– Muszę tu skosić trawę. W przyszły weekend wpadnę z kosiarką. Warto by też ogarnąć coś z remontem, póki pogoda jest znośna. – Robert dorzuca na tacę jeszcze jedną butelkę po piwie i drapie się po głowie. – Ona do niego nie pasuje, zauważyłaś? – dodaje.

– Daria do Wojtka? – dziwię się, zaskoczona wysnutym przez męża wnioskiem. – Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Jest delikatna, a on grubiański.

– Grubiański? Nie zauważyłam.

– Może złe słowo... Toporny? Taki bardziej... nie wiem, głośny, żarłoczniej łapiący każdą chwilę, inny po prostu.

– Przeciwności się przyciągają. Gdyby nie to, my też nie byłibyśmy razem – mruczę, a mąż posyła mi zdziwione spojrzenie.

– My jesteśmy podobni. Mamy te same plany, życiowe priorytety, jesteśmy...

– Nie sądzę – ucinam dyskusję.

– No to mnie zaskoczyłaś... – Robert wygląda na urażonego.

– Daj spokój, różnimy się, ostatnio coraz bardziej. Dla ciebie ważna jest przede wszystkim kasa, dla mnie emocje. Ty nie chcesz mieć drugiego dziecka, ja o nim marzę.

– No tak, i wróciliśmy do tematu. – Mąż wyraźnie się krzywi.

– Stwierdzam po prostu fakt.

– Przypierasz mnie do muru, po raz kolejny w ciągu ostatnich dni.

– Może, ale i tak nie zamierzasz zmienić zdania, prawda? W naszym małżeństwie to zawsze twoje wybory i decyzje bywają priorytetowe i jedyne, bezdyskusyjnie – zarzucam mu, a on czerwienieje na twarzy.

– Nie wiedziałem, że masz mnie za takiego potwora! – rzuca przez zęby.

– Nie jesteś potworem, Robert. Jesteś pieprzonym egoistą. – Uśmiecham się krzywo i z torbą pełną śmieci w ręku ruszam w stronę domu.

W środku wyrzucam zebrane w ogrodzie odpady do kubła, robię sobie kawę i wyglądając przez okno, sączę odrobinę przesłodzony, pełen kofeiny napój.

Na zewnątrz zrywa się porywisty wiatr, w ciągu ostatnich minut niebo gwałtownie pociemniało, chmury pędzą po nim w zawrotnym tempie, po chwili kilkakrotnie się błyska – zygzaki błyskawic srebrzą się raz za razem, przyciągając mój wzrok i niepokojąc jednocześnie.

Robert, zupełnie niewzruszony rozgrywającym się nad jego głową spektaklem mocno rozgniewanej natury, zbiera z trawy zapomniane lotki do badmintona.

Otwieram okno i wołam go do domu.

Nie lubię burzy, boję się jej od dziecka, a już z całą pewnością nie rozumiem ludzi, którzy bagatelizują niebezpieczeństwo pozostając na dworze, kiedy mogą wejść do środka.

– Robert!!! – wrzeszczę ponownie, kiedy mąż mnie ignoruje, a on spogląda w moją stronę i posyła mi złośliwy uśmiezek. Jest na mnie wyraźnie wściekły po tym, co kilka minut wcześniej mu powiedziałam, i pewnie miałby niezłą satysfakcję, gdyby na moich oczach przetrącił mu grzbiet piorun. Zawsze był złośliwy i lubił robić mi na przekór, niczym krnąbrny dzieciak. – Cholerny dupek – rzucam pod nosem i wylewam do zlewu resztę kawy, bojąc się, że znowu będę źle spać.

Kiedy mąż wchodzi w końcu do domu, za oknem grzmi, odgłos jest tak głośny, że dzwonią szyby w oknach.

– Moja żonka się boi? – Robert puszcza do mnie oko i siada za stołem.

Dawniej, kiedy burza była blisko, tulił mnie albo całował, ale od dawna tego nie robi. Teraz wyłącznie się ze mnie nabija bądź mnie ignoruje.

Błyska się. Raz za razem, z kilkusekundowymi przerwami. W kuchni jest ciemno, jak wieczorem, a kiedy próbuję zapalić światło,

nie dzieje się nic.

– Nie ma prądu – mówię, a Robert obojętnie wzrusza ramionami.

– Witamy na wsi – stwierdza, zabierając się za mycie leżącego na stole jabłka.

– Mamy jakieś świece? – Nadzieja w moim głosie sprawia, że mąż parska, poirytowany.

– Tutaj? – pyta. – A niby skąd? – rzuca przez zęby, tak zniesmaczony, jakbym palnęła głupotę tysiąclecia.

– W prognozie na region piszą, że to groźna nawałnica – mówię, przeglądając komórkę.

– Przeżyjemy, nie ma co panikować. Chcesz? – Mąż podaje mi ćwiartkę rozkrojonego przed momentem jabłka, którą od niego biorę, zastanawiając się, jak zdołał posługiwać się nożem w tym mroku.

– Dzięki – mówię, siadając naprzeciw niego, a on wyciąga rękę i na moment zaciska ją na palcach mojej dłoni.

– Nie bój się, mała, to tylko burza – mówi i przez chwilę widzę w nim tego mężczyznę, którego przed laty poślubiłam.

Kiedy nad domem przetacza się kolejny grzmot, lekko się wzdrygam, ale słowa otuchy od męża przynoszą pozytywny skutek i udaje mi się opanować paniczny lęk.

Za oknem zaczyna lać, deszcz jest rzęsisty, gwałtowny i ulewny, bębni o parapet, zalewa szyby i przesłania świat.

– Miejmy nadzieję, że Daria z Wojtkiem nie wjechali w sam środek tego pogodowego szaleństwa – mówię.

– Poradzą sobie – stwierdza mąż, zanim wstaje i oznajmia, że idzie się zdrzemnąć.

Mam ochotę iść za nim, bo za żadne skarby świata nie chcę zostawać sama w tej obcej, szpetnej kuchni, ale coś mnie blokuje. Nie, nie jestem dzieckiem, nie mogę się tak zachowywać, mówię sobie.

Zostaję więc przy stole i żeby jakoś zabić czas, przeglądam telefon. Instagram, Facebook, maile – trochę tego jest. Po chwili szukam na Instagramie Wojtka i znajduję tam profil jego firmy budowlanej. Jak się okazuje, prowadzi go z całkiem niezłym poczuciem humoru, rekla-

mując prace wykończeniowe i większe remonty. Często zamieszcza również zdjęcia swoje i dwóch wspólników – obaj są tak samo dobrze zbudowani, jak on, i często pozują bez koszulek. Znajduję nawet zimową fotkę, na której Wojciech z wiertarką w dłoni i nagim torsem stoi na tle syjącego śniegu. Podpis do zdjęcia brzmi: „Prawdziwemu mężczyźnie w pracy zawsze gorąco!”. Pozuje też z kanapkami, czarnym kotem, którego trzyma w ramionach, i kubkiem kawy z napisem: „Wiertarką i młotem odwalam każdą robotę!”.

Uśmiecham się i przeglądam kolejne fotki dokumentujące ich pracę – Wojtek na drabinie, ładnie opalony, znów z gołą klatą i w ciemnych, poplamionych farbą džinsach. Wojtek na dachu, machający do kogoś na dole, kolejny raz na drabinie, z młotkiem, pędzlem i siekierą w dłoni, zawsze szeroko uśmiechnięty, wyglądający na kogoś, kto uwielbia swoją pracę. Nagle widzę Darię – pojawia się na kilku najwcześniejszych zdjęciach, zamieszczonych rok wcześniej – w kwiecistej sukience, z rozpuszczonymi włosami wygląda ładnie, choć sprawia wrażenie zamyślanej i nieco smutnej.

„Żonka przywiozła nam lunch”, czytam podpis pod jednym ze zdjęć.

Na innym Wojtek macha do niej z dachu niskiej przybudówki, podczas gdy ona stoi w trawie i posyła mu w locie całusa. Cóż, ktokolwiek cyka te fotki, umie w marketing, myślę z uznaniem, podejrzewając, że to jeden ze wspólników Wojciecha, bo przecież żadna średnia firma zajmująca się budowlanką nie zleca komuś regularnie płatnych sesji foto. W to bardzo wątpię.

– Co robisz? – Dochodzący zza moich pleców głos męża sprawia, że podskakuję, a telefon wypada mi z ręki na stół.

– Siedzę, a co mam robić? – burczę, sięgając po komórkę.

– Jest już prąd? – pyta Robert.

– Nie wiem, nie sprawdzałam.

– Kiedy chcesz wracać?

– Jak skończy się burza.

– Mamy coś do zarcia? No wiesz, w domu?

– Pewnie tak – mówię, bo przecież w lodówce zawsze się coś znajdzie.

Godzinę później w samochodzie Robert pyta, czy miałabym ochotę zorganizować jakiś wspólny wyjazd.

– Z Wojtkiem i Daria – precyzuje, chociaż przecież się domyśliłam.

– W sensie wakacje? – dociekam, bo jego propozycja jest dość zaskakująca.

– Nie no, parę dni. Może góry czy morze, te klimaty.

– Szczerze? Nie – mówię.

– Bo? Myślałem, że ich towarzystwo dobrze nam zrobiło.

– Są mili, co nie znaczy, że zamierzam jeździć z nimi nad morze – rzucam z przekąsem.

– Więc już zawsze będziemy jeździć sami? Kiedy zaginęła Iga, odcięliśmy od wszystkich naszych przyjaciół. Nie chciałaś nikogo widzieć, a ja starałem się to rozumieć, ale teraz...

– Czekał, wróć! Ja nie chciałam nikogo widzieć?! – podnoszę głos, bo nagle mam wrażenie, że on o wszystko obwinia mnie.

– Owszem, ty.

– Ludzie życzyli nam dobrze, ale chcieli dalej żyć własnym życiem, nie rozumiesz tego?! Nasi sąsiedzi, kuzynostwo, rodzeństwo, przyjaciele, znajomi z pracy! Chcieli wpieprzać karkówkę przy grillu, jak gdyby nigdy nic, nadal móc się upijać w przydomowych ogródkach i nie musieć przybierać zboląłego wyrazu twarzy za każdym razem, kiedy pojawiają się w zasięgu ich wzroku! Odcięłam się od wszystkich, bo wiedziałam, że nigdy tak do końca nas nie zrozumieją!

– Właśnie! A Daria z Wojtkiem nas doskonale rozumieją! – W głosie męża słyszę triumfalną nutę.

– I co z tego? Mamy się z nimi opalać na plaży w Dąbkach tylko dlatego, że ich córka również przepadła? – parskam.

Tak naprawdę nie chcę tego wyjazdu z jednego prostego powodu – Wojtek mi się podoba. Podoba mi się tak bardzo, że boję się samej siebie.

Chcę to ukrócić już teraz, zdusić w zarodku tę znajomość, która może mi przynieść same kłopoty. Nie chcę robić żadnych głupot, nie mam na to czasu, chęci ani siły.

Nie chcę też skrzywdzić Darii, która tak wiele już przecież przeszła, a wiem, że jeśli będziemy kontynuować znajomość z tymi ludźmi, prędzej czy później wyląduję z tym facetem w łóżku. Widziałam to w jego oczach, w momencie, w którym rozmawialiśmy na wąskiej ścieżce nad wodą. To, jak na mnie patrzył... Nie, nie ma takiej opcji, żebyśmy razem jechali nad morze, postanawiam w duchu.

– Czyli nie chcesz? – burczy Robert.

Nie rozumiem jego rozczarowania, tym bardziej że na moje oko nie zbliżył się jakoś szczególnie ani do Darii, ani do Wojciecha.

Ale, być może, jest tak bardzo spragniony towarzystwa, że sięga po pierwsze lepsze rozwiązanie? Kiedyś lubiliśmy wychodzić do ludzi, weekendy spędzaliśmy w pubach, klubach, nad wodą i na grillach. Jednak odkąd przepadła Iga, zdziczeliśmy. Ja zamknęłam się w sobie, on zrobił się ponury. Złamało nas to wszystko na tyle różnych sposobów. Myślę o tym i nagle zaczynam płakać.

Robert nie widzi moich łez, prowadzi w milczeniu, skupiony na drodze.

Kiedy dojeżdżamy do naszego miasta, pyta tylko, czy ma się zatrzymać przy Żabce i w aucie znowu zapada cisza.

Tak będzie już zawsze?, zastanawiam się. Ta okropna, nieprzenikniona cisza między nami, coraz więcej niewypowiedzianych rozczarowań, niezręczne chwile ulotnej bliskości, kiedy mijamy się rano w łazience czy kuchni? Nasze małżeństwo toczy się dalej dzięki sile przyzwyczajenia, ale mam upiorne wrażenie, że lada moment nasz związek utknie w martwym punkcie, z którego nie będzie się już dało ruszyć.

Kiedy mąż staje przed naszą furtką, zerkam na dom i coś mnie łapie za gardło. Ósmego czerwca Iga skończy piętnaście lat. O ile jeszcze żyje... Gdyby wciąż była z nami, spędzalibyśmy pewnie teraz leniwą rodzinną niedzielę, nudząc się w salonie, bądź kręcąc się po ogrodzie.

Tu nie padało, choć było duszno i pochmurnie. Córka pewnie wyciągnęłaby nas na rowery, może nad wodę. Wiem, że dorasta, powoli i nieuchronnie zamienia się w młodą kobietkę, ale ja, myśląc o niej, wciąż mam przed oczyma śliczną buźkę jedenastolatki, którą była tamtego dnia, kiedy przepadła. Chciałabym potrafić wyobrazić ją sobie jako piętnastolatkę, ale nie umiem. Dla mnie czas się zatrzymał, wciąż jestem matką jedenastolatki, która wyszła do koleżanki i rozplynęła się w powietrzu.

10 DARIA

W poniedziałek robię mężowi śniadanie do pracy i zaczynam ogarniać kuchnię. Kiedy Wojtek wychodzi, parzę kawę i wychodzę z nią na taras. Kwietniowy ranek jest chłodny, ale nie czuję zimna. Myślę o córce, zastanawiam się, gdzie jest, i zaczynam płakać.

Uliczką przejeżdża śmieciarka, ciągnąc za sobą smród, za płotem, u sąsiadów, szczeka pies, docierają do moich uszu jakieś szczątkowe ślady życia, a jednak nie potrafię niczym się zająć, chcę tylko uzalać się nad sobą dotąd, aż wypłaczę wszystkie przeznaczone na ten dzień łzy. Gdzieś w głębi domu dzwoni mój telefon, słyszę jego dźwięk przez rozsunięte tarasowe drzwi, ale nie chce mi się wracać do salonu, żeby go odebrać.

Pewnie tato chce zapytać, jak się czuję, myślę.

Wieści o córce się nie spodziewam, bo zadzwoniłoby do Wojtka. Jego numer podajemy wszędzie.

Zaczyna kropić. Przymykam oczy i wdycham intensywny, ziemisty zapach wiosny. Przyroda ponownie budzi się do życia, wszystko zatacza kolejny krąg, żeby wrócić do punktu wyjścia, tylko moje życie utknęło.

Myślę o tym, że zazdroszczę Wojtkowi. Uwielbia swoją pracę, zawsze ją lubił. Remonty są jego pasją, pochłaniają go do tego stopnia, że czasem wydaje mi się to niezdrowe. Zazdroszczę mu tego oddania, zajęcia czymś rąk, zapomnienia. Wiem, że kiedy pracuje, rzadko myśli o Amelii, może nawet wcale. Stukot młotka, odgłosy wiertarki, zapach farby i cementu – wciąga go chwila obecna, pochłania i odcina od naszej traumy. Ja nie umiem się odciąć, nie potrafię ruszyć do przodu. Praca przedszkolanki jest dla mnie stracona, a niczego innego nigdy nie ro-

biłam. Oczywiście mogłabym znaleźć sobie cokolwiek, problem w tym, że nie mam siły. Gdybym wróciła na etat, musiałabym co rano wstać, brać prysznic, malować się, układać włosy i wychodzić z domu, a przecież dla mnie trudne jest nawet przebranie się z koszuli nocnej w dres, w którym później snuję się godzinami.

Nagle myślę o Izabeli i dociera do mnie, że jej też zazdrozczę. Pozbierała się lepiej ode mnie, jest twardsza. Pracuje, radzi sobie z ludźmi, nie ucieka jak ja, nie odbija jej...

Przez chwilę mam ochotę wybrać jej numer, ale coś mnie powstrzymuje. Zresztą teraz jest pewnie w salonie, zajmuje się głowami klientów, nie miałaby czasu, żeby rozmawiać.

Wracam do dużego pokoju i sprawdzam, kto dzwonił. Jak podejrzewałam – tato.

Naciskam jego numer i z telefonem przy uchu siadam na sofie.

– Hej, co tam? – pytam, kiedy odbiera.

– Cześć, córeczko. Co słychać?

– Nic nowego – burczę, chyba niezbyt sympatycznym tonem, ale co to w końcu za pytanie.

Wiadomo, że u nas nic nowego. Nie chce mi się żyć, w dodatku kilka dni temu, tuż przed grillem, odstawiłam tabletki. Nie chcę dłużej się nimi otumaniać, muszę wrócić do odczuwania własnych emocji, inaczej zamienię się w zombie, mówię sobie. Zresztą od dawna nie zażywałam ich regularnie, choć akurat tego nie powiedziałam ani mężowi, ani lekarce, do której czasem niechętnie chadzam.

– Mama upiekła szarotkę, może wpadniesz? – pyta tato.

Uśmiecham się na myśl o rodzinnym domu. Myślę o mamie, dwóch starych kotach rodziców, pełnym drzew ogrodzie, w którym bawiłam się jako dziecko, ale wiem, że nie znajdę w sobie siły, żeby teraz tam iść, chociaż to przecież blisko, kilka minut spaceru, bądź jedna chwila autem.

Po południu zamierzam jechać do mojej dobrej koleżanki Renaty, a to już wystarczająco wyczerpujący jak dla mnie plan dnia.

– Nie dzisiaj, wybaczcie – odpowiadam więc tacie i dodaję, że muszę kończyć.

– Wojciech mi dziś wspomniał, że szukasz pracy – odzywa się jeszcze ojciec, zanim zdążam się rozłączyć.

– Co? Nie, ja tylko... On chce, żebym sobie czegoś poszukała, ale ja...

– Zaskoczona, że również tato podjął temat, zaczynam się jąkać.

– Nasza dobra znajoma ma wolny etat w swoim butikiu. Wiem, że masz studia i w sumie nie potrzebujesz nawet pieniędzy, ale to miła i spokojna praca, pozwoliłaby ci odetchnąć, zająć się sobą. Ładne ubrania, miłe klientki, mogłabyś...

– Tato, o czym ty mówisz?! Jak miałabym sprzedawać cholerne ubrania jakimś paniusiom, skoro ciągle jestem w rozsypce?! – krzyczę na niego, po raz pierwszy od dawna. – Przepraszam – dodaję po chwili. – Po prostu nie dam rady.

– To może jednak powinnaś wrócić na tę terapię? – sugeruje tato. – Martwimy się z mamą o ciebie, boimy się, że...

– Spokojnie, kolejnych prób samobójczych nie będzie – wchodzę mu w słowo, świetnie wiedząc, czego najbardziej się obawia.

– Skąd możesz mieć taką pewność? Czasem to jest gorsza chwila, przyjdzie załamanie i zrobisz coś głupiego.

– Nie zrobię – zapewniam go zmęczonym głosem, a on prosi, żebym zapisała sobie numer jego znajomej.

– Zadzwoń do Barbary, pogadaj z nią. Nie musisz pracować tam długo, ale etat pomógłby ci...

– Dobrze, daj mi ten numer – przerywam ojcu.

Później zapisuję go na skrawku papierowej serwetki i w pośpiechu kończę rozmowę.

Nie chcę tam dzwonić, ale presja, jaką wywiera na mnie rodzina, zaczyna mnie uwierać. Wybieram więc numer znajomej taty i umawiam się z nią na następny dzień.

Barbara wydaje się sympatyczna, zaprasza mnie do swojego butikiu, gdzie mamy wypić kawę i spokojnie porozmawiać przed jego otwarciem.

Z myślą o tym zmuszam się, żeby zrobić sobie paznokcie, później wlokę się pod prysznic i jako tako układam włosy.

Myśl o rozmowie o pracę mnie przeraża. Wiem, że to zawalę, przyniosę tacie wstyd i zrobię z siebie idiotkę, bo nie mam najmniejszej ochoty spędzać długich godzin w cudzym butikiu z przecenionymi szmatami. Ale teraz nie chcę tego rozważać, będę się martwić jutro, mówię sobie w duchu.

Wojtek wpada na chwilę do domu, kiedy ubieram się przed wyjściem do Renaty.

– Jest coś do żarcia?! – drze się z przedpokoju.

– Nie! – odkrzykuję, urażona tym, że nawet się nie przywitał, a już chce, żebym go nakarmiła.

– Wychodzisz? – dziwi się, widząc mnie z kwiecistą kiecką w ręku.

– Do Renaty – mówię, zakładając sukienkę.

– Myślałem, że skoczymy dziś do pubu. Skończyliśmy remont tej rudery na Zawilej i trzeba to oblać. Mirka nie będzie, ale my dwoje...

– Jadę do Renaty, chyba słyszysz.

– Dobra, nie chcesz, to nie. Wypiję sobie ze trzy piwka w domu, przed telewizorem.

– Byle nie więcej – mruczę, a on wzrusza ramionami.

– Nigdy jakoś szczególnie ci to nie przeszkadzało – mówi.

Nie odpowiadam.

Nie chce mi się wyjeżdżać autem z garażu, więc dzwonię po taryfę i wychodzę. Ulicą idzie jedna z sąsiadek, macha do mnie. Uśmiecham się z wysiłkiem. Córka, która drepcze obok niej, jest w wieku, w jakim była nasza Amelia w chwili zaginięcia, a widok radosnej, ślicznie ubranej dziewczynki sprawia mi ból. Obie niosą w rękach reklamówki z odzieżowymi zakupami, a ja zdaję sobie sprawę z tego, że być może mnie nie będzie dane nawet coś tak prozaicznego, jak wypad do centrum handlowego z Amelią u boku, i znowu chce mi się płakać.

Taksówka podjeżdża lekko spóźniona, za to starszy taryfiarz jest gawędziarzem – ledwo wsiadam, a zaczyna monolog dotyczący sytuacji politycznej w kraju, jednak jakimś dziwnym trafem tym razem mi to

nie przeszkadza. Dzięki temu przynajmniej przez chwilę nie myślę o córce.

Kiedy wysiadam, widzę Renatę – moja przyjaciółka kręci się w ogrodzie, przy jej nogach ujada niewielki kudłaty piesek – znajda, którego przygarnęła kilka miesięcy wcześniej.

– Cześć! – Macham jej, a ona rusza w stronę furtki, otwiera ją i z uśmiechem wpuszcza mnie do ogrodu.

Kiedy wchodzimy do domu – parterowego, zaniedbanego budynku, który kilka lat wcześniej Renata odziedziczyła po bracie swojego ojca, krzywię się, czując nieprzyjemny swąd mocno przypalonego mleka.

– Wybacz, Darek robił budyń – uśmiecha się do mnie Renia, a jej młodszy syn wychodzi z kuchni i rzuca: „Cześć, ciociu”.

Starszego nie ma, podobno jest na treningu.

Wręczam jej reklamówkę z prezentami dla chłopaków, a ona sadza mnie w salonie. W pokoju panuje niemiłosierny wręcz bałagan, Renata, w przeciwieństwie do mnie, w kryzysie raczej zapuszcza dom, niż go pucuje.

– Marek się odzywał? – pytam, chociaż podejrzewam, że nie, bo odkąd jej mąż wyjechał do pracy w Irlandii i spotkał jakąś młodą Rumunkę, dzwoni sporadycznie, a kasy już prawie nie wysyła.

– Nie. – Renata potwierdza moje przypuszczenia i siada naprzeciwko mnie.

Wygląda marnie, ma podkrążone oczy, olbrzymi ciemny odrost na jasnorudych włosach i dziurę w swetrze – zapewne to jeden z tych, które zakłada wyłącznie do prac ogrodowych.

– A ty? Jak się trzymasz? – pyta, ale nie chcę o tym mówić.

Przyszłam tu w końcu głównie po to, żeby na chwilę zapomnieć o sobie.

– Słuchaj, głupio mi prosić, ale pożyczylabyś parę stówek? – pyta kilka minut później, kiedy siedzimy nad herbatą. – Wiem, że ledwo ci oddałam poprzedni dług, ale obecnie jest mi coraz ciężiej, a chłopcy...

– Nie ma problemu – mówię, bo przecież faktycznie to żaden kłopot.

Tato regularnie robi mi przelewy, co nieco daje mi też mąż, mogę jej pożyczyć i zrobię to chętnie. Może jestem z natury złym człowiekiem, a może dopiero tragedia Amelii uczyniła ze mnie potwora, ale lubię tu przychodzić i patrzeć na cały ten chaos: stary zaniedbany dom, brudne, oblepione tłuszczem i musztardą talerze na stołach, jej zniechęcenie, grymas złości na twarzy – wszystko to chłonę całą sobą niczym emocjonalny wampir, mówiąc sobie, że nie tylko mnie dowalił los.

Życzę Renacie dobrze, znamy się od lat. Mam nadzieję, że szybko poukłada sobie życie, otrząśnie się po zdradzie męża i stanie na nogi finansowo, ale w tym akurat momencie jej trudna sytuacja jest mi na rękę – tu, w jej przeraźliwie zabałaganionym salonie i tym paskudnym, starym domu, nie czuję się ofiarą losu, ale kimś, kto niesie pomoc. Tu nie ma znaczenia, że jestem matką zaginionej dziewczynki. Pod tym dachem to Renata jest większą kaleką życiową – z ciągle pustawym portfelem, złamanym przez męża sercem i strachem w jasnych oczach sprawia, że ja czuję się nieco lepiej. W konfrontacji z nią wypadam na bardziej ogarniętą i pociesza mnie myśl, że nie muszę przynajmniej zebrać wśród znajomych o kasę.

Rozmawiamy krótko, bo ona zaczyna płakać, później mnie przeprosza, w końcu idzie do syna, który nie może czegoś znaleźć, a potrzebuje tego do pracy domowej.

Zbierając się, obiecuję jej, że wpadnę w przyszłym tygodniu i zegnamy się w drzwiach.

Wieczorem Wojtek się upija, a później chce mnie namówić na wspólny prysznic, ale nie mam na to najmniejszej ochoty.

– Idę spać, jutro mam rozmowę o pracę – mówię, a on rzuca: „a to nowość” i krzywo się uśmiecha, ale życzy mi powodzenia.

Rano wstaję zaskakująco pełna energii i przez jedną chwilę wierzę nawet w to, że uda mi się dostać tę pracę i wrócić do ludzi. Do wyjścia przygotowuję się wyjątkowo starannie, nakładam dopracowany makijaż i wydaję z szafy dawno nienoszona, ciemnoczerwona sukienka. Czerwień odwiesiłam w głąb szafy po zaginięciu Amelii, podobnie

zresztą jak wszelkie róże, żółcie i odważniejsze kolory. Oficjalnie nie jestem w żałobie, ale przecież tak się czuję – tego dnia mam jednak ochotę przełamać smutne nawyki i pokazać się światu w pełnej krasie.

Do centrum docieram taryfą, później ruszam wzdłuż jednej z najruchliwszych ulic. I nagle dociera do mnie, że nie dam rady... Otaczające mnie obce twarze, chaos, hałas i ruch sprawiają, że dopada mnie atak paniki. Przeszukuję torebkę z nadzieją, że znajdę xanax, ale chwilę później przypominam sobie, że już go zużyłam... Od butiku dzieli mnie kilkaset metrów, ale nawet ta niewielka odległość wydaje mi się w tym momencie czymś na miarę próby zdobycia K2.

Opieram się o ścianę jednej z kamienic, a serce wali mi tak gwałtownie, jakby miało wyskoczyć z piersi. W mojej torebce dzwoni telefon. Nie odbieram, nie jestem w stanie nawet go wyciągnąć. Później opadam na jedną z ławek stojących przy wejściu do dużej księgarni i staram się skupić na oddechu.

Nie dam rady.

Nie chcę.

Nie zrobię tego.

Do znajomej ojca piszę, że przepraszam, ale rano zwichnęłam nogę i nie jestem w stanie się pojawić. Odpisuje jednym słowem: „Rozumiem”, nie dodaje nic więcej. Pewnie się domyśliła, że ją wystawiłam, ale to też mam gdzieś. Wiem jedno, że dopóki nie znajdzie się moja córka, dopóty nie będę umiała normalnie żyć. Obecnie jedynym miejscem, w którym czuję się w miarę znośnie, jest mój dom. Praca na etacie, zwłaszcza w pełnym roześmianych klientek butiku, to koszmar, którego nie byłabym w stanie udźwignąć. Wiem, że zawiodłam tatę i najprawdopodobniej przyniosłam mu wstyd, ale to też mam gdzieś.

Macham w stronę przejeżdżającej ulicą taryfy i podaję kierowcy adres domu.

Kwadrans później, bezpieczna za zamkniętymi frontowymi drzwiami, zdejmuję z nóg szpilki, zrzucam sukienkę, zmywam makijaż i w samej bieliźnie kładę się na łóżku. Otacza mnie cisza. Dzięki

niej uspokajam się na tyle, żeby nie zacząć wrzeszczeć. Nigdy nie byłam silna, zdaję sobie z tego sprawę. Jestem krucha emocjonalnie, rozpieszczona przez nadopiekuńczych, bogatych rodziców i rozchwiana. Wiem, że powinnam bardziej o siebie zawalczyć, spróbować wrócić do życia, postawić pierwszy krok, ale to trudniejsze, niż myślałam.

Tato dzwoni po jakimś kwadransie, ale nie odbieram.

Trzy godziny później, wciąż leżąc na łóżku w zaciemnionej sypialni, ignoruję również telefon od Izabeli.

Nasze spotkanie pod Ostródą było błędem, myślę. Nie potrzebuję nowych kontaktów towarzyskich, skoro nie radzę sobie z tymi, które muszę podtrzymywać ze względu na męża czy rodzinę. Tak, połączyła nas wspólna tragedia, ale poza tym jesteśmy sobie obce. Co gorsza, ona wyraźnie leci na mojego męża, a to sprawia, że nie jest żadną poważną kandydatką na moją bliską znajomą.

Wieczorem Izabela dzwoni jeszcze raz i tym razem również nie odbieram. W końcu się ode mnie odczepi, pocieszam się. Wojtkowi skłamałam, że mam migrenę, dzięki czemu mogę po prostu leżeć i gapić się w sufit.

Co innego mogłabym robić?

11
IZABELA

Po majowym weekendzie z ulgą wracam do pracy. Mam dość snującego się po domu Roberta, naszych miałych rozmów o niczym i nużącej beczynności. Kiedy nie pracuję – zmierzam prosto w jednokierunkową ścieżkę ponurych rozmyślań o naszej zaginionej córce.

Pierwszego przedpołudnia po majówce w salonie jest pusto – większość klientek „zrobiła się” na długi weekend, z kolei część z nich jeszcze nie wróciła z rodzinnych wypadów nad jeziora czy morze, siedzimy więc z Kubą nad kubkami z cappuccino i rozmawiamy o jego planowanym wypadzie na Wyspy Kanaryjskie.

Kwadrans później odwiedza nas jedna ze stałych klientek, Marta Boroń, i pyta, czy powinna już zrobić odrost, a kiedy sugeruję, że może i tak, lekceważąco macha ręką i mruczy, że poczeka jeszcze dwa tygodnie, i w pośpiechu rusza do wyjścia.

– Z nudów tu zachodzą czy jak? – warczy Kuba, kręcąc się w obrotowym fotelu.

– Tęsknią za tobą, Kubuś – chichocze siedząca w recepcji Jowita.

– Albo liczą na darmowe próbki szamponów i odżywek, bo kiedyś niepotrzebnie tyle ich rozdawaliśmy – spekuluje Jakub.

Chcę coś powiedzieć, ale w salonie pojawia się klient.

Chociaż nie, nie klient...

Wojtek, mąż Darii.

Na jego widok prawie oblewam się kawą.

– Co tu robisz? – pytam, a rozbawiony Kuba puszcza do mnie oko.

– Wygląda na to, że nasza Izabelka ma nowego kolegę – rzuca pod nosem, a potem szybko znika na zapleczu razem ze swoim kubkiem i wymownym półuśmieszkiem.

– Wzięliśmy duży remont w Olsztynku – tłumaczy Wojciech, kiedy zostajemy sami na pełnej fryzjerskich stanowisk sali.

– Ława ci nie wystarcza? – Uśmiecham się. – Jak mnie znalazłeś?

– W sieci. Mówiłaś, że jesteś fryzjerką, później wystarczyło kilka telefonów.

– Faktycznie, pan dziś dzwonił i pytał, czy mamy tu sympatyczną rudą Izę – wtrąca przysłuchująca się naszej wymianie zdań Jowita.

– Ostrzyżesz mnie? – pyta Wojciech, nie komentując jej, bądź co bądź, niedyskrecji. – Zapowiadali upały, czas się ogarnąć. – Mruga do mnie porozumiewawczo. – Chyba że masz kogoś na teraz? – Rozgląda się po pustym salonie, a ja proszę, żeby usiadł i zarzucam mu na ramiona ciemnogramatową pelerynkę ochronną.

– Co u Darii? – Przeczesuję palcami jego włosy.

Są gęste, mocne i nieźle obcięte – ktokolwiek zajmuje się nim w jego rodzinnej Ławie, robi to świetnie.

– Nic nowego – mówi.

W jego głosie wyraźnie słyszę zmęczenie, wyraźnie nie jest zachwycony tym, że podjęłam temat jego żony.

Pytam go więc, co to za remont, za który biorą się w Olsztynku, a on opowiada o jakimś znajomym, którym zlecił im robotę.

– Wszystko z noclegiem, co prawda w koszmarnych warunkach, ale nie będziemy jeździć wte i wewte... – Uśmiecha się.

Daria pewnie nie będzie zachwycona, że zostawił ją samą i urwał się jej ze smyczy, przechodzi mi przez myśl, a później zaczynam się zastanawiać, czy to aby na pewno przypadek, że wziął fuchę akurat w Olsztynku. A może zrobił to dla mnie?, myślę i przygryzam wargę.

– Dobrze wyglądasz – mówi.

– Tylko dobrze? – Uśmiecham się, a po chwili nawilżam jego włosy wodną mgiełką z niewielkiej butelki z atomizerem i robię pierwsze cięcie.

– Rewelacyjnie. Tak lepiej? – Wojciech się do mnie uśmiecha, a nasze spojrzenia krzyżują się w dużym ściennym lustrze.

– Znacznie lepiej – odpowiadam, gratulując sobie w duchu, że tego akurat ranka wyjątkowo efektownie ułożyłam włosy i nałożyłam staranny makijaż.

Później milkniemy.

Być może oboje czujemy się lekko skrupowani obecnością siedzącej w recepcji Jowity, która nie tylko nas słyszy, ale i widzi, a może po prostu jeszcze nie potrafimy rozmawiać o tym, co siedzi nam w głowach.

Kiedy podgalam go maszynką, przymyka oczy, a ja wdycham intensywny morski zapach jego wody kolońskiej i wyobrażam sobie rzeczy, których z całą pewnością nie powinnam sobie wyobrażać, myśląc o cudzym mężu.

– Ale mnie dopieściłaś – mruczy Wojciech, przyglądając się sobie w lustrze, a ja zapraszam go do mycia, czyli na myjnię, jak mawia Kuba.

Masując skórę jego głowy, z całą tą intensywnie pachnącą pianą pod palcami, myślę o naszym niedawnym weekendzie w domku pod Ostródą, spacerze wąską ścieżką nad wodą i jawnym pożądaniu, które widziałam w jego zielonoszarych oczach. Nie kontaktowałam się z nim od tamtego czasu, nie szukałam dalszego ciągu, ale on zdecydował się na kolejny krok i nagle zdaję sobie sprawę, że czuję niepokój przemieszany z przyjemnym podekscytowaniem.

Sam jego widok przyprowadził mnie o szybsze bicie serca, a teraz, kiedy leży w fotelu z wypisanym na twarzy poczuciem błogości i przymkniętymi oczyma, zdaję sobie sprawę, że podświadomie wyczekiwałam tego spotkania, miałam jednak nadzieję, że on zrobi jakiś krok, że to wszystko mi się nie wydawało.

Jest między nami niemal namacalna chemia, teraz nie mogę już nawet udawać, że nie... Coś mnie do niego ciągnie, nie umiem przestać o nim myśleć, nawet jeśli okłamuję samą siebie, wmawiając, że to nieprawda.

Tak, pragnę go i zaczynam się zastanawiać, co będzie dalej. Romans?

Nigdy nie zdradziłam Roberta, chociaż okazji mi nie brakowało. Uważałam jednak, że takich rzeczy się po prostu nie robi.

A teraz, opuszkami palców, delikatnie i z uczuciem, masuję głowę mężczyzny, który podoba mi się tak, że mogłabym postawić wszystko na jedną kartę. Susząc mu włosy, zastanawiam się, czy Wojciech zaproponuje kolejne spotkanie. A jeśli to tylko moja wyobraźnia? Jeśli on naprawdę zupełnie przypadkiem dostał fuchę w Olsztynku i znalazł mnie w sieci, chcąc najzwyczajniej ostrzec się u znajomej? Może pomyślał, że dzięki temu wpadnie mi parę złotych, albo po prostu niepewnie by się czuł w nowym salonie? Są ludzie, którzy nie znoszą chodzić do fryzjera, wszystko jest możliwe, myślę, nadając ostateczny kształt jego przyciętej fryzurze.

Wtedy on rzuca coś, co sprawia, że znikają wszystkie moje wątpliwości.

– Znajdziesz czas dziś wieczorem?

Mówi cicho, zdając sobie sprawę, że nie jesteśmy sami, a ja gwałtownie się czerwienię.

– Posłuchaj, Iza, wiem, że stawiam cię w niezręcznej sytuacji, ale...

– Dobrze, spotkajmy się – wchodzę mu w słowo, zadowolona, że dosłownie przed momentem w recepcji zadzwonił telefon i była szansa, że Jowita, zajęta umawianiem klientki, nie podsłuchiwała naszej wymiany zdań. – Trafisz na plażę miejską? Jedź Sienkiewicza, do końca, aż dotrzesz nad samo jezioro – dodaję szeptem, widząc w lustrze Jowitę, która kończy rozmowę i rzuca nam zaciekawione spojrzenie. – O dwudziestej – mówię jeszcze, kiedy ona na chwilę wychodzi przed salon, a Wojtek wstaje z fotela i posyła mi uśmiech.

– Dzięki – mówi.

Kiedy pyta, ile płaci, rzucam: „dziś na koszt firmy”.

– Dobrze, w takim razie masz u mnie kolację. – Uśmiecha się.

– Lubię jeść. – Odwzajemniam uśmiech, a on wyciąga rękę, jakby chciał włożyć mi za ucho kosmyk włosów, ale zaraz ją cofa.

– Naprawdę rewelacyjnie wyglądasz – mówi.

Chwilę później rzuca: „Do wieczora” i wychodzi z salonu.

Jowita materializuje się przy mnie dosłownie sekundę po jego wyjściu. W jej oczach widzę nieskrywaną ciekawość, dosłownie płonie z żądzą poznania świeżych ploteczek.

– Przyjaciół twojego Roberta? – pyta, kiedy zamiatam jego włosy.

– Kuzyn ciotecznej babci wujka mojego pierwszego męża – rzucam żartem, a Jowita przewraca oczyma.

– Z ciebie to nigdy niczego człowiek nie wyciągnie – mruczy.

– Tak, to kumpel Roberta. Zadowolona? – rzucam na odczepnego, chociaż przecież z Wojtka taki kumpel mojego ślubnego, jak ze mnie rosyjska primabalerina.

– Przystojny – rzuca Jowita teatralnym szeptem, po czym pyta, czy żonaty, a ja zdaję sobie sprawę, że tym razem nie dostrzegłam na jego palcu złotej ślubnej obrączki, chociaż w weekend, w którym nas odwiedzili, oboje je mieli.

– Żonaty – mówię.

– A ją znasz? Pewnie jakaś konkretna laska. Przy takim boskim faciecie... Ty widziałaś, jak on jest cudownie umięśniony? – Jowita dosłownie rozpływa się z zachwytu.

– Znam. Szara mysz, byłabyś zaskoczona – mówię, dość wrednie podsumowując aparycję Darii, ale przecież taka jest prawda. Moja nowa znajoma nie jest co prawda jakoś szczególnie brzydka, ale Wojciech z całą pewnością mógłby mieć znacznie atrakcyjniejszą kobietę.

– Poważnie? – Jowita, która od jakiegoś czasu jest sama i jakoś nie może sobie nikogo znaleźć, krzywi się, zniesmaczona. – Niektóre baby to mają szczęście – rzuca jeszcze i wraca za kontuar.

*

Wieczorem wymykam się z domu, mówiąc Robertowi, że idę do koleżanki, a on nie pyta nawet, do której, co dość wymownie świadczy o kondycji naszego małżeństwa. Wsiadam w moją czerwoną toyotę i jadę nad jezioro. Nad miastem wiszą ciężkie, granatowe chmury. Zapowiada się majowa burza, może nawet nawałnica z gradem. Kiedy

docieram na miejsce, Wojciech już na mnie czeka – oparty o maskę swojego samochodu pisze coś w telefonie.

Ma na sobie czarny podkoszulek i jasne džinsy, ubrał się na luzie, jednak nawet w takim stroju wygląda pociągająco i ciężko oderwać od niego wzrok.

– Jesteś – mówi na mój widok i chowa komórkę do kieszeni, a ja się zastanawiam, czy pisał do Darii, i czuję lekkie ukłucie zazdrości.

– Jestem. – Uśmiecham się.

– Będzie burza – rzuca on, patrząc w niebo, które ciemnieje dosłownie na naszych oczach. – Za każdym razem, kiedy się widzimy, jest burzowo.

– Myślisz, że to o czymś świadczy? – pytam, a on parska śmiechem.

– Daj spokój, jesteś przesądna?

– Trochę – przyznaję szczerze i nie czekając na niego, ruszam w stronę wody.

Przez chwilę siedzimy na drewnianym pomoście, przyglądając się niebu, w końcu on pyta, czy ja też o nim myślałam.

– Może brzmi to banalnie, ale odkąd cię poznałem, nie umiem wyrzucić z głowy – wyznaje cicho.

Sekundę później pochyła się i całuje mnie w usta, a na nasze głowy spadają pierwsze ciężkie krople majowego deszczu.

Oddaję mu pocałunek i przez dłuższą chwilę kontynuujemy go wśród wzmagającej się ulewy, w końcu on mówi: „Chodźmy do auta!”, wstaje i podaje mi rękę.

Biegniemy do jego samochodu.

Później, już w środku, odcięci od świata zalanymi deszczem szybami, ukojeni szumem gwałtownej ulewy znów nie potrafimy oderwać od siebie ust – oblepieni mokrymi ubraniami, oszołomieni tym, co się właśnie dzieje.

– Wojtek, co my robimy? – pytam w końcu, kiedy na chwilę się od siebie odsuwamy. – Co najlepszego wyprawiamy? Moje małżeństwo jest porażką, ale ty... Myślałam, że się z Darią kochacie, jesteś pewny,

że chcesz to wszystko przekreślić? Takie rzeczy nigdy nie kończą się dobrze... Romans niszczy, odbiera wspólną przyszłość, a przecież ja...

– Za dużo mówisz – mruczy on, po czym znowu mnie całuje.

Ale kiedy jego dłoń wsuwa się pod moją bluzkę, proszę, żeby przestał.

– To się dzieje za szybko – mówię. – Nawet się nie znamy, nie możemy...

– Możemy – wchodzi mi w słowo Wojciech, a później ujmuję moją twarz w dłonie i patrzy mi w oczy. – Zanim cię poznałem, żyłem tylko dzięki sile rozpędu. Praca, dom, żona, codzienność, obowiązki, rutyna i uczucie, które, chociaż już nie tak intensywne, jak kiedyś, wciąż się tliło. Był w miarę dobry seks, a przynajmniej tak mi się wydawało, i jakoś to się toczyło. Dopiero kiedy poznałem ciebie, zrozumiałem, że wcale nie jestem szczęśliwy.

– Daj spokój, nie powinienesz...

– Pozwól mi skończyć – tym razem to on przerywa mnie. – Daria jest dla mnie zbyt krucha, delikatna. Jak lalka z porcelany, z którą muszę się ostrożnie obchodzić. Ja potrzebuję kobiety. Silnej, rasowej kobiety, takiej jak ty. Nie umiem uszczęśliwić żony i zdałem sobie sprawę, że już nie chcę. Chcę zacząć od nowa, z kimś, przy kim i ja będę szczęśliwy. Robert cię nie docenia, to widać gołym okiem. Ma przy sobie taką babkę i zupełnie nie wie, co z nią robić.

– A ty wiesz, co można ze mną robić? – pytam lekko sarkastycznym tonem, a Wojtek ponownie mnie całuje, tym razem delikatnie, muskając wargami moje usta, a później z pełnym przekonaniem odpowiada: „Tak”.

– I co, będziemy się spotykać ukradkiem? Kochać się w aucie, w motelach? A może po prostu zaliczysz mnie kilka razy i pożegłujesz dalej, ku szczęśliwszym wodom, z pieśnią rasowego playboya na ustach?

– Nie jestem playboyem, Iza. Okej, lubię kobiety, bywa, że ostro flirtuję, ale nie zaliczam jednej za drugą – przekonuje mnie.

– I mam w to uwierzyć? – Uśmiecham się, a on lekko wzrusza ramionami.

– Taka jest prawda. Posłuchaj, nie przyjechałbym do ciebie, gdybym nie proponował ci czegoś konkretnego.

– A mianowicie czego? – pytam nieco kokieteryjnym tonem, a on mówi coś, co sprawia, że oczy zachodzą mi łzami.

– Wszystkiego. Wspólnego domu, dziecka, przyszłości. Nie umiem i nie chcę z ciebie zrezygnować. Jeśli uważasz, że jestem szalony, zrozumieć, ale...

– Domu, dziecka, przyszłości? – powtarzam, lekko oszołomiona, bo przecież dałabym wszystko za kolejne dziecko, o którym mój mąż nie chce nawet słyszeć...

– Jeśli będziesz go chciała. Ja bym chciał, ale Daria... Cóż, stan emocjonalny mojej żony z całą pewnością nie pozwoli jej na ciężę i bycie matką. Rozsypałaby się. Znam ją już na tyle, żeby być tego pewnym.

– I co? Tak po prostu ją zostawisz? – pytam. – Bo się popsuła? Bo nie udźwignęła waszej wspólnej tragedii?

– Bo nie chciała o nas zawalczyć! Nie rozumiesz? Wiesz, ile razy dawałem jej szansę? Błagałem, żeby stanęła na nogi, usiłowałem wykrzesać z niej coś więcej niż ten marazm, którym obrosła. Wszyscy użalają się nad Daria, a ja?! Ja nie mam prawa do bycia szczęśliwym człowiekiem? Do końca życia mam koło niej skakać, nie dostając niczego w zamian? Ona nawet do łóżka chodzi ze mną z poczucia obowiązku, chociaż świetnie udaje, że tak nie jest. Wiesz, jakie to frustrujące dla faceta? Daję z siebie wszystko, Iza. Wypruwam sobie żyły, żeby się nam wygodnie żyło, haruję, dopieszczam jej udręczone matczyne serce, ale ona już nawet tego nie widzi. Uznaje to za coś oczywistego, uważa, że jej się to należy. Daria, Daria, Daria! A ja?! – W głosie Wojciecha wyraźnie rozbrzmiewa gorycz.

– Mój Robert już się nawet nie stara... Czasem robi dla mnie jeszcze coś miłego, ale ogólnie mam wrażenie, że mogłabym zniknąć, a on ledwo by to zauważył.

– Sama widzisz, Iza. Nie jestem facetem, który podejmuje pochopne decyzje, nigdy kimś takim nie byłem. Ale jeśli zaryzykujesz i za-

czniesz ze mną od nowa, zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

Wszystko, słyszysz? – obiecuje, a po moich policzkach płyną łzy.

– Nie wiem, co powiedzieć – szepczę. – Nie umiem podjąć decyzji tu i teraz, w twoim zalanym deszczem samochodzie, ale jeśli poczekaś...

– Poczekać – szepcze.

Nad naszymi głowami grzmi, w aucie na chwilę pojawia się srebrzyste światło błyskawicy i zaraz robi się niemal całkiem ciemno.

– Mam tu na oku wystawiony na sprzedaż dom. Nieruchomość jest do remontu, ale przy odrobinie pracy i funduszy zrobię z niej prawdziwą perełkę. Powiedz słowo, a będzie nasza. Przeniosę się do Olsztyńska, żebyś ty nie musiała zmieniać pracy. Ja znajdę fuchy wszędzie. Remonty były, są i będą.

– I co? Tak po prostu mamy ich zostawić? Porzucisz Darię, całe swoje życie, a ja powiem Robertowi, że się pakuję i zaczniemy razem? Myślisz, że to takie proste? Że...

– Nic, co wartościowe, nie jest w życiu proste. Wiem, że chcesz czegoś więcej, niż masz, Iza. Ja również tego chcę, a razem możemy stworzyć coś, co będzie dla nas dobre. Od Roberta tego nie dostaniesz, a ja nie dostanę tego od Darii.

Kiedy byłyśmy pijane, u nas, na grillu, rzuciłam żartem coś w stylu: „Jeśli chciałabyś zamienić się mężami, daj znać”. Przypominam to sobie, słysząc jego słowa, ale nie mówię tego głośno.

Tak, Wojtek już wtedy mi się spodobał, ale czy to, co proponuje mi teraz, nie jest czystym szaleństwem?

– Muszę wracać – mówię cicho, a burza lekko ustaje.

– Spotkamy się jutro? – pyta. – Znajdziesz mnie na Instagramie i Facebooku. Gdybyś chciała porozmawiać, możesz...

– Wiem – przyznaję, bo przecież widziałam jego profile.

– Zaczekaj – prosi, nie pozwalając mi wysiąść na deszcz.

Później wyskakuje z samochodu, wyciąga z bagażnika dużą czarną parasolkę, rozkłada ją i otwiera drzwi od strony pasażera.

– Teraz. – Uśmiecha się.

Zanim wsiadam do swojej toyoty, całuje mnie w usta.

– Możesz narzekać na pogodę, ale gdyby nie burza, być może nie byłibyśmy tu dziś sami – szepcze mi na ucho.

Odjeżdżam z bijącym sercem, widząc we wstecznym lusterku, jak on wsiada do swojego auta i rusza, a potem jedzie kilkanaście metrów za mną.

Zostawić Roberta... Kocham mojego męża, wciąż to do niego czuję i ciągle rozpaczliwie go pragnę, ale ostatnio nasza relacja przypomina mi jakąś ponurą małżeńską gierkę, którą oboje prowadzimy – im bardziej go potrzebuję i chcę, tym intensywniej on się ode mnie opędza. Czy jestem masochistką, skoro wciąż tkwię u jego boku? A może prawdziwa miłość przetrwa wszystko? Ale czy to ciągle jest miłość, która może mnie uszczęśliwić? Mam wrażenie, że wręcz przeciwnie – im rozpaczliwiej pragnę Roberta, tym zwinniej on mi się wymyka, raniąc mnie raz za razem, wbijając w moje serce kolejną szpilę.

A Wojtek? Pragnę go. Jest w nim coś takiego, co sprawia, że mięknię w jego ramionach, topnieję jak rozgrzany воск. Ale czy pożądanie to wystarczający budulec pod fundamenty nowego związku? Mam też jednak wrażenie, że to może coś więcej... Tak, pragnę go, ale również chcę go poznać. Jest w nim coś, co sprawia, że mam ochotę go czytać, niczym nową książkę, przewracać kartkę po kartce, aż do samego końca. W przypadku Roberta przerzuciłam już chyba wszystkie strony, a nic nie zapowiada kontynuacji.

Kiedy wracam do domu, mąż nawet nie odrywa wzroku od plazmy – siedzi w salonie, z pilotem od telewizora w dłoni i ogląda – sądząc po odgłosach strzelaniny – jakiś film akcji.

– Pizzę zamówiłem, możesz zjeść, jeśli jesteś głodna – rzuca, kiedy wchodzę do salonu, ale nawet na mnie nie patrzy.

– Nie jestem – mówię, siadając obok niego.

Odchodzę od ciebie, myślę, ale na głos nie mówię nawet słowa.

Dociera do mnie jednak coś, co sprawia, że czuję mniejszy niepokój – zdaję sobie sprawę, że chociaż jeszcze mu tego nie powiedziałam, a ledwo, ledwo przyznałam to przed samą sobą, podjęłam już decyzję – zacząć od nowa, z Wojtkiem. Zaryzykuję z nadzieją na zbudowanie przy-

szłości, o jakiej marzę. U boku Roberta nie czeka mnie już nic... Nagle myślę o domu pod Ostródą, który kupił mi na urodziny mąż, i czuję pod powiekami łzy, ale to przecież niczego nie zmienia. Robert odmawia mi bliskości, ciepła i nadziei na ponowne macierzyństwo, o którym marzę. Wojtek jest inny, zależy mu na nowym początku, chce jeszcze raz zbudować dom, podczas gdy mój mąż postanowił spędzić resztę życia na gruzach tego, co z hukiem się zawaliło... Zresztą, umówmy się, on ten dom pod Ostródą kupił głównie dla siebie, nawet nie pytając mnie o zdanie, bo przecież to zawsze on jest najważniejszy, jego decyzje, pragnienia i odczucia, nie moje.

Siedząc przy oglądającym film Robercie, myślę też o naszej córce. Co, jeśli któregoś dnia Iga wróci i mnie nie zastanie? Opuściła pełną, kochającą się rodzinę, a wróci do rozbitej? Ale jeśli nie wróci? A jeśli czekając na nią, zdecyduję się zostać przy mężu i usychać w tym obezwładniającym mnie marazmie do końca moich dni, a ona nigdy się nie znajdzie, albo któregoś dnia odnajdą ją martwą? Z jednej strony czy powinnam poświęcać własne szczęście w imię jednej wielkiej niewiadomej? Z drugiej – czy mam prawo być aż taką egoistką, żeby myśleć teraz wyłącznie o sobie?, zadręczam się jeszcze, ale przed oczami ciągle mam twarz Wojtka, a na wargach nadal czuję jego pocałunki.

Nie chciałam tego, nie planowałam, ale stało się.

Czasem miłość wymaga radykalnych cięć, odwagi i podjęcia trudnej decyzji. Nie zawsze jest prosta, bywa, że kluczy zawiłymi ścieżkami już na samym początku. Zranimy wiele bliskich nam osób, mam tego świadomość. A jednak już wiem, że nie mam innego wyjścia.

Zasypiam z myślą o Wojtku, a pierwszą myśl po przebudzeniu również poświęcam jemu. Wszystko dzieje się tak szybko, że kręci mi się w głowie, gdy tylko sobie o tym przypomnę, ale czy właśnie nie te największe szaleństwa wspominamy na starość z łezką w oku?

Nazajutrz spotykamy się ukradkiem na zapleczu salonu fryzjerskiego, po godzinach, a Wojtek nawet nie musi mnie pytać, czy podjęłam decyzję – wystarczy, że raz spojrzy mi w oczy i już wie. Wtedy

oboje zaczynamy płakać i tańczymy, ciasno objęci, bez muzyki, kołysząc się do rytmu swojej własnej bajki.

Stało się.

Kompletnie oszaleliśmy.

12 DARIA

Wszystko zaczęło się jakoś po długim majowym weekendzie, kiedy Wojtek wyjechał do Olsztynka. Remont akurat tam od razu wzbudził moje podejrzenia. Później był jego ciągle wyłączony telefon, wieczory, które rzekomo spędzał w pubach w towarzystwie kumpli z ekipy budowlanej, chociaż nigdy wcześniej tak się nie zachowywał, wreszcie jego przyjazd na któryś weekend, mniej więcej pod koniec miesiąca.

Wyszłam wtedy przed dom, chcąc go przywitać, ale nawet mnie nie pocałował. Burknął tylko, że musi wziąć prysznic i tyle go widziałam. Ciuchy rzucił na podłogę w salonie, rozbierając się w locie, jakby mu się spieszyło. Podniosłam jego ulubiony jasnoszary sweter, na którym zobaczyłam długi i gruby, lśniący włos. Rudy. Rude włosy i Olsztynek – szybko dodałam dwa do dwóch. Mój mąż wdał się w romans z Izabelą, kobietą, która miała zostać moim wsparciem, powiernicą i przyjaciółką, a wbiła mi nóż w plecy.

A teraz stoję w kuchni i patrzę, z jakim apetytem Wojciech je jajecznicę na boczku, którą dla niego usmażyłam. Jest środek czerwca, a ja od kilku tygodni domyślam się, że mój mąż ma romans, ale nie umiem ostatecznie przyprzeć go do muru i wymusić na nim, by się przyznał.

Przeczekam to, mówię sobie nocami, bezsennie leżąc u jego boku. On się nią znudzi i znowu będzie tylko mój – troskliwy, oddany, czuły.

To dlatego Izabela przestała do mnie dzwonić i nie szukała już ze mną kontaktu, chociaż przecież w dniu, w którym zegnaliśmy się z nimi pod Ostródą, sama powiedziała, że ma nadzieję na kolejne spotkanie, a później kilkakrotnie usiłowała się ze mną skontaktować. Ale to było, jeszcze zanim rozłożyła nogi przed moim mężem, myślę mściwie i czuję palącą nienawiść, która naprawdę mnie przeraża. Nigdy

wcześniej nie nienawidziłam drugiego człowieka. Nie aż tak... I nagle to uczucie dosłownie wypala mnie od środka, nie pozwala spać, jeść, oddychać.

Ale przecież od początku wiedziałam, że to kurwa, myślę ze złością. Przez chwilę omotała mnie swoją promienną osobowością, zjawiskową urodą i życiową energią, ale pod przykrywką gościnnej, otwartej kobiety kryła się zwykła dziwka. Na myśl o perfidnej zdradzie, jakiej z jej strony doznałam, po moich policzkach płyną pierwsze łzy. Kiedy się poznałyśmy, byłam ostrożna – raczej nie zbliżam się do obcych ludzi od razu i nazbyt ufnie, ale co do niej miałam początkowo dobre przeczucia i szczerze liczyłam na to, że zdołamy się zaprzyjaźnić. Żywiłam nadzieję na długie rozmowy telefoniczne, spotkania przy kawie, wspólne dyskusje o naszych córkach, dzielenie się wątpliwościami, oczekiwaniami i marzeniami – liczyłam dokładnie na to wszystko, a ona po prostu uwiodła mi męża!

Myślę o tym każdego dnia, snując się po domu, kręcąc po ogrodzie czy zrywając rosnące pod płotem piwonie – kobieta, która miała być dla mnie oparciem, okazała się podstępna żmiją...

Wieczorem usiłuję zawalczyć o Wojciecha, chcę mu pokazać, co straci, jeśli odejdzie. Rano nieco rozjaśniłam włosy i kupiłam koronkową bieliznę, a teraz wkładam ulubione ciemnobordowe szpilki i zrobiona na bóstwo wchodzę do sypialni, ale on mruczy, że jest zmęczony i nawet mnie nie dotyka.

Wtedy zaczynam krzyczeć – wyzywam go od chujów i skurwysynów. Puszczają mi nerwy, mleko się rozlało...

– Jak długo to trwa, Wojtek?! Masz odwagę powiedzieć mi to prosto w oczy?! – wrzeszczę i rzucam w niego książką w twardej oprawie.

Uchyła się, a później podnosi ją z podłogi i kładzie z powrotem na nocnej szafce.

– Uspokój się – prosi.

– Mam się uspokoić, kiedy ty jeździsz do Olsztynka, żeby posuwać tę rudą zdzire?! Czy Robert o tym wie?! Powiedziałaś koleśowi, który za-

prosił cię do własnego domu i dobrze nakarmił, że pieprzysz mu żonę?!
– krzyczę.

Wojciech przez dłuższą chwilę milczy, w końcu mówi coś, co łamie mi serce.

– Zakochaliśmy się w sobie. I może dobrze, że wszystko odkryłaś, bo i tak na dniach chciałem z tobą porozmawiać – wyznaje.

Wtedy śmieję mu się w twarz, chociaż w środku wszystko we mnie krzyczy.

– Dobrze, że wszystko odkryłam?! Poważnie, tylko tyle masz mi do powiedzenia po tylu latach małżeństwa?!

– A co innego chcesz usłyszeć? Stało się. Zakochaliśmy się w sobie, chcemy razem być – oznajmia mi mąż.

Wtedy ściągam z lewej stopy szpilkę i ciskam w niego butem. Tym razem się nie uchyla, nie zdąża, a zwieńczony metalowym flekiem cieniutki obcas rozcina mu policzek.

Syczy z bólu i przykłada dłoń do twarzy, a pomiędzy jego palcami spływa strużka krwi.

– Odjechało ci?! Mogłem stracić oko! – rzuca przez zęby, ale bynajmniej mnie to nie wzrusza.

Sekundę później ściągam drugi but, celuję w jego głowę, ale tym razem udaje mu się uniknąć konfrontacji z obcasem.

– Zaatakuj mnie jeszcze raz, a zadzwonię po policję – grozi mi. – Miewałaś już różne epizody, włącznie z tym, że zrobiłaś z siebie zenujące widowisko w knajpie, zaatakowałaś ekspedientkę i chciałaś się zabić. Zamkną cię w szpitalu bez klamek, gdzie z całą pewnością będziesz miała szansę i czas, żeby ochłonąć – cedzi.

– Ty chuju – rzucam mu w twarz. – Po tym wszystkim, co przesłałam, musiałeś mi jeszcze zrobić coś takiego?!

– Po tym wszystkim, co przeszliśmy. My, razem, nie tylko ty – poprawia mnie Wojciech. – Chociaż wiem, jak bardzo uwielbiasz podkreślać, że zaginięcie Amelii to głównie twoja tragedia. Ty jesteś matką, ty cierpisz najbardziej, to koło ciebie wszyscy powinni chodzić na palusz-

kach. Ty, ty, ty!!! – wrzeszczy mój mąż, przyciskając do rozciętego policzka chusteczkę wyjętą z leżącego na nocnej szafce opakowania.

– Będziemy się teraz licytować, kto cierpi bardziej? – pytam ze łzami w oczach, a on wzrusza ramionami.

– Nigdy nie miałaś nic przeciwko temu, z tego, co pamiętam – mówi.

– Nie odejdziesz ode mnie, Wojciech – cedzę. – Po tym, jak straciłam dziecko, nie zostanę jeszcze zdradzoną żoną, bo kolejnej takiej łatki nie przeżyję! Nie pozwolę ci odejść, słyszysz?! – wrzeszczę, po czym rzucam się na niego z pięściami. – Nie wyjdiesz z tego domu, nie ma takiej opcji!!! – drę się, a on odpycha mnie tak mocno, że upadam na łóżko. Bosa, w durnym koronkowym gorseciku, w którym chciałam uwieść własnego wiaro-

łomnego męża.

Kiedy się pakuje, w pośpiechu i prawie na oślep wyjmując z wnękowej szafy swoje rzeczy, zrywam się z łóżka, łapię go za ramię i szarpnię.

– Mówię poważnie, nie pozwolę ci odejść! – krzyczę, a on odkłada na łóżko naręcze wyprasowanych przeze mnie niedawno koszul i ujmuje moją twarz w dłoń.

– Jestem wolnym człowiekiem, Daria, i właśnie ci mówię, że nasze małżeństwo jest definitywnie skończone. Dziś, teraz. Zostawiam ci dom, zresztą mieszkamy w nim dzięki pieniądзом twoich rodziców, zostawiam ci wszystko. Nie chcę niczego, oprócz kilku swoich ulubionych płyt, ciuchów, laptopa, mojego auta i wolności. Kochałem cię, naprawdę. Może nawet w pewien sposób nadal cię kocham, ale od dawna mnie nie uszczęśliwiasz i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nie umiem już z tobą być, rozumiesz? Choćbym chciał, nie potrafię... I nie chcę. Już nie.

– Zniszczę cię – syczę. – Wezmę najlepszego prawnika, przeciągnę ten rozwód w nieskończoność, będę cię gnoić dzień po dniu, zrobię...

– Więc rozwodu nie będzie. Nie zależy nam z Izą na ślubie, równie dobrze możemy żyć na kocią łapę. Jeśli wolisz, żeby to twój mąż, zamiast były mąż, zamieszkał z inną kobietą, niech i tak będzie – wchodzi mi w słowo Wojciech.

Później wraca do pakowania się.

Roztrzęsiona, zalana łzami i załamana, zbiegam na parter, znajduję swoją komórkę i z płaczem dzwonię do taty, ale ojciec nie odbiera.

– Kurwa mać! – wrzeszczę w bezsilnej złości.

Chwilę później znajduję w kontaktach numer Roberta, wybieram go, a kiedy odbiera, krzyczę, że jego puszczańska żona sypia z moim mężem.

Brzmie histerycznie, jak wariatka, trzęsie mi się głos, drżą nogi, z oczu płyną łzy – oczywiście on nie może mnie widzieć, ale za to z całą pewnością słyszy, że kompletnie się rozsypałam.

– Oni mają romans, słyszysz? – Teraz dla odmiany szepczę do telefonu, a kiedy wyrzucam już z siebie potok chaotycznych słów, z drugiej strony odpowiada mi tylko cisza.

– To by wiele wyjaśniało – mówi w końcu Robert, po czym przeprosza mnie i się szybko rozłącza. Najwidoczniej musi „przetrawić” złe wieści, nie chce rozmawiać po takim szoku, co oczywiście rozumiem.

Wojciech zjawia się na dole z dwiema walizkami, wypchanym plecakiem, z którym czasem jeździł w góry, i torbą z laptopem przewieszoną przez ramię. Rozcięcie na jego policzku przestało krwawić, ale wygląda fatalnie, z całą pewnością będzie mieć bliznę.

– Daria, porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie – prosi, widząc mnie stojącą na środku salonu. – To nie jest jakaś przygodna miłośćka, dla której postanowiłem zrujnować nasze małżeństwo. Zakochałem się w Izabeli już w tamten weekend, pod Ostródą, kiedy ona...

– Zamknij się! – krzyczę. – Naprawdę uważasz, że mam ochotę tego słuchać?! Jestem brzydsza? Mniej seksowna? O to ci chodzi?!

– Nie jesteś brzydsza. Ona po prostu...

– Wynoś się! – Tym razem ciskam w niego ozdobną, obszytą falbanami poduszką. – Po prostu stąd wypierdalaj!

– Kiedyś zostaniemy przyjaciółmi, zobaczysz – mówi jeszcze mój mąż, zanim przechodzi w stronę korytarza.

Zostaniemy przyjaciółmi?! Jego bezczelność, bezrefleksyjność i podłość nie mieszczą mi się w głowie! Po tym, co mi zrobił, wieszczę nam

przyjaźń?! Nie do wiary...

Kiedy wychodzi, jeszcze raz wybieram numer taty, ale ojciec nadal nie odbiera.

Wrzeszczę więc, w bezsilnej wściekłości, ciskając o ścianę doniczką z kaktusem, a później opadam na podłogę i rozpaczliwie szlocham.

Nie wiem, na czym mija mi reszta wieczoru.

Do północy sączę znalezione w spizarce wino, później wyrzucam do śmietnika za domem niemal wszystkie rzeczy, których nie zabrał ze sobą Wojtek, i otwieram kolejną butelkę przywiezionego przez nas z Toskanii trunku. Pijąc, wyobrażam sobie, że jadę do Olsztynka, znajduję Izabelę i podrzynam jej gardło.

W tej chwili nienawidzę jej tak mocno, że z całą pewnością mogłabym to zrobić. Później, już kompletnie pijana, włączam laptop i wyszukuję na Facebooku stronę salonu fryzjerskiego, w którym pracuje Izabela. Lokalizuję go łatwo, profil jest często aktualizowany, a posty komentują zarówno pracownicy salonu, jak i klienci – zresztą niemal od razu dostrzegam jej profilowe, więc wiem, że trafiłam bezbłędnie.

„Fryzjerka Izabela to kurwa kradnąca cudzych mężów!”, piszę pod ostatnim postem przedstawiającą siedzącą w pikowanym fotelu z wysokim oparciem blond matronę ze świeżo ufarbowanymi włosami i wyniosłym wyrazem twarzy.

Później jednak kasuję swój wpis i zamykam komputer.

Nie. Zrobię to jeszcze lepiej, decyduję.

Rano.

W nocy prawie nie śpię, a o piątej, po dwóch wypitych kawach, dzwonię po taryfę. Kurs będzie mnie kosztować majątek, ale przecież nigdy nie musiałam się martwić o pieniądze. Tato o mnie dbał, przyzwyczał mnie do tego, że zawsze byliśmy bogaci. Znajduję więc kierowcę, który godzi się zawieźć mnie z Iławy do Olsztynka i podaję mu adres salonu Yasmin.

Na miejscu płacę, czekam, aż taryfiarz odjedzie, a później wyjmuję z torby przygotowany w domu karton z napisem: „Fryzjerka Izabela to

kurwa kradnąca cudzych mężów!” i z pomocą taśmy klejącej mocuję go na przeszklonych drzwiach.

Później robię zdjęcie, które z całą pewnością wrzucę do wszystkich możliwych facebookowych grup, zwłaszcza tych skupiających mieszkańców Olsztynka, rozglądam się po pustej ulicy, podnoszę leżącą na chodniku ukruszoną cegłówkę i ciskam nią w witrynę salonu. Brzęk rozbitego szkła sprawia, że zrywam się do ucieczki i biegnę, dopóki nie opadam z sił.

Później wybucham histerycznym śmiechem i kładę się na ławce, na której przysiadłam.

Jest wcześniej, ulice są jeszcze pustawe, nikt mi się nie przygląda. Wrzucam więc zdjęcie na

Facebooka, podpisuję je: „Tymczasem w Olsztynku” i chowam telefon do torebki.

Wojtek się wkurwi, myślę, wchodząc do mijanych delikatesów, w których kupuję butelkę mineralnej i zbożowe ciastka. Później pytam starszą kobietę o drogę na dworzec PKP, świetnie wiedząc, że powrotnej podróży taryfą mój portfel już nie zniesie, i noga za nogą wlokę się na stację.

Idąc obcymi ulicami, zastanawiam się, gdzie jest teraz Wojciech. Czy spał gdzieś na budowie, co czasem mu się zdarza, zwłaszcza latem? Wynajął już sobie coś w Olsztynku, a może zdążyli to zrobić razem? Czy ona już odeszła od męża po tym, jak do niego zadzwoniłam? A może Izabela nie zdecyduje się jednak na rozstanie z Robertem i wystawiony przez nią Wojciech zostanie na lodzie? Ostatnia myśl bardzo mi się podoba, poprawia mi się nastrój.

Gdyby Izabela jednak została przy swoim mężu, mój Wojtek też być może wróciłby do domu, myślę i znowu chce mi się płakać.

Powrót do Iławy jest koszmarem. W pociągu panuje tłok, obok drażniące wytapetowane mordy jakieś gówniary po dwudziestce, przekrzykując się nad moją głową, a kiedy ostro je uciszam, zaczynają wymieniać głupie miny i cykać sobie zdjęcia. Wzywam konduktora, który udaje, że chce załagodzić spór, ale wygląda tak, jakby miał na wszystko wyje-

bane. Czuję narastającą złość – znam to uczucie naprawdę świetnie, towarzyszy mi od dawna. Rodzi się gdzieś w okolicach przepony, a później wibruje we mnie, rozsadza od środka, razem ze wzburzoną krwią tętni mi w skroniach, płynie w żyłach.

Wymijam raczej bezradnego pracownika kolei, przeciskam się przez zatłoczony wagon i zamykam w łazience. W środku cuchnie moczem, podłoga jest mokra i pełna postrzępionych kawałków taniego papieru toaletowego, lustro upaćkane czymś, co wygląda na puder w kremie, widać serwis sprzątający od jakiegoś czasu omijał ten wagon. Takie już moje szczęście.

Kiedy sikam, pociągiem zarzuca tak gwałtownie, że prawie uderzam twarzą o przeciwległą ścianę. Szpetnie klnę i podciągam majtki.

Myjąc ręce, patrzę na swoje odbicie w lustrze i naprawdę nie podoba mi się to, co widzę. Sprawiam wrażenie wściekłej, to jedno, ale jest też w moich oczach jakieś zgorzknienie, które mnie postarza i zasmuca.

Przegrałam życie, myślę. Najpierw nie potrafiłam upilnować własnej rodziny i pozwoliłam zniknąć córce, choć to przecież nie była moja wina, a teraz wymknął mi się mąż.

– Suka – cedzę z myślą o Izabeli, a później kilkakrotnie uderzam pięścią w lustro, waląc w taflę tak mocno, aż pęka.

Część ostrych odłamków wpada do umywalki, ale jeden boleśnie wbija mi się w dłoń. Syczę z bólu, ale w pewien sposób fizyczne cierpienie przynosi mi przyjemność. Później ostrożnie wyjmuję odłamek i wrzucam go do sedesu.

Ręka mocno krwawi, ktoś niecierpliwie szarpie za klamkę od drzwi toalety. Owijam ranę znalezioną w torebce apaszką, później wychodzę i ruszam w kierunku przedziału konduktorskiego.

Opatrując moją rękę, obsługa pociągu pyta, co się stało, ale nie mówię ani słowa – płaczę, uparcie milcząc, i w końcu dają mi spokój.

Wysiadam w Iławie, przez nikogo nie zatrzymywana, choć trochę się obawiałam, że wyjdzie sprawa stłuczonego przeze mnie lustra i ktoś wezwie policję.

W głowie mam tylko jedno – muszę się napić czegoś mocniejszego, ochłonać i podejść do apteki. Powtarzam to sobie, choć sama nie wiem, w jakiej kolejności to zrobić.

Tato oddzwania, kiedy siedzę na ławce w parku i piję kupioną w pobliskim sklepie wódkę, którą wyjmuję z torebki tylko na chwilę, żeby upić kilka łyków i zaraz z powrotem chowam z nadzieją, że nie przyuważy mnie jakiś nadgorliwy fagas ze straży miejskiej.

– Córeczko, wybacz, nie mogłem wczoraj rozmawiać – tłumaczy mi się. – Coś się stało? – pyta, a ja znowu wybucham płaczem.

– Wojtek mnie zostawił – szlocham.

Tato nie może w to uwierzyć. Jest w szoku, ale brzmi też na wściekłego, kiedy pyta:

– Po tym wszystkim, co dla niego zrobiliśmy?! Jebaniec! W jednych gaciach wszedł do rodziny – warczy, kiedy już udaje mu się wydobyć z siebie głos, a ja próbuję ustalić, czy po mnie przyjedzie. – Jasne, córciu – mówi. – A gdzie jesteś?

– Na stacji.

– Kolejowej? – W głosie ojca brzmi tak bezbrzeżne zdumienie, że aż parskam śmiechem.

No tak, jasne, w naszej rodzinie nie jeździ się pociągami. Tato, dokąd tylko może, dociera samochodem, ewentualnie stawia na taryfę bądź samolot. Jeśli jego noga powstała w którymś z taborów polskiej kolei, to pewnie w zeszłym stuleciu, bo w tym na pewno nie.

– Będę za kwadrans – obiecuje, po czym się rozłącza.

Czekając na niego, ukradkiem pociągam jeszcze kilka łyków wódki, która nieprzyjemnie pali mnie w przełyku, a później ciskam flaszkę z niedopitym alkoholem do kosza na śmieci i spoglądam w stronę torów.

Gdybym wyłączyła telefon i wsiadła do pierwszego lepszego pociągu, mogłabym zniknąć, myślę. Zostawić za sobą całe swoje życie, rozplątać się w powietrzu. Nie byłabym już matką zaginionej dziewczynki, ale kobietą, która przepadła. Ludzie zastanawialiby się latami, co się

ze mną stało, a ja... Ja nie przeżyłabym pewnie nawet miesiąca bez finansowego wsparcia taty, zdaję sobie sprawę i znowu się rozklejam.

W samochodzie, kiedy już siedzę w fotelu pasażera, bezpieczna i więziona przez ojca do domu, do którego wcale nie chcę wracać, tato obiecuje, że wszystko będzie dobrze.

– Znajdziesz sobie jeszcze prawdziwego mężczyznę, a nie takiego chłystka, jak ten robot – rzuca przez zęby, zanim wjeżdża na pobliskie rondo.

– Nigdy go nie lubiłeś – mówię cicho, a on gniewnie parska.

– A niby za co miałbym go lubić?! Z biedy chłopak, bez wykształcenia, wszystko na tacy od nas dostał i jeszcze taki wstyd rodzinie przyniósł?! Moją córkę zostawił?! Dom, który od nas dostaliście, całe wasze życie, jakby nie było warte splunięcia?! – Tato gwałtownie hamuje, a mnie boleśnie wrzyna się w ramię pas bezpieczeństwa.

– Kiedyś mnie kochał – szepczę.

– Kiedyś?! Do końca życia ci miłość przysięgał, przed ołtarzem! Ślub majątek kosztował, dom, wszystko, a ten jełop nagle odchodzi?!

– Mnie zostawił, nie ciebie, co się ciskasz?! – podnoszę głos.

– Córeczko, on nas wszystkich zostawił. Ludzie latami będą gadać, wstydu narobił nam wszystkim! Mnie, twojej matce, całej rodzinie.

– To co mam na to poradzić?! – wrzeszczę.

– Uspokój się – prosi tato, ale nie zamierzam się uspokajać.

– Ja go nie oddam tej dziwce, słyszysz?! Nie pozwolę mu odejść! – szlocham.

– Znasz ją? – pyta tato.

– Tak – chlpię.

– Zawsze można kogoś opłacić, żeby mu przemówił do rozsądku. Połamię się mu parę gnatów, zagrozi krzywdą tej jego zdziry, to się może opamięta? Powiedz tylko słowo, a wszystko będzie załatwione, córeczko. – Teraz tato brzmi jak jakiś sycylijski mafioso, co z jednej strony mnie bawi, a z drugiej trochę przeraża.

– Nie chcę w tej chwili o tym myśleć – mówię cicho. – I jedźmy do was. Nie dam rady siedzieć sama w tym dużym domu.

– Do nas, dobrze. Matka cię odkarmi, pogadamy, masz rację. – Tato zawraca na Zielonej, a ja znowu zacznę szlochać.

Siedząc w jego aucie, czuję się nieporadna jak mała dziewczynka i nagle dociera do mnie, że Wojtek miał wiele racji – nie umiem sobie radzić sama, zawsze liczyłam na tatę, a on uwielbiał wyciągać mnie z wszelkich tarapatów. Bez niego nie miałabym nic.

W domu rodziców kładę się w moim dawnym panińskim pokoju i zasypiam, otulona przez mamę cienką letnią kołdrą.

Kiedy się budzę, na piętrze panuje niczym niezmacona cisza. Rodzice muszą być na dole albo w ogrodzie.

W telefonie znajduję esemesa od Wojtka i tylko jedno słowo: „Prze-gięłaś!”

A więc fryzjerka już mu się poskarżyła, myślę i mimo wszystko mściwie się uśmiecham na wspomnienie przyczepionego przeze mnie do drzwi kartonu z obraźliwym napisem. Ale cóż, nie będę sobie niczego wyrzucać. Przecież nie skłamałam. Izabela to kurwa kradnąca cudzych mężów.

CZEŚĆ DRUGA – TO, CO NIE NASZE

13
IZABELA

Siedzę na werandzie i sącąc lemoniadę, czekam na powrót Wojtka. Zza płotu, z ogrodu sąsiadów dochodzi intensywny zapach jaśminu. Nasz bez już przekwitł, szkoda – ten piękny, rozłożysty krzew usiany drobnymi fioletowymi kwiatami powitał nas kilka tygodni temu, kiedy wprowadzaliśmy się do nowego, wyremontowanego przez ekipę Wojtka domu, mniej więcej rok po tym, jak Wojciech wyznał mi miłość.

Teraz, w czerwcu, wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć w to, że w końcu jesteśmy na swoim. Po kilkumiesięcznym pobycie w ciasnym, wynajętym na szybko mieszkaniu w bloku, po miesiącach prześladowań ze strony Darii, która robiła wszystko, żeby obrzydzić nam życie, ostatecznie nastąpiło trochę spokoju. Ale przecież czas najwyższy, myślę, bezwiednie gładząc się po zaokrąglonym ciężowym brzuchu. Za trzy miesiące rodzę, więc pora odzyskać spokój i emocjonalną równowagę, zacząć się cieszyć tym, co mamy. Na myśl o dzieciach uśmiecham się i przymykam czy. Bliźniaczki... Kiedy lekarka powiedziała, że będziemy mieć z Wojtkiem dwójkę, oboje popłakaliśmy się ze szczęścia w jej gabinecie. Marzyliśmy o dziecku i nowym początku, ale dwójka... Ta dodatkowa maleńka istotka, niespodzianka od losu, którą dostaliśmy w gratisie, sprawiła, że uwierzyliśmy w cuda. Wspólne dzieci w żaden sposób nie przywrócą nam zaginionych córek, które utraciliśmy w tak dramatycznych okolicznościach, ale sama myśl o rosnącym pod moim sercem nowym życiu sprawia, że chce mi się oddychać, mam nadzieję na lepsze jutro.

Iga wciąż jest w moim sercu, to się nigdy nie zmieni. Myślę o niej każdego dnia, tęsknię za nią, rozmawiam z nią w myślach, ale chcę też odzyskać choć trochę radości życia, przeżyć dni, które mi zostały,

u boku ludzi, których kocham – Wojtka i naszych córeczek. Mam prawo być szczęśliwa, mimo wszystko, powtarzam sobie codziennie, bo jestem chyba jeszcze na tym etapie, że muszę przekonywać samą siebie, dawkować sobie to nikłe szczęście, usprawiedliwiać się z niego. Ale hej, nie jestem sama! Robert również ułożył sobie życie – związał się ze znajomą księgową, wystawił na sprzedaż nasz dawny wspólny dom i zamieszkał z nią pod Ostródą, w domku, który w zeszłym roku kupił mi na urodziny. Pieniądze ze sprzedaży naszej willi podzielili równo na pół i przesłał mi na konto, zachowując się z klasą i wielką szlachetnością. Praw do mojego „prezentu” nigdy sobie nie rościłam. Nie miałam też ochoty rozgrzebywać naszych finansowych spraw, zresztą to on za ten dom zapłacił i on go sobie upatrzył.

Nie rozmawialiśmy ze sobą od dnia rozvodu, a ten załatwiliśmy szybko, bez orzekania o winie, za co również jestem Robertowi wdzięczna. Zostawiłam go i odeszłam do innego mężczyzny, ale nie chciał się mścić i wywlekać naszych małżeńskich spraw w sądzie. Powiedział mi tylko, że widocznie nie była nam pisana wspólna przyszłość, pocałował mnie w policzek na pożegnanie i nie oglądając się za siebie, zostawił mnie na opustoszałym sądowym korytarzu.

To, że nie robił problemów, było dla mnie bezcenne. Zwłaszcza, że ze strony Darii nie mogliśmy się niestety spodziewać takiej klasy.

Na wspomnienie tamtego wieczoru, kiedy Robert odebrał od niej telefon, lekko się krzywię. Planowałam powiedzieć mu sama, odpowiednio dobierając słowa. Czekałam na właściwy moment, ale ona mnie uprzedziła – dzwoniąc i oznajmiając mu, że sypiam z jej Wojtkiem.

Wyraz jego oczu, kiedy się dowiedział...

Nigdy go nie zapomnę.

– To prawda? – zapytał, odkładając komórkę.

Nie musiał nawet wyjaśniać, o co mu chodzi, bo przecież wiedziałam.

Tamtej nocy, po bolesnej i krótkiej rozmowie z mężem uciekłam do siostry, później udało się nam wynająć z Wojtkiem mieszkanie w Olsztynku, choć, prawdę mówiąc, było paskudnie umeblowane, z wściekle różową ścianą w salonie, ale czuliśmy taką wdzięczność, że mamy

gdzie się podziac razem z całą tą naszą nieplanowaną miłością, że wszystko inne straciło znaczenie.

Wojtek dużo wtedy pracował – brał mnóstwo zleceń, część w okolicach Iławy, do której musiał dojeżdżać, a wieczorami i w weekendy remontował dom, który dla nas kupił.

Natomiast Daria nękała mnie w każdy możliwy sposób, opętana nienawiścią, obwiniająca mnie o rozpad swojego małżeństwa, potrafiła kilkanaście razy dziennie wydzwaniać na stacjonarny numer salonu, w którym pracowałam, i krzyczeć, że jestem dziwką, czego musiała wysłuchiwać pracująca w recepcji Jowita. Rozwodu oczywiście nadal z Wojciechem nie mają – w ich wypadku nie wchodzi w grę rozstanie bez orzekania o winie, ona nigdy nie poszłaby mu na rękę w ten sposób. Wojtek na razie się przyczaił, mówi, że trzeba jej dać trochę czasu, nie próbuje nawet negocjować, chyba poddał się już na starcie, ale nie mam o to do niego żalu. Może ma rację? Może ona rzeczywiście potrzebuje czasu? Chętnie bym za niego wyszła, zresztą zaręczyliśmy się kilka tygodni po naszym spotkaniu nad jeziorem, ale ślubu raczej prędko nie weźmiemy. Nie przeszkadza mi to jakoś szczególnie, chociaż oczywiście marzy mi się piękna suknia, wesele i złota obrączka na palcu, ale nie naciskam. Żyjemy w luźnym związku, ale nikogo to w końcu w dzisiejszych czasach nie gorszy.

A wracając do jego, jeszcze niestety wciąż obecnej, żony, jej ulubioną formą rozrywki jest nękanie mnie telefonami i esemesami.

Przez ostatnie miesiące na moją komórkę Daria regularnie wysyłała wiadomości, które sprawiły, że zaczęłam mieć problemy ze snem.

„Wbijam właśnie setną szpilkę w laleczkę voodoo, którą kupiłam z myślą o tobie! Czujesz to, dziwko?! Powinnaś!”, potrafiła napisać wieczorem.

Szybko nauczyłam się wyciszać bądź wyłączać komórkę, ale nawet wtedy się zastanawiałam, czy ona właśnie nie kręci się gdzieś pod naszym blokiem – a przyjeżdżała wtedy do Olsztynka dość często i regularnie, śledziła nas, osaczała.

Któregoś wieczoru zapaliła pod oknami naszego wynajętego mieszkania duży czerwony znicz, przy którym postawiła karton z napisem: „Niedługo umrzesz, zdziro!”. To był lokal na parterze, co tylko ułatwiło jej zadanie i nikt nie miał wątpliwości, o kogo może chodzić.

Innym razem wysypała na mój samochód kilka worków cuchnących śmieci, które wyjęła z pobliskiej altanki śmietnikowej i rozerwała, nie przejmując się tym, że sama się ubrudzi, jak jakaś pierdolona psychopatka, a w którąś niedzielę, kilka tygodni po tym, jak zamieszkaliśmy z Wojtkiem w Olsztynku, przywiozła pod nasze okno czarną trumnę z metalowymi okuciami, którą zostawiła na trawniku – sąsiad widział, że pomagało jej w tym dwóch młodych mężczyzn, zapewne jakichś opłaconych „tragarzy”.

Trumna zniknęła z trawnika już kilka godzin później – w Polsce na takie rzeczy szybko znajdują się amatorzy, ale niesmak pozostał... Rozumiałam, że Daria może mieć do mnie żal, ale myśl, że tak otwarcie życzy mi śmierci, była przerażająca.

Któregoś dnia rzuciła się z pięściami na wysiadającego z samochodu Wojtka, innym razem zaczęła się na mnie na parkingu przed supermarketem i oblała mnie jakąś cieczą, chlustając mi nią prosto w twarz. Wpadłam wtedy w panikę, w pierwszej chwili myśląc, że to jakieś chemikalia, i z płaczem wbiegłam do sklepu, wołając o pomoc.

Kilka minut później, kiedy w panice, uspokajana przez pracowników ochrony, przemywałam twarz zimną wodą na zapleczu marketu, dostałam od niej esemesa. „Nie panikuj tak, głupia zdziro, to tylko woda z kibla”, napisała, dodając do wiadomości kilka roześmianych emotków.

Ta kobieta jest chora psychicznie, a najgorsze pozostaje to, że nic nie możemy z tym zrobić...

Ktoś tam niby nam poradził, żeby oskarżyć ją o stalking, ale znając nieograniczone możliwości finansowe stojącego za nią murem ojca, stracilibyśmy tylko czas, nerwy i kasę. Któregoś razu zaszłam nawet na komisariat i opowiedziałam o tym, co wyczynia Daria jednemu

z młodych funkcjonariuszy, ale facet wyglądał na kompletnie bezradnego i niczego konkretnego mi nie zaoferował.

Czekamy więc, aż znudzi się jej nękanie nas i chociaż wolę się jeszcze nie cieszyć, od kilku tygodni zaprzestała ataków. Przyczaiła się? A może rzeczywiście odpuściła, widząc, że dopięliśmy swego i wprowadziliśmy się do wspólnego domu? Może zrozumiała, że choćby stanęła na rżęsach, Wojtek już do niej nie wróci, i dała sobie spokój?, pocieszam się.

Nadal jednak źle sypiam – często wstaję i podchodzę do okna, żeby sprawdzić, czy nikt nie kręci się po naszej ulicy. Zawsze zamykam też drzwi, ale bywa, że nagle w przypływie paniki otwieram wielką wewnęszą szafę w korytarzu, bojąc się, że ona ukrywa się w środku, a później odskakuję, oświetlając z niepokojem trzymaną w ręku latarką jej pełne kurtek i płaszczy wnętrze.

Kilka tygodni temu Wojtek rozmawiał z jej ojcem i były, a raczej obecny, teść obiecał mu, że przypilnuje Darii i wybije jej z głowy nękanie nas. Nie łudzę się, że stary zrobił to z sympatii do zięcia, co to to nie. Być może przestraszył się po prostu konsekwencji prawnych, jakie możemy w końcu zacząć wyciągać, albo zrozumiał, że wszystko to zaszło za daleko.

W każdym razie dowiedzieliśmy się, że ma przypilnować swojej kompletnie pierdolniętej córeczki i na razie nasz spokój trwa...

Wraca Wojtek.

Widząc wjeżdżający na podwórze samochód ukochanego, wstaję, opuszczam werandę i idę w stronę auta.

– Cześć, piękna. – Wojtek wysiada, podchodzi do mnie i całuje w usta, a później rzuca: „Cześć, dziewczynki, tu tatuś”. Potem gładzi przez chwilę mój brzuch.

Kwiecista sukienka, którą mam na sobie, coraz mocniej mnie opina, więc lada dzień będę musiała zainwestować w kolejne ciążowe ciuchy, myślę, kiedy on wyjmuje z bagażnika kilka reklamówek z zakupami.

– Zamówiłem łóżeczka, jutro przed południem powinni je przywieźć – mówi Wojtek, kiedy idziemy w stronę werandy i frontowych drzwi. –

Będziesz w domu?

– Będę. – Uśmiecham się, bo przecież jestem tu niemal non stop.

Odkąd kilka miesięcy temu właścicielka salonu Yasmin, zmęczona zaciekłymi atakami ze strony Darii, zasugerowała, żebym poszukała sobie innej pracy, zostałam w domu. Niedługo później zaszłam w ciążę i chociaż przez całe moje dorosłe życie pracowałam, obecnie bawię się w kurę domową i nawet całkiem mi się to podoba. Piekę ciasta, testuję nowe przepisy, gotuję kompoty, robię dzemy i dopieszczam dom, który urządzamy tydzień po tygodniu, co chwilę dokupując nowe meble, lampy czy inne potrzebne rzeczy.

Pokoik dziewczynek jest już prawie gotowy. Kilka tygodni temu położyliśmy z Wojtkiem piękne, kwieciste tapety, mamy przewijak, szafkę na ciuszki i wygodny fotel, w którym będę karmić. Brakowało tylko łóżeczek.

Chwilę później myślę o sąsiadującym z sypialnią dziewczynek pokoju, który trzymam dla Igi, i coś mnie łapie za gardło. W najdrobniejszym szczególe zaplanowałam, jak go kiedyś urządzę, ale obecnie tak mnie zaabsorbowała przeprowadzka, nowy związek i oczekiwanie na nasze bliźniaczki, że nie zrobiłam tam jeszcze nic. Zupełnie nic. Mam z tego powodu wyrzuty, a te cztery gołe ściany sprawiają, że czuję się złą matką. A co, jeśli Iga odnajdzie się właśnie dziś? Jutro? Za trzy dni? Nasz dom sprzedaliśmy, Robert mieszka ze swoją nową kobietą pod Ostródą. Ja jestem w nowym związku, w ciąży z innym mężczyzną, a w pokoju, który powinien być jej, nie ma nic, nawet łóżka... Czy coś mnie usprawiedliwia? Okej, niezbyt dobrze znoszę bliźniaczą ciążę i najchętniej ciągle bym odpoczywała, ale jednak.

Przygryzam wargę i wchodzę do środka.

Wciąż tu pusto, ale za to jest całkiem ładne światło – okna wychodzą na zachodnią stronę, popołudniami robi się tu naprawdę przyjemnie.

Staję na środku pomieszczenia i wyobrażam sobie efekt końcowy. Iga uwielbiała flamingi. Nad łóżkiem mogłabym dać tapetę z nimi, a samo łóżko kupić białe, z wysokim pikowanym zagłówkiem, jak dla księżniczki. Do tego biureczko, też bielutkie, jasne zasłony w oknach, szafa,

toaletka, duże lustro. W kącie donica z palmą, wokół ramy lustra kolorowe światełka – wszystko piękne, dziewczęce, cieszące oko.

Kilka dni temu Iga skończyła szesnaście lat.

Szesnaście lat, a ja wciąż mam przed oczyma słodką buzię tamtej dziewczynki, którą straciliśmy.

– Wróc do domu, córeczko – szepczę, stojąc w pustym pokoju.

W tym samym momencie obiecuję sobie, że jak tylko urodzę i jakoś ogarnę nową sytuację, wszystko tu urządzę. Wojtek bardzo mnie wspiera. Oboje wiemy, że to odrobinę bez sensu – urządzać pokój dla kogoś, kogo fizycznie przy nas nie ma, ale przecież tu chodzi również o nadzieję, to ona trzyma nas przy życiu.

Nagle myślę o Amelii. A co, jeśli to jego córka się znajdzie, a moja nie? Czy to właśnie w tym pokoju będzie sypiać, przyjeżdżając do nas na weekendy, o ile Daria jej na to pozwoli? Na tym łóżku, które wybrałam dla Igi? Chryste, jakie to wszystko jest trudne, myślę ze łzami w oczach.

– Tu jesteś. – Wojtek wchodzi do pustego pokoju, odgarnia mi włosy i całuje w kark. – Nie myśl zbyt wiele – mówi mi na ucho, chociaż przecież sam również rozmyśla o wiele za dużo.

– Tęsknię za nią – mówię, a on obejmuje mnie od tyłu i tuli w ramionach.

– Wiem. Ja też tęsknię za Amelią. Ale ich tu nie ma. Jesteśmy my i nasze dziewczynki. – Gładzi mnie po brzuchu, a ja przymykam oczy, rozpaczliwie pragnąc chociaż na chwilę zapomnieć o tragediach, które nas spotkały.

– A może Malwina i Marcela? – proponuję, bo w kwestii imion dla dzieci wciąż jeszcze nie doszliśmy do porozumienia.

– Klaudia i Karina. – Wojtek upiera się przy tych już od prawie dwóch miesięcy i nagle dochodzę do wniosku, że czas skapitulować.

– Dobrze – mówię i obracam się twarzą do niego. – Postanowione: Klaudia i Karina. – Uśmiecham się, a on całuje mnie w usta.

– Słyszałyście, dziewczynki? Mamy to! – mówi po chwili, zwracając się do mojego brzucha.

- Niech ci będzie, że wygrałeś.
 - Chodźmy. To miejsce źle na ciebie działa – Wojtek ciągnie mnie za rękę.
 - Ale wszystko tu urządzimy? Obiecuj mi, że jak tylko urodzę...
 - Jasne, przecież już o tym rozmawialiśmy. A teraz zrobię nam kolację.
 - Jesteś skarbem – mruczę w odpowiedzi.
 - Staram się, jak mogę – rzuca, zamykając za nami drzwi od pustego pokoju.
- Gdybym tylko umiała tak łatwo odgrodzić się od emocji, myślę, wychodząc z nim na korytarz. Ale to przecież znacznie trudniejsze niż zamknięcie za sobą drzwi.

14
IZABELA

W niedzielę wybieramy się z Wojciechem nad jezioro, w okolicę, którą bardzo polubiliśmy zimą – są tu pola uprawne, mnóstwo przestrzeni i kilka mniej uczęszczanych zakątków nad wodą, gdzie nie ma weekendowych tłumów. „Nasza” plaża to duża łacha piasku częściowo porośnięta szuwarami. Spędzamy tu ponad dwie godziny, po czym pakujemy rzeczy, w tym duży plażowy parasol, pod którym skrywałam się przed ostrym słońcem, i jedziemy na spacer – całkiem niedawno wypatrzyłam w tej okolicy krętą, ciągnącą się wśród pól lawendy dróżkę, którą można iść przed siebie daleko, daleko, aż na skraj brzoźowego lasku. Po drugiej stronie ścieżki rośnie zboże – wszystko wygląda cudnie, przywodzi na myśl Prowansję, dokąd zawsze chciałam pojechać.

Spacerując, robimy zdjęcia – mam na sobie ładną beżową sukienkę z koronkowymi wstawkami, a na głowie słomkowy kapelusz. Wojtek pstryka mi fotki telefonem, a ja pozuję na skraju obsianego zbożem pola, na którym rosną chabry i maki, a później wśród lawendy.

Wracamy do samochodu, trzymając się za ręce – roześmiani, opaleni i rozgrzani słońcem – to jedno z tych leniwych, niedzielnych popołudni, kiedy na dłuższą chwilę udaje się nam złapać szczęście.

– Kocham cię. – Wojtek obejmuje mnie w talii.

– Ja ciebie też. – Uśmiecham się, a on przyciąga mnie do siebie i patrzy mi prosto w oczy.

– Będziemy wspaniałymi rodzicami. Wiesz o tym, prawda? – pyta cicho, a w jego głosie słychać wzruszenie.

– Wiem – odpowiadam, bo przecież taką właśnie mam nadzieję.

Tym razem wszystko się nam uda. Nasze dziewczynki będą bezpieczne, dorosną w kochającej się rodzinie, a my doczekamy się jasnej,

promiennej przyszłości, myślę.

Nad naszą głową leci samolot. Powietrze jest rozgrzane, faluje od gorąca. Chce mi się pić, ale szczęście, jakie czuję, sprawia, że się na tym nie skupiam – to taki idealny dzień, wyśniony.

Jesteśmy kilkanaście metrów od samochodu, kiedy z pobliskiego zagajnika wychodzi mała, na oko pięcioletnia dziewczynka. Ma na sobie jasnobłękitną sukienkę, włoski spięte w dwa kucyki, w ręku niesie niewielki wiklinowy koszyk.

Przystaję, dosłownie porażona. Mała jest tak podobna do Igi, kiedy była w jej wieku, że wydaje się jakimś cudem zmaterializowanym duchem minionej bezpowrotnie przeszłości...

– Wojtek – szepczę, zaciskając palce na jego dłoni. – Widzisz ją? – pytam, z nadzieją, że nie mam jakichś halucynacji.

Dziewczynka nie wydaje się zaniepokojona naszym widokiem – dwójki, bądź co bądź, obcych ludzi, którzy nagle przed nią wyrosli.

Wręcz przeciwnie, uśmiecha się do nas, prezentując uroczą szczerbę pomiędzy zębami, a ja mocniej zaciskam palce na dłoni narzeczonego.

Nagle czas się zatrzymuje, wszystko wokół cichnie. Nie słyszę przelatującego nasz naszymi głowami samolotu, pomruku aut z niedalekiej szosy, brzęczenia owadów. Jesteśmy tylko my i to piękne, jasnowłose dziecko.

– Cześć – odzywam się do niej w końcu, a ona posyła mi jeszcze szerszy uśmiech.

– Dzień dobry – odpowiada.

– Wyszłaś na spacer? – pytam.

– Tak – mówi.

– A twoja mama?

– Tam. – Mała obraca się i pokazuje palcem stojący jakieś dwieście metrów dalej, otoczony polami dom.

– Jestem Iza, a ty? – pytam, podchodząc do niej.

– Maja – przedstawia się.

Wtedy myślę o czymś naprawdę przerażającym. Pomysł rodzi się w mojej głowie w sekundę i nie chce odejść.

Pragnę tego dziecka.

Wojtek stoi obok mnie. Jest blady, milczący – wyraźnie zdaje sobie sprawę z tego, jakie piorunujące wrażenie zrobił na mnie widok tej obcej dziewczynki, która jest jak kopia Igi sprzed lat. Wielokrotnie oglądał przecież nasze rodzinne zdjęcia i świetnie wie, jak wyglądała moja córka jako pięciolatka. Niemal identycznie – jasne włoski, brązowe oczy z zielonymi plamkami, piegi na nosku, nawet kształt twarzy i ust mają podobny, jakby były siostrami – słowo daję, że muszę zapytać Roberta, czy aby przypadkiem nie miał tu romansu z jakąś miejscową babą – myślę i przez chwilę chce mi się śmiać. Ale uczucie rozbawienia znika momentalnie, sekundę później czuję tylko palącą, obezwładniającą chęć zabrania tego cudnego dziecka ze sobą do domu.

– Chcesz się przejechać autem, Maju? – pytam, puszczając dłoń Wojtka. – Jest czerwone i nowiutkie, a w środku są cukierki. Lubisz słodocze?

– Lubię, ale mama nie pozwala mi ich jeść. – Dziewczynka się do mnie uśmiecha.

– My pozwalamy, ale to będzie nasza wspólna tajemnica – mówię, wyciągając do niej rękę, którą ściska z rozczulającą dziecięcą ufnością.

Po chwili idziemy we trójkę wzdłuż ścieżki – my dwie nieco z przodu, za nami Wojciech.

– Iza, zaczekaj – odzywa się nagle.

W jego głosie słyszę wahanie, ale nie zamierzam się zatrzymać. Nie ma mowy!

Wręcz przeciwnie – przyspieszam kroku, a dziewczynka z trudem za mną nadąża. Najchętniej wzięłabym ją na ręce i zaczęła biec, ale ze względu na mój stan wolę tego nie robić. Jest uroczo pulchniutka, przypuszczam, że trochę waży.

– Nie zostawię jej tutaj – szepczę, kiedy jesteśmy parę kroków od samochodu. – Wojtek, słyszysz? Nie dam rady jej tu zostawić – dodaję.

Mała ciągnie mnie za rękę.

– Gdzie są cukierki? – pyta. – Iza, gdzie są? – podskakuje.

Rozglądam się wokół, ale oprócz nas wśród pól nie ma żywej duszy. Jesteśmy tu sami – na skraju niewielkiego, pełnego porozrzucanych w trawie śmieci lasku, z ufnym cudzym dzieckiem...

– Wsiadaj – mówię z uśmiechem, otwierając tylne drzwi.

W samochodzie jest nieprawdopodobnie gorąco, rozgrzane powietrze dosłownie aż z niego bucha. Normalnie poczekalibyśmy pewnie, aż trochę się przewietrzy, zwłaszcza że nie znoszę klimatyzacji, ale tym razem chcę już tylko stąd odjechać, zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu razem z dziewczynką, którą w kilka sekund zdążyłam pokochać. Ale nie, pokochać to zbyt duże słowo, a jednak pragnę ją mieć tak mocno, że na samą myśl o tym kręci mi się w głowie.

Wojciech nadal stoi przy aucie i wygląda tak, jakby miał wątpliwości, chyba się waha.

– Wsiadaj – rzucam.

Mój ton jest ostry, rozkazujący.

– No wsiadaj! – cedzę, kiedy widzę, że ani drgnął.

– Jesteś pewna? – pyta cicho.

– Tak – odpowiadam z naciskiem.

Dziewczynka, nie czekając na mnie, wskakuje do auta. Jest przerażająco ufna... Niczego nie podejrzewa, spodziewa się wyłącznie cukierków i fajnej przygody. Być może jej rodzice nie mają samochodu, stąd jej entuzjazm w temacie przejażdżki. A być może jest po prostu pięcioletką, której nikt jeszcze nie powiedział, że za żadne skarby świata nie powinna wierzyć nieznajomym? Ale wyglądamy przecież tak niewinnie – ja, z bukietem chabrów i maków w dłoni, w pięknej sukience i kapeluszu, a Wojtek w jasnej koszuli i krótkich spodenkach, opalony, odprężony, zrelaksowany. Jesteśmy parą miłych ludzi, którzy obiecali jej cukierki. A ona właśnie wsiadła do nagrzanego wozu, żeby je od nas dostać. Wiklinowy koszyczek, który miała w ręku, kładzie sobie na kolanach, później obojętnie zrzuca go pod siedzenie i rozgląda się po wnętrzu samochodu.

Wsiadam za nią, z tyłu, i zamykam za sobą drzwi.

– Gorąco, prawda? Połóż się, odpoczniesz – zachęcam ją w nadziei, że z głową na moich kolanach nie będzie widoczna z szosy.

Wojtek również wsiada do auta, zamyka drzwi, zapina pasy i przekręca kluczyk w stacyjce.

Nie mówi ani słowa, ale ja wciąż czuję jego wahanie, bijące od niego wątpliwości dosłownie wibrują w nagrzanym powietrzu samochodu.

Zanim wyjeżdża na główną drogę, zatrzymuje się na poboczu, wyłącza silnik, rozpiną pas i odwraca się w moją stronę.

– Nie możemy tego zrobić, Iza – mówi cicho.

Maja podnosi głowę, pyta o cukierki.

– Za chwilę – obiecuję, gładząc ją po włosach. – Jedź – zwracam się do niego.

– Jeśli nas złapią...

– Nie złapią.

– A jeśli...

– Jedź! – podnoszę głos.

Mała drga, przestraszona i nagle robi się czujniejsza.

– Jedziemy do mojej mamy? – pyta.

– Tak, później. Najpierw na przejażdżkę tym fajnym autem i na lody – mówię jej.

– Nie mogę jeść lodów – odpowiada.

– Wiem, wolisz cukierki. – Uśmiecham się. – Twój tato ma auto? – pytam, żeby ją jakoś zagadać.

– Nie, ale ma rower i traktor.

– A mama? Kochasz swoją mamę?

– Tak! – Mała wierci się na tylnym siedzeniu, przez chwilę nie jestem w stanie nakłonić jej do położenia głowy na moich kolanach, ale w końcu to robi, a ja zaczynam jej nucić kołysankę, gładząc ją po włosach.

– Porwaliśmy dziecko, zdajesz sobie z tego sprawę? – pyta siedzący za kierownicą Wojciech. Robi to tak cicho, że ledwo go słyszę. – Ale możemy się jeszcze zatrzymać. Odwieziemy ją w pola albo...

– Jedźcie z nami. Nie wracam bez niej!

– Będiesz miała dzidziusia? – pyta Maja, która znowu usiadła i przygląda się mojemu ciężowemu brzuchowi.

– Dwoje dzieci – uśmiecham się do niej. – Dwie dziewczynki.

– Moja mama też będzie mieć dzidziusia! – chwali się mała. – Ale ma większy brzuch!

– Masz rodzeństwo? Brata? Siostrę? – pytam.

– Dwóch braci, są już duzi, dwie siostry i teraz będzie nowe dziecko. Mama mówi, że będę starszą siostrą – chwali się dziewczynka.

– Słyszałeś? Ta kobieta rodzi jedno po drugim. Przy odrobinie szczęścia nawet nie zauważy, że któreś z nich zniknęło – rzucam szeptem, a Wojtek parska, wyraźnie zniesmaczony moją uwagą.

– To było wredne – mówi. – A ty, jako matka, powinnaś wiedzieć, jaką palnęłaś bzdurę – dodaje.

Chwilę później rusza i wyjeżdża na szosę.

Z całą pewnością wbrew sobie, a jednak to robi.

Dla mnie, myślę i czuję jakąś dziwną satysfakcję. Tak, zrobił to dla mnie i to mi pochlebia. Kiedyś, tamtego burzowego wieczoru nad jeziorem, obiecał, że zrobi dla mnie wszystko, i właśnie nadarzyła się okazja. „Wszystko” ma lekko zadarty nosek, piegi, dwa kucyki i śliczne, brązowo-zielone oczy. „Wszystko” trzeba tylko bezpiecznie zawieźć do domu, a później sprawy jakoś się poukładają, zapewniam się w duchu.

Jesteśmy na miejscu niecałe pół godziny później. Maja zasnęła w samochodzie, na tylnym siedzeniu, a my pokonaliśmy całą drogę milczący, zatopieni we własnych myślach.

– I co teraz? – pyta Wojtek, po tym jak wjeżdżamy do garażu, a ciężka metalowa brama z łoskotem osuwa się w dół, odgradzając nas od reszty świata.

– Nic. Będzie nasza. – Uśmiecham się.

– Problem w tym, że ona nie jest nasza. Sięgnęliśmy po to, co nie nasze. Kurwa, Iza, nie wierzę, że ci w tym pomogłem! – Wojciech z niedowierzaniem potrząsa głową i na dłuższą chwilę w samochodzie zapada cicha.

– Gdyby ktoś pytał, to córeczka mojej kuzynki, którą się zajmujemy. Powiedzmy, że kuzynka ma raka i wyjechała na terapię do Austrii. Ale bez obaw, nikt nie zapyta. Tutaj ludzie pilnują własnego nosa – mrużę. – Ślepa uliczka, nasz dom jest ostatni w rzędzie, a ogrodu na tyłach nie widać ani z okien sąsiadów, ani z ulicy. Nikt nie zapyta, zresztą prawie nikogo tu nie znamy. Jeśli jeszcze kilka dni temu martwiłam się, że sąsiedzi nie są zbyt otwarci, teraz jest mi to całkiem na rękę. Ci zza płotu nawet nie zaszli się przedstawić, nie mówią „dzień dobry”, olewają nas, z tych z przeciwka albo ciągle nie ma, albo zajmują się własnymi sprawami.

– To nie jest tylko kwestia naszego sąsiedztwa, Iza. Wiesz przecież, że będą jej szukać. To się zrobi głośne: ogólnopolska sprawa, medialna. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Zaginęła pięciolatka, do cholery! To zawsze rodzi emocje!

– Tu jej nie znajdą.

– I co dalej? Jak pošlemy ją do szkoły? Jak zdołamy wychować cudze dziecko? Jak odbierzesz jej wspomnienia o dawnej rodzinie? Wymażesz je gumką? Jaką masz pewność, że nie powie komuś o dwa słowa za dużo? Zamierzasz latami ją izolować? Trzymać zamkniętą w domu jak jakieś urocze, futerkowe zwierzątko?

– Nie wiem – szepczę. – Nie wiem, Wojtek. Wiem tylko, że kiedy ją zobaczyłam, poczułam coś... To nie jest przypadek, rozumiesz? Ich podobieństwo... Gdyby nie wyglądała jak Iga, nawet bym o tym nie pomyślała, ale ona... – Urywam w pół zdania, bo mała się budzi i pyta o mamę.

– Mama przyjedzie później – kłamię.

Następnie wysiadamy z samochodu i zabieram ją na górę, do pokoju dziewczynek.

– Tu zamieszkają dzidziusie, kiedy się urodzą – wyjaśniam jej, dodając, że kiedy podrosną, będzie się mogła z nimi bawić.

Chwilę później myślę o pustym pokoju, który który przeznaczyłam dla Igi, i wyobrażam sobie, że umieszczę w nim Maję. Może to spotka-

nie było znakiem i los zesłał mi dziewczynkę tak podobną do mojej córeczki, bo ona już do nas nie wróci?

– A brzuch mojej mamy czasem się rusza! – oznajmia Maja, rozglądając się po pokoiku.

Po chwili sięga po stojącego na regale pluszowego misia i pyta, gdzie są cukierki.

– Dlaczego tu jestem? – pyta.

– Bo twoja mama jest moją przyjaciółką i prosiła, żebym się tobą zajęła do czasu, aż urodzi dziecko. Jest bardzo zmęczona, a ja obiecałam, że jej pomogę – mówię.

– Mama tu nie przyjdzie? – Usteczka Mai wyginają się w podkówkę, dziewczynka wygląda tak, jakby lada chwila miała się rozplakać.

– Nie dziś, ale może za kilka dni – kłamię dalej.

Wojtek stoi w progu, przysłuchując się nam.

Milczy, wygląda na zasepionego.

Jestem rozczarowana jego postawą, chciałabym, żeby mnie wspierał, żeby bez cienia wątpliwości zrozumiał, czemu to zrobiłam, ale on sprawia wrażenie zszokowanego i zniesmaczonego tym, do czego przyłożył rękę.

– Wszystko się jakoś poukłada – pocieszam go. – Zobacz, jest idealnie – dodaję, ruchem głowy wskazując bawiącą się pluszowym misiem Maję.

– Pójdziemy siedzieć. Urodzisz nasze córki w więzieniu, tego narobiłaś – prorokuje Wojtek.

– Nikt jej z nami nie skojarzy! Nikt nas nie widział, nie spotkaliśmy nikogo ani nad wodą, ani na spacerze! Wracaliśmy bocznymi drogami, nikt nie widział jej przed domem, bo wjechałeś do garażu. Nikt się nie...

– Musimy ją oddać – wchodzi mi w słowo. – Wybacz, Iza, nie wiem, czemu cię posłuchałem, czemu w ogóle ją stamtąd zabrałem, ale ona...

– Nie! – krzyczę, a przestraszone dziecko gwałtownie unosi głowę i posyła mi pytające spojrzenie. – Nikomu jej nie oddam, słyszysz?! Ona tam czekała właśnie na mnie, to jest dar od losu za to, co mnie

spotkało! Ona jest już moja – szepczę, nie chcąc, żeby dziewczynka mnie usłyszała.

– Dobrze, porozmawiamy o tym jutro, kiedy wróci ci rozum. Chociaż radziłbym odwieźć ją do domu już teraz.

– I co? Co powiemy jej rodzinie? Że ją porwaliśmy, ale zmieniliśmy zdanie? – syczę.

– Chcę do mamy! – Maja zrywa się z dywanu, na którym siedziała, ciska na podłogę misia i rusza w stronę drzwi. – Chcę do mamy! – krzyczy.

W oczach ma łzy, na pucułowatych policzkach dziewczynki wykwita rumieniec.

– I co teraz? – pyta Wojtek, zanim zostawia nas same.

Nagle przychodzi mi do głowy coś bardzo niepokojącego. A co, jeśli on zawiadomi policję? Ale nie, nie zrobiłby tego... To byłby koniec naszego związku i on musi świetnie zdawać sobie z tego sprawę, pocieszam się.

Chwilę później podchodzę do zapłakanej Mai i usiłuję ją przytulić, ale dziecko mi się wyrywa.

– Chcę do mamy! Gdzie jest mama?! – wrzeszczy, bijąc mnie małymi, ale zaskakująco twardymi piąstkami po ramionach i dekolcie.

Oślaniam brzuch, usiłując przeczekać, aż minie jej napad złości, ale mała krzyczy coraz głośniejsze, płacze, wpadła w jakiś amok.

Przyglądam się jej, całkowicie bezradna, i ogarnia mnie panika, ciemnieje mi przed oczami.

Co myśmy zrobili?!

Co ja narobiłam?!

15
IZABELA

Pierwsza połowa nocy jest prawdziwym koszmarem. Maja raz za razem wpada w histerię, wybudzając się, krzyczy, kopie i wyje, w końcu zapada w głębszy sen, a Wojtek proponuje, żebym się położyła w gościnnym pokoju.

– Zdrzemnij się, musisz o siebie dbać – mówi cicho.

Śpię kilka godzin, a kiedy wstaję, na chwilę zapominam o tym, co się stało. Szybko jednak słyszę krzyk małej, która woła matkę.

W jej głosie jest taka rozpacz, że dosłownie się kulę, zdruzgotana tym, na co skazałam to dziecko. Kilka lat temu to mnie ktoś skradł córkę, a teraz zrobiłam to samo jakiejś matce? Jak mogłam? Co we mnie wstąpiło?, zastanawiam się, bezgłośnie płacząc w poduszkę.

Jeszcze dzień wcześniej byłam pewna, że to cud – przeznaczenie, które sprawiło, że na mojej drodze stanęło to piękne, tak podobne do mojej Igi dziecko, i odmieni moje życie, ale wraz z nasilającym się, nieutulonym płaczem Mai i mijającym czasem wraca mi trzeźwy osąd sytuacji, odzyskuję rozum. To nie żaden cud ani przeznaczenie... Po prostu skorzystałam z nadarzającej się okazji i ukradłam komuś córeczkę... Myślę o jej matce, o tej kobiecie w zaawansowanej ciąży, którą skazałam na piekło, i robi mi się niedobrze.

To naprawdę ja?

Ja jestem takim potworem?

Wojtek zjawia się w pokoju gościnnym z olbrzymią drewnianą tacą, na której postawił talerz z jajecznicą i mniejszy, z pojedynczą cienko ukrojoną kromką razowego chleba, kubek z jogurtem i szklanekę z wodą, w której pływa kilka plasterków cytryny. Chleb dość grubo posmarował masłem, tak jak lubię, ale podejrzewam, że wiele z tego nie

zjem – jestem w totalnej rozsypce i ciągle chce mi się płakać. Żałuję, że go nie posłuchałam, a jeszcze bardziej żałuję, że zrobiłam mu coś takiego. Jeśli jednak policja jakoś do nas dotrze, oboje usłyszymy wyroki. Nie pomogą jego tłumaczenia, że to był mój pomysł, zresztą, o ile Wojciech kocha tak bardzo, jak twierdzi, raczej nie będzie chciał zwalić całej winy na mnie.

– Zjedz coś i przyjdź do nas. Może twój widok ją uspokoi? – mówi zmęczonym głosem. – Dotarło już do ciebie, że musimy ją oddać? Pytanie tylko: jak? Jak to zrobić, żebyśmy przy okazji nie trafili za kratki? – dodaje, zanim rozmasowuje sobie skronie.

– Pomyślimy – obiecuję.

W tej samej chwili do moich uszu dochodzi płacz Mai, która znowu zaczyna wołać matkę, co chwilę zanosząc się szlochem.

Odkładam tacę ze śniadaniem, którą Wojtek położył mi na kolanach, odrzucam na bok kołdrę i wstaję z łóżka.

– Do mamy, chcę do mamy! – Maja wrzeszczy, ile sił w płucach, a ja biorę głęboki wdech, szykując się psychicznie na konfrontację z rozsierzdzoną i jednocześnie przerażoną dziewczynką.

Kiedy wchodzę do pokoju, Maja wygląda jak siedem nieszczęść – zapłakana, zasmarkana, w pobrudzonej czekoladowym puddingiem sukience.

– Odwieziemy cię do mamy – mówię, gładząc ją po główce. – Za kilka dni, obiecuję. Teraz twoja mama zajmuje się dzidziusiem, bo właśnie go urodziła – na oczekaniu wymyślam naprawdę grube kłamstwo, a Wojtek się krzywi. – Co? – rzucam przez zęby, zwracając się do niego.

– Nic – mówi mało sympatycznym tonem.

– Musisz dziś iść do pracy?

– A jak myślisz? – rzuca. – Jasne, że muszę.

Wtedy zdaję sobie sprawę, jak długie to będą godziny, podczas których zostanę w domu, sam na sam z małą. Jej nieustanna, nieutulona histeria powoli zaczyna mnie irytować. Wyobrażałam sobie wspólnie spędzany czas, nasze spacerunki po zalanym słońcem parku, być może za-

bawę w ogrodzie, ale dziecko ciągle tęskni za matką i nie chce nawet pozwolić mi się uczesać. Owca

– Wykąpiemy się? – pytam ją, przypominając sobie, jak Iga lubiła, kiedy myłam jej włosy, ale mała nie chce o tym słyszeć.

– W domu, z mamusią – mówi.

Teraz „mama” jest już „mamusią”, jej tęsknota wyraźnie eskaluje...

– To może zjemy grzanki? – rzucam pierwszym lepszym pomysłem. – Lody? – dodaję, kiedy dziewczynka nie wykazuje żadnego entuzjazmu i w końcu nadchodzi lekkie ocieplenie naszych relacji, bo Maja stwierdza, że lody mogą być, a Wojtek posyła mi krzywy uśmiech i mówi, że idzie pod prysznic.

Lody jej smakują. Je szybko, z apetytem, w kącikach ust ma czekoladę, przez jedną krótką chwilę wygląda na szczęśliwą.

– Chcesz zobaczyć dzidziusia? – pytam ją, chcąc zająć czymś jej myśli.

– Tego z twojego brzuszka? – dziwi się Maja, robiąc przy tym śmieszoną minę, i mimowolnie parskam śmiechem.

– Nie, tego, którego urodziła twoja mama – kłamię bez mrugnięcia okiem.

– Chcę! – dziewczynka się ożywia, zrywa z krzesła i podchodzi do mnie. – Gdzie jest dzidzius? Pojedziemy do mamy?

– Nie teraz. Ale zobacz, jaki piękny – pokazuję jej wyszukane w mojej komórce pierwsze lepsze zdjęcie zupełnie przypadkowego niemowlaka, a ona wzrusza ramionami.

– To nie jest dzidzius. To telefon – mówi.

– To zdjęcie, które wysłała mi dzisiaj twoja mama. Dzidzius, twój braciszek albo siostrzyczka. To braciszek?

– Siostrzyczka – mówi Maja.

– Wiesz, jak będzie mieć na imię?

– Monika.

– Piękne imię. – Uśmiecham się, a ona wraca na krzesło, żeby skończyć jeść szybko rozpuszczające się lody.

– Iza, ja już wychodzę. – Wojciech pojawia się w kuchni na chwilę, całuje mnie w szyję i macha do małej. – Gdyby coś się działo, to wiesz – dodaje, ruchem głowy wskazując trzymany przeze mnie telefon.

– Wróć tak prędko, jak się da – proszę go.

– Postaram się – obiecuje.

Chwilę później zostajemy same.

– A teraz możemy jechać do mamusi? – pyta Maja, zeskakując z krzesła.

– Chodź tu, wytrę ci buzię – mówię, sięgając po chusteczkę.

– Mamusię to bolało, kiedy dzidzius wychodził z jej brzucha? – pyta cicho.

– Tylko troszkę – kłamię, nie mając pojęcia, jakie w ogóle pięciolatka może mieć wyobrażenie o ciąży i porodzie.

– Pójdziemy dziś do ZOO? Ciocia Marta zabrała mnie kiedyś do ZOO – mówi Maja, posyłając mi pełne nadziei spojrzenie.

Jasne, świetny pomysł, myślę – zabrać porwane dziecko do ZOO.

– Nie możemy. Nie dziś. Ale możemy iść do ogrodu. Zobacz, jaka ładna pogoda – zerkam w stronę okna.

– Co jest w ogrodzie? Huśtawka? – pyta.

– Niestety nie, ale...

– A zjeżdżalnia?

– Też nie.

– To nie chcę. – Krzywi się.

Kurwa mać, myślę. Co zrobię z całym tym dniem? I kolejnym, i jeszcze kolejnym?

Po chwili włączam telewizor i przywołuję ją do salonu.

– Pooglądaj sobie coś – proszę.

Bajka ją wciąga, dobre i to.

Krażę po parterze, zastanawiając się, co dalej. Jak wybrnąć z tego, co narobiłam? Później włączam laptop i siadam w fotelu przy oknie, żeby mieć oko na siedzącą na sofie Maję.

W wiadomościach już o nas piszą. Nie, nie o nas, a przynajmniej nie bezpośrednio, ale o porwaniu Mai. Na jednym z lokalnych serwisów

znajduję szczegółowe dane pozyskane od rodziny dziewczynki, w tym jej rysopis.

Imię i nazwisko: Maja Jowita Słowik.

Wzrost: 113 centymetrów, waga: 22 kilo.

Włosy: jasne, do ramion, w chwili zaginięcia najprawdopodobniej spięte różowymi frotkami w dwa kucyki po bokach głowy.

Oczy: brązowo-zielone.

Znaków szczególnych brak.

Na innej stronie widzę zdjęcie matki dziewczynki – kobieta ma mocno opuchniętą twarz, wielki ciążowy brzuch i duże, opalone dłonie, które trzyma na udach. Na zdjęciu wygląda na zde-zorientowaną, nawet nie tyle smutną, ile w szoku.

„Kimkolwiek jesteś, błagam, oddaj nam naszą córeczkę!”, czytam.

Pod artykułem są komentarze, mnóstwo komentarzy – od tych empatycznych, z wyrazami wsparcia i sympatii, po pełne pogardy, podłe: „Trzeba było lepiej pilnować bachora, a nie teraz płakać w internetach!”.

Przeglądam je, dopóki Maja nie zgłasza mi konieczności skorzystania z łazienki.

Idę z nią, a później myję jej rękę. Chciałabym ją przebrać w coś świeżego, ale boję się nawet wyjść z domu, a co dopiero jechać do sklepu z dziecięcą odzieżą. Wracam więc z dziewczynką do salonu i zastanawiam się, jak i kiedy wpadniemy. Czy policja może sprawdzić, czyje telefony logowały się w najbliższej okolicy jej zaginięcia?, zastanawiam się. Nieopodal wiedzie jednak droga nad wodę, w czerwcu jest tam już dość spory ruch, więc nawet jeśli udało się nam na nikogo nie wpaść, z całą pewnością nie byliśmy tam wtedy sami. A jeśli ktoś nas widział?, przechodzi mi przez myśl i czuję dreszcze.

W panice dzwonię do Wojtka i mówię, że trzeba ją oddać, i to zaraz.

– Teraz cię olśniło? – cedzi. – Nie rób niczego beze mnie, słyszysz? Mam plan. Wrócę, to pogadamy. I nie zwracaj tej pralki na własną rękę – rzuca zupełnym bezsenssem, jakby się bał, że ktoś może nas podsłuchiwać.

– Dobrze – odpowiadam i się rozłączam.

Późnym popołudniem Wojtek mówi, że oddamy ją w czwartek.

– Festiwal food trucków, kojarzysz? Co roku, niedaleko stąd. Będą tłumy – setki aut, dziesiątki kamperów, tysiące ludzi. Rok temu szpilki nie dało się wbić, nawet w pierwszych dniach festiwalu, już w czwartek i piątek. Podjedziemy w okolicę, pożyczymy od kogoś wóz. Później każemy jej wejść między ludzi i powiedzieć, że się zgubiła.

– I tyle? Myślisz, że się uda?

– Musi – wzrusza ramionami Wojtek, po czym wyjmuje z reklamówki kupioną gdzieś dziecięcą perukę ze sztucznych, blad różowych włosów i okulary słoneczne w kształcie serduszek. – Nikt jej nie pozna, jeśli to założy. Podjedziemy, powiemy jej, co robić, i się stamtąd zawiniemy.

– Nie lepiej podrzucić ją gdzieś w środku nocy? Pod jakiś szpital czy komisariat? – proponuję, a on gniewnie parska.

– Gdzie? W mieście? Wszędzie są kamery, nie ogarniasz tematu? Festiwal jest nad jeziorem, wokół pola, kilka niewielkich wioch. Znam to wydarzenie i mówię ci, że lepszej okazji nie będzie – upiera się przy swoim.

– I co, mam tu z nią siedzieć do czwartku? – pytam, a on wybucha śmiechem.

– Przecież jeszcze niedawno chciałaś ją na zawsze – wypomina mi.

– Dobrze, skoro uważasz, że to się uda – zgadzam się, bo te pomysły, na które zdołałam wpaść w ciągu dnia, nie wydają mi się teraz ani trochę błyskotliwe.

Do czwartku Wojtek siedzi ze mną i Mają w domu – wziął urlop, udaje chorego i tkwimy w tym wszystkim razem. Całe szczęście mocno się rozpadało, więc nikogo nie dziwi to, że opuściliśmy rolety i nie wyścubiamy nosa za próg.

W czwartek rano dzwoni do nas kurier – Wojtek zamówił kilka rzeczy jeszcze przed sprawą z Mają i właśnie przyjechały.

– DHL – mówię, zerkając przez kuchenne okno na żółto-czerwoną furgonetkę. – Udawać, że nas nie ma?

– Nie, pójdę do niego. – Wojtek rusza w stronę drzwi, zanim rozlegnie się dzwonek.

W tej samej chwili ciszę przerywa jego świergotliwa melodyjka, a Maja zrywa się z krzesła z krzykiem: „Mama?!”

– Nie, ale dziś ją zobaczysz – obiecuję jej, a ona się rozpromienia.

– Dzisiaj?

– Tak, ale musisz być grzeczna. Będziesz? – pytam ją.

– Tak! – obiecuje, zanim kilka razy podskakuje i klaszcze w dłonie.

Ma na sobie biało-różową sukienkę, jedną z tych, które znalazłam w pudełkach z dawnymi ubrankami córki – część z nich zostawiłam sobie na pamiątkę, zwłaszcza te najładniejsze, i teraz, jak się okazało, bardzo się przydały.

Sukienka jest na nią odrobinę za duża, ale poza tym dziewczynka wygląda w niej uroczo.

*

Na festiwal wyjeżdżamy późnym popołudniem, z nadzieją, że największe tłumy będą tam właśnie między osiemnastą a dwudziestą drugą, kiedy już ludzie zdążą wyjść z pracy. Maja, wciąż w sukience Igi, na ma głowie perukę, a na nosie okulary – początkowo nie chciała ich założyć, ale udawałam przed nią, że to taka nowa zabawa, zrobiłam jej kilka zdjęć telefonem i ostatecznie przestała protestować.

– A jeśli mama mnie nie pozna? – pyta cicho, kiedy wsiadamy do samochodu.

– Na pewno cię pozna – zapewniam ją i mała się w końcu uspokaja.

Samochód pożyczyłam od Anki, koleżanki, która jakiś czas temu pracowała w salonie Yasmin. Wcisnęłam jej kit o tym, że dosłownie rozkraczyło mi się auto, a mam umówione USG, i obiecałam, że podrzucę z powrotem wóz wieczorem, z pełnym bakiem.

I oto jesteśmy – szczęśliwa „rodzinka” w jej ośmioletnim białym oplu, który w żaden sposób nie rzuca się w oczy.

W okolicę festiwalu podjeżdżamy koło dziewiętnastej trzydzieści i faktycznie, tak jak przewidywał Wojtek, wszędzie są tłumy. Auta, motocykle, kampery, nawet autokary – ludzi jest mnóstwo, być może również dzięki nagłej poprawie pogody.

– Zaparkuję nieco dalej, nie będę wjeżdżał w ten tłum – decyduje Wojtek.

Ja siedzę z Mają z tyłu – dziewczynka leży z głową na moich kolanach, poprosiłam ją, żeby tak zrobiła, a ona niechętnie, ale posłuchała.

Wojtek parkuje na dużym, wylanym betonem placu szumnie nazywanym parkingiem, fortunnie ukryty przed wzrokiem tłumów za jednym ze stojących tam pustych autokarów, wyłącza silnik i odwraca się w moją stronę.

– Zostanę w aucie. Podejdz z nią kawałek dalej, pokaż jej jakąś sympatycznie wyglądającą kobietę w średnim wieku i zrób dokładnie to, co ustaliliśmy. A później tu wracaj, tak szybko, jak się da. Nie stój i nie patrz za nią, nie czekaj, nie przejmuj się, jak sobie poradzi. Wokół pełno ludzi, ktoś się nią zainteresuje.

– A jeśli wpadnie w nieodpowiednie ręce? Jeśli jakiś pedofil... – odzywam się szeptem, ale Wojtek nie pozwala mi dokończyć.

– Daj spokój, bez przesady! Jest tych zwyrodnialców na świecie trochę, ale przy odrobinie szczęścia akurat nie tutaj i nie dziś. Ludzie po prostu przyjechali się nażreć.

– Ludzie z małymi dziećmi.

– Iza, po prostu idź! – ponagla mnie Wojtek.

Wysiadam więc z samochodu, rozglądam się i proszę Maję, żeby poszła ze mną.

Wokół nas nie ma nikogo, w tej części parkingu chwilowo jest pusto.

– Chodź, idziemy do mamy. Ale bądź cicho, jak prosiłam – pouczam ją.

Później ruszamy.

Mijamy kilka nieczynnych food trucków z opuszczonymi roletami, być może tych, które zamierzają sprzedawać jedzenie dopiero w nadchodzący weekend, dwa motocykle, grupkę roześmianej młodzieży.

Trzymam Maję za rączkę, serce bije mi tak mocno, jak chyba nigdy, między piersiami spływa strużka potu.

Zaraz będzie po wszystkim, pocieszam się w duchu. Najważniejsze jest to, że nikt się nam nie przygląda – jestem tylko trzydziestokilkulatką w wyraźnej ciąży, prowadzącą za rękę starszą córeczkę w śmiesznych okularach i peruce, bo tak to przecież z boku musi wyglądać.

Tłum się zagęszcza, ludzie kręcą się przy nas, wyjadając z plastikowych tacek pierogi, hot dogi i frytki oraz pijąc piwo. Nagle myślę o policji. Co, jeśli są tu jacyś tajniacy?, zastanawiam się, wiedząc, że w tak gęsty tłum wysyła się czasem gliniarzy w cywilu, żeby mieli na wszystko oko.

Maja szarpie mnie za rękę.

– Gdzie mamusia?! – krzyczy przenikliwym, przerażająco piskliwym głosem, chociaż prosiłam ją, żeby była cicho.

– Tam – wskazuję palcem biało-czerwony autobus, przy którym stoi ubrana w czarną kieckę otyła blondyna koło czterdziestki. – Widzisz tę panią, która je loda? Ona kupi ci takiego samego i zaprowadzi cię do mamusi – mówię Mai.

– Ale ja nie znam tej pani. – Dziewczynka się waha, ciągle trzyma mnie za rękę, wydaje się zagubiona i lekko przestraszona otaczającym chaosem.

Jakiś facet trzyma w ręku kamerę. Na jej widok panikuję ostatecznie, chcę po prostu stąd uciec, chociaż on nawet nie nagrywa.

– Idź! – Wyswobadzam dłoń z lepkiego uścisku przestraszonego dziecka i leciutko popycham dziewczynkę w kierunku autokaru. – No idź, ta pani tam na ciebie czeka! – dodaję.

Maja robi pierwszy krok w kierunku autobusu, później ogląda się na mnie i rusza przed siebie znacznie pewniej.

Wtedy przeciskam się przez tłum przy jednym z food trucków i coraz szybszym krokiem idę w stronę czekającego w opłu mojej koleżanki Wojciecha. Jakaś część mnie chciałaby jeszcze przez chwilę tam zostać, popatrzeć w ślad za małą, upewnić się, czy na pewno podeszła do

blondyny i otrzymała pomoc, ale instynkt samozachowawczy popycha mnie w stronę pobliskiego parkingu i jak najszybszej ucieczki.

– Jedziemy! – krzyczę, kiedy tylko wsiałam do samochodu, a Wojciech rusza, zawraca i wyjeżdża na drogę.

Dosłownie pędzimy w stronę szosy, zastanawiając się, ile mamy jeszcze czasu. Jak szybko baba w czarnej kiece odkryje, że Maja to nie jakieś biedne, zgubione na moment na festiwalu dziecko, ale porwana kilka dni wcześniej dziewczynka? Czy na miejscu jest policja? Co się stanie dalej? Zablokują drogi? Będą zatrzymywać wszystkie samochody?

– Cholera, chyba za daleko wjechałem – mówi Wojtek. – Nie trzeba się było pchać aż na sam parking, mnóstwo ludzi tam było.

– Ale żadnych kamer, nie panikuj – rzucam.

Później ściągam duże, niemodne ciemne okulary, które przesłaniały mi pół twarzy, uchylam okienko i wyrzucam jej z samochodu prosto do porośniętego wysoką trawą rowu.

Przebieram się w aucie, podczas jazdy – czerwoną bluzkę, którą miałam na sobie, wciskam pod siedzenie, a zakładam kraciastą, w zupełnie innym stylu. Później rozpuszczam splecione dziś wyjątkowo w ciasny warkocz włosy, i dopiero wtedy zaczynam się uspokajać.

– Włącz radio – proszę Wojtka, z nadzieją, że w wiadomościach powiedzą coś o cudem odnalezionym dziecku, ale na razie żadna rozgłośnia nie podaje takiej informacji.

Dopiero koło dwudziestej drugiej, już po oddaniu auta Ance, w końcu wmuszam w siebie coś więcej niż odrobinę gotowanych na parze warzyw i jogurt, siadam na sofie obok Wojtka, a on mówi, że właśnie podali informację.

– Wejdz na Onet, sama zobacz. – Kładzie mi swój laptop na kolana i niemal od razu widzę właściwy nagłówek.

„Pięcioletnia Maja odnaleziona! Dziewczynka twierdzi, że porwał ją siwy brodaty mężczyzna i pani w ciąży”, czytamy.

– Wszystko pokręciła – mówię, przygryzając wargę.

Kazaliśmy jej przecież powiedzieć, że przez kilka dni była u brodatego siwego pana i jego żony, siwej pani, a ona wszystko poplątała!

– Powiedziała, że jestem w ciąży! – krzyczę, a Wojtek wzrusza ramionami.

– Daj spokój, to pięciolatka. Pomyślą pewnie, że pomieszało jej się z matką. Poza tym, wybaczone, ale nic na to nie poradzimy. Będą ją przepytawać. Psycholodzy zajmujący się dziećmi są sprytni i pewnie coś z niej w końcu wyciągną. Ale trzeba być dobrej myśli, może nikt do nas nie dotrze – pociesza mnie Wojtek.

– Znajdą nas – mówię i zaczynam płakać. – Wojtek, co ja narobiłam? – szlocham, a on przyciąga mnie do siebie i całuje w czubek głowy.

– Nie znajdą.

– Nie możesz mieć takiej pewności!

– Mam przecucie. I przestań się denerwować, bo zaszkodzi dzieciom – prosi.

Chwilę później włączamy telewizor, a tam również mówią o Mai. Na ekranie naszej plazmy widzę teren festiwalu, tłumy ludzi, policję z psami i dziennikarzy, którzy już zlecieli się jak sępy.

– Mają psy – mówię cicho.

Psy, które być może podejmą trop od autokaru, do którego miała podejść Maja, aż na parking, gdzie zaparkował Wojtek.

– Wojtek, oni mają psy! – histeryzuję.

– I co ja ci, kurwa, na to poradzę?! – Wojciech gwałtownie mnie odsuwa i wstaje z sofy. – Mówiłem, zostaw tę smarkulę, ale coś ci odbiło! I teraz pójdziemy siedzieć!

– Mówiłeś, że masz przecucie – szepczę.

– Chuja mam, nie przecucie – warczy, a potem zostawia mnie samą w salonie.

Nagle myślę o naszym domu i zdradzieckich odciskach małych rączek, które mogły tu zostać, a później, mimo że boli mnie głowa i fatalnie się czuję, idę do łazienki, zakładam ochronne rękawiczki i zaczynam sprzątać. Czyszczę wszystko, kawałek po kawałku – framugi,

blaty stołów, poręcze schodów, krzesła, ławy, obramowanie kominka, klamki, drzwi, zabawki, których Maja dotykała.

Jeśli jakimś cudem, w jakiś sposób gliniarze do nas dotrą, nie może tu zostać nawet najmniejszy ślad jej obecności, mówię sobie. Później wpadam na jeszcze jeden pomysł i celowo robię bałagan – kruszę chipsy na podłogę, rozlewam wino do kieliszków, brudzę szminką ich brzegi, rozsypuję paluszki, plamię sofę.

– Jutro wezmę serwis sprzątający, któremu powiem, że była u nas domówka – wyjaśniam Wojtkowi. – A oni wyczyszczą mi dom na błysk. Już ja tego dopilnuję.

– Nikt tu nie przyjdzie, wyluzuj – powtarza. – I przepraszam, że się na ciebie wydarłem.

– Ja też przepraszam – mówię. – Wybaczysz mi kiedykolwiek?

– Nie musisz przepraszać, Iza. Byłem tam wtedy i widziałem, jak zareagowałaś na widok tej małej. Cholera, przez chwilę sam uwierzyłem, że to cud i przeznaczenie – mówi, gładząc mnie po głowie. – Ludzie z rozpaczą tracą czasem rozum w takich sytuacjach, w jakiej się znaleźliśmy. I my też na chwilę go straciliśmy – dodaje, tuląc mnie do siebie.

Bardzo go kocham, myślę z wdzięcznością. Zrobiłam przecież coś tak niewyobrażalnie głupiego, podłego i okrutnego, a on stara się mnie zrozumieć.

16
IZABELA

Przez kilka kolejnych tygodni nie opuszcza nas strach – boimy się, że policja dotrze do nas, udowodni nam porwanie Mai, a potem wsadzi za kraty, ale nie dzieje się nic takiego.

– Dziecko się znalazło, sprawa zamknięta. Z ich marnym budżetem nikt nie będzie się przejmował czymś, co zostało szczęśliwie rozwiązane – powiedział niedawno Wojtek.

Cóż, nie do końca się z nim zgadzam. O tajemniczym porwaniu Mai nadal dużo się mówi w mediach. Sprawą zajęli się podkasterzy, plotkarskie portale, a nawet dwie katolickie rozgłośnie – porwanie pięcioletniego dziecka, które na chwilę oddaliło się od rodzinnego domu, to zawsze budzi emocje... Oni tak łatwo nie odpuszczą. Ktoś latami będzie o tym myślał, chciał rozwiązać zagadkę, dociekał, kto stał za zniknięciem dziewczynki i co sprawiło, że później tak po prostu ją oddał. Ale na razie nikt do nas nie dotarł, co sprawia, że na chwilę opuszczam gardę i pozwalam sobie na szczyptę optymizmu. Zresztą teraz, po kilku tygodniach i zatartych śladach jej pobytu w naszym domu, nikt niczego nam nie udowodni. Jeśli już, będą mieć co najwyżej domniemania.

Najbardziej martwi mnie sprawa dziecięcej peruki i okularów, które Wojtek kupił dla Mai – okazało się, że zrobił to w centrum, całe szczęście nie w jednym sklepie. W tym z pamiątkami były kamery, w drogerii nie.

Staram się o tym zbyt często nie myśleć, odciąć się, powiedzieć sobie, że to już za nami – ten krótki epizod mojego szaleństwa pozostawiam za sobą, jednak czasem, nocami, budzę się i płaczę. Przepraszam

w duchu matkę Mai, którą tak skrzywdziłam, wyrzucam sobie egoizm, coraz gorzej sypiam.

*

W sierpniu, na kilka tygodni przed rozwiązaniem, trafiam na patologię ciąży. Szpital mnie przeraża, nie umiem się odnaleźć wśród wszystkich tych opowiadanych przez pacjentki, mrożących krew w żyłach medycznych historii, źle znoszę dochodzące czasem do naszych uszu krzyki rodzących, nie mogę jeść ani spać i ciągle płaczę.

Wojtek non stop jest przy mnie, o ile tylko może i pozwalają mu godziny odwiedzin – przynosi mi prasę, zabiera mnie na spacer do szpitalnego ogrodu – niestety siedzącą na inwalidzkim wózku, bo lekarze zabraniają mi dużo chodzić, co również fatalnie mi działa na psychikę – czuję się niezdarna, brzydka i niemal kaleka.

Jednym plusem jest ogród – pod wysokim ceglany murem okalającym starą klinikę rosną czerwone róże, a poustawiane tam ławki i zadbane trawniki sprawiają, że przez chwilę można się poczuć jak w miejskim parku. Jest koniec sierpnia, dni ciągle są upalne i parne. Termin porodu mam wyznaczony na osiemnasty września i czasem myślę, że chciałabym mieć to już za sobą. Boję się cesarki, widoku bliźni, osłabienia i utraty formy, ale też czekającej mnie dwudziestoczterogodzinnej opieki nad dwójką bliźniaczek. Nie mam już tyle energii, co szesnaście lat wcześniej, kiedy jako młoda mama powitałam na świecie Igę.

– Wszystko będzie dobrze – powtarza mi Wojtek, a ja bardzo chcę mu wierzyć.

Jest wtorek i siedzimy w samym kącie szpitalnego ogrodu, rozmawiając o zbliżającym się ślubie jego dobrych znajomych, na który – z oczywistych względów – nie pójdziemy, kiedy nagle dzwoni jego telefon.

Odbiera po chwili wahania, później przez moment tylko kogoś słycha, blednie i potrząsa głową, jakby bezgłośnie krzyczał: „Nie!”.

– Wojtek? – szepczę, usiłując złapać go za rękę, ale on gwałtownie podnosi się z ławki i zaczyna krążyć po wyłożonej kostką brukową alejce.

Kiedy do mnie wraca, milczy. Po prostu siada na ławce i bez słowa, ze ściągniętą twarzą patrzy przed siebie.

Wtedy do mnie dociera, że chodzi o Amelię.

– Czy ona... – zaczynam, ale nie potrafię dokończyć.

Nie umiem nawet tego wymówić. „Nie żyje” brzmi tak upiornie.

– Znaleźli ją, wczoraj rano – mówi w końcu Wojtek. – Teść już ją zidentyfikował...

– Czemu nie zadzwonił wcześniej?

– Twierdzi, że chciał mieć pewność.

– A ma ją teraz?

– Podobno tak. Zgadza się to, co zostało z jej ubrania, szacowany wiek włók pokrywa się z wiekiem Amelii w czasie zaginięcia, a dentysta właśnie... – Wojciech zrywa się nagle z ławki, pochyla i wymiotuje do pobliskiego kosza na śmieci.

– Może to nie ona? – pytam cicho, z nadzieją w głosie. – Gdzie ją znaleziono?

– Kilka kilometrów od miejsca porwania... w starym domu, którego właściciel niedawno zmarł. – Przerywa na chwilę, jakby kolejne słowo nie chciało mu przejść przez gardło, w końcu je z siebie wypluwa: – Szczątki... leżały na strychu, w tapczanie. Facet podobno cały czas mieszkał na parterze. – Łapie się za głowę, jakby usiłował sobie przypomnieć resztę usłyszanych przez telefon szczegółów. – Odkrył je sąsiad, jakiś alkoholik, który pewnie chciał go okraść... To on zawiadomił policję. – Po tych słowach w końcu na mnie spogląda, a jego oczy mają dziwny wyraz. – Śledczy podejrzewają, że moją córkę porwał... i zabił syn zmarłego. Podobno mieszka teraz w Szwecji.

– Boże – mówię, bo co innego można powiedzieć, a później wyobrażam sobie śliczną, promienną buzię Amelki i zaczynam płakać.

– Nie płacz, bo i co to da? Pogodziłem się już z tym dawno temu, od początku czułem, że ona nie żyje – mówi Wojtek głosem dziwnie wy-

pranym z emocji, chwilę później zaczyna jednak szlochać i w kółko powtarza: „Moja córeczka, moja maleńka córeczka”.

Kiedy klęka przy mnie i kładzie mi głowę na kolanach, delikatnie gładzę go po włosach, pocieszam, tulę, a moje łzy kapią na jego ramiona, głowę i policzek.

Jest w tym coś upiornego, że jego córka odnalazła się martwa tuż przed tym, jak ponownie zostanie ojcem, ale dostrzegam też coś kojącego – jakby los podarował nam pewne zamknięcie.

*

Trzy dni później teściowie Wojtka organizują nabożeństwo żałobne. Prokuratura zaznaczyła, że szybko nie odda im ciała, ale rodzina chce się pomodlić, zgromadzić razem w kościele i zacząć się godzić z tym, co i tak musieli podejrzewać. Amelia nie żyje.

Wojtek jedzie tam sam, ja wciąż jestem w szpitalu, zresztą nigdy, za żadne skarby świata, nie pojechałabym tam z nim, chociażby ze względu na moje popaprane relacje z Darią, jego byłą kobietą i nie-stety – oficjalnie – wciąż jeszcze obecną żoną.

Tego samego dnia dostaję wypis, a Wojciech po mnie przyjeżdża, zmęczony, blady, z podkrążonymi oczami.

– Jak było w kościele? – pytam go, kiedy pakuje do sportowej torby ciuchy, ręczniki i drobiazgi, które miałam ze sobą w szpitalu.

– A jak myślisz? – odpowiada pytaniem, zapina torbę i schyla się, żeby pomóc mi założyć buty. – Opowiem ci w aucie – dodaje ciszej, bo na łóżku przy oknie leży nowa pacjentka, która od godziny płacze.

Wcześniej usiłowałam ją jakoś pocieszyć, ale nie odezwała się do mnie nawet słowem. Po prostu leży, a pod kocem wyraźnie zaokrągla się jej duży ciążowy brzuch. Bezgłośnie szlocha i to łamie mi serce...

– Do widzenia i wszystkiego dobrego – mówię, wychodząc, ale nie odpowiada.

Cokolwiek jej się przydarzyło, musiało ją załamać, myślę ze współczuciem.

W samochodzie, przed szpitalem, po tym, jak Wojtek pomaga mi wsiąść i zapina mi pasy, sam siada za kierownicą i mówi, że kiedy tylko wszedł do kościoła wzburzona Daria na oczach wszystkich rzucała się na niego z pięściami.

– Zaczęła wrzeszczeć, że skoro zrezygnowałem z rodziny, nie mam prawa tam być, uderzyła mnie w twarz i gdyby nie odciągnął jej ojciec, rozorałaby mi pewnie pazurami policzek. Ta wariatka uważa, że skoro się z nią rozstałem, nie mam prawa wziąć udziału w nabożeństwie żałobnym zorganizowanym dla naszej córki, zupełnie jakbym z racji naszego rozstania przestał być ojcem Amelki. Jak bardzo można być pierdolniętą? No, powiedz, czy ona kompletnie oszalała?

– Przykro mi, że nie mogłam tam z tobą być, żeby cię wspierać – mówię, a on unosi moją dłoń do ust i całuje ją.

– Byłaś. Myślami ze mną byłaś. – Uśmiecha się blado.

– Jak twoi teściowie? – pytam.

– On się trzyma, ona jest w rozsypce. Natomiast Daria pozostaje nie tyle smutna, ile wściekła. Okładając mnie pięściami, syknęła, że to wszystko moja wina. Twierdzi, że los pokarał mnie za rozbitcie rodziny, chociaż przecież policja przypuszcza, że Amelia zginęła tuż po porwaniu, być może nawet w tym samym dniu, kiedy jeszcze nic nie wskazywało na to, że nasze małżeństwo kiedykolwiek się rozpadnie.

– A ten człowiek? Ten morderca? Złapali go?

– Nie, ale dorwą skurwysyna. Jeśli na świecie istnieje chociażby minimalna sprawiedliwość, dorwą go i skazą na długie lata za kratami, najlepiej na dożywocie, choć, gdyby to ode mnie zależało, przywróciłbym w takich skrajnych wypadkach starą, poczciwą karę śmierci dla degeneratów jego pokroju. Wykorzystał małą dziewczynkę, udusił i upchnął jej ciało do tapczanu w domu swojego ojca! Wyobrażasz sobie, jak chorym skurwysynem trzeba być?!

– Przynajmniej znacie już prawdę – mówię cicho, a Wojtek parska, poirytowany.

– Taką prawdę? Dziękuję bardzo za taką prawdę! Po tym, czego się dowiedziałem, wolałbym już chyba dalszą niepewność! My żyliśmy. Ko-

chaliśmy się, czuliśmy słońce na twarzy, jedliśmy truskawki, a ona tam leżała. Przez cały ten czas leżała upchnięta w jakimś pieprzonym tapczanie! Kto robi takie rzeczy? – Wojtek zaczyna szlochać.

Mija nas karetka, ktoś przechodzący parkingiem zerka w naszą stronę i znowu w zasięgu wzroku nie ma nikogo.

– To musi być chory człowiek, zaburzony. Nikt normalny nie dopuściłby się takiego bestialstwa – mówię cicho.

– Więc niech takich zjebów wyłapują i gdzieś umieszczają, zanim zdążą kogoś skrzywdzić! Czemu mają prawo do życia wśród normalnych ludzi?! Mówisz, że chory?! Może. Ale jakoś potrafił zorganizować sobie życie na tyle, żeby wyjechać do Szwecji i tam funkcjonować! Skurwysyn żył pełną piersią, podczas gdy nasza Amelka... – Wojtek urywa, bo łamie mu się głos.

Gładzę go po niedawno przyciętych włosach, starając się jednocześnie wyrzucić z głowy najgorsze, ponure myśli o mojej Idze, ale bezskutecznie. Wyobrażam sobie martwą córkę, z połamanymi paznokciami, za którymi jest tłusta czarna ziemia, szklistym spojrzeniem i matowymi, potarganymi włosami. Czy ona też leży martwa w jakiejś zagraconej szopie, starym tapczanie czy na czyimś pełnym pajęczyn strychu, cierpliwie czekając, aż ktoś w końcu ją odnajdzie, żeby skończyć tę niepewność i podarować nam chociaż namiastkę spokoju?

– Cierpliwie czekając – szepczę i wybucham histerycznym śmiechem, a Wojtek posyła mi pytające spojrzenie. – Nie, nic. Jedźmy – proszę. – Jedźmy do domu.

W drodze Wojtek zatrzymuje się przed witryną księgarni, rzuca: „za-raz będę” i wysiada.

Wraca kilka minut później, z poradnikiem o opiece nad bliźniętami, który zamówił dzień wcześniej, i „Polityką”, którą lubi czytywać wieczorami.

– Trzymaj – podaje mi książkę i gazetę, a później przekręca kluczyk w stacyjce, zjeżdża z chodnika i włącza się do ruchu.

W domu robię nam lemoniadę, przebieram się w luźną koszulkę i siadam na sofie, z nogami lekko uniesionymi na pufie, czując, że do-

słownie pęka mi krzyż – takiego bólu pleców nie miałam chyba jeszcze nigdy.

– Prześpij się, kotku, padasz z nóg – mówię do Wojtka, który siada koło mnie i kładzie dłoń na moim brzuchu.

– Wiercą się? – pyta.

– Teraz nie, chyba zasnęły.

– Nie możesz tracić nadziei, Iza. To, że Amelia nie żyje, nie znaczy, że to samo spotkało twoją Igę. Nigdy nie trać nadziei – prosi cicho, a ja czuję wzbierające pod powiekami łzy.

– Czasem to trudne, przecież sam wiesz... Są dni, kiedy dosłownie czuję ją gdzieś przy sobie, jakby jakimś cudem towarzyszyła mi duchem, wtedy jestem pewna, że odeszła. W inne mam dziwne wrażenie, że Iga łąda moment się odnajdzie, wmawiam sobie dobre przeczucia, na siłę chcę być optymistką, chociaż nie do końca jestem pewna, czy umiem.

– Dopóki nie ma ciała, musisz wierzyć. Wierzyć, że Iga żyje, słyszysz?

– Staram się – mówię. – Żal mi Darii. Nawet po tym wszystkim, co nam zrobiła, nie mogę przestać o niej myśleć. Szkoda, że tak fatalnie się między nami poukładało... Gdyby pogodziła się z naszym związkiem mogłabym teraz być przy niej, a ona przy mnie. Wspierałybyśmy się.

– Daria zawsze była trudna. Długo tego nie widziałem, najpierw byłem w niej ślepo zakochany, później po prostu robiłem wszystko, żeby się nią opiekować, ale ona... Cóż, jest jaka jest – mówi Wojtek, delikatnie gładząc mój brzuch. – Jakie to uczucie? – pyta nagle. – No, wiesz, nosić w sobie nowe życie. Dwa nowe życia. – Uśmiecha się.

– Cudowne, choć też przerażające. W nocy mam koszmary. Śni mi się, że umieram, a one razem ze mną. Bo przecież gdybym teraz odeszła, nasze dzieci obumarłyby we mnie. Boję się, że nagle zatrzyma mi się serce. Że ktoś mnie potrąci na pasach, że upadnę w łazience, albo po prostu umrę z jakichś dziwnych przyczyn, a nasze córeczki nie

będą miały szansy na przeżycie. To duże obciążenie psychiczne, kiedy jest się odpowiedzialnym nie tylko za swoje, ale i dwa inne życia.

– Wierzę.

– A najgorsza jest myśl, że znowu je zawiodę. Że tym razem też polegnę jako matka. Gdybym lepiej pilnowała Igi...

– To nie była twoja wina, Iza! Nie twoja! Słyszysz? – mówi Wojtek z naciskiem.

Chwilę później ktoś dzwoni do drzwi.

– Otworzę. – Wstaje i rusza na korytarz.

Wraca po chwili, milczący i pobladły.

– Coś się stało? – pytam.

– Nic, zapomnij.

– Powiedz. Nie ukrywaj przede mną...

– Dwie martwe białe myszki na wycieraczce. Obie miały zawiązane na szyjach różowe wstążeczki. To chciałaś usłyszeć?

– Daria – mówię.

– Najprawdopodobniej – przyznaje mi rację Wojtek, a do mnie dociera symbolika: dwie martwe myszy z różowymi wstążeczkami przewiazanymi na szyjach miały zapewne symbolizować nasze wciąż nie-narodzone córeczki.

Wzdrygam się.

– To już zaszło za daleko. Powinniśmy znów iść na policję – mówię.

– I co to da?

– Nie wiem, co to da! Ale puszczanie jej płazem takich zachowań?!

Proszę cię!

– Odbija jej, pewnie przez Amelię.

– I tyle? To ją usprawiedliwia?! Daria może wszystko, bo cierpi i się rozsypała, a ja co?! Dosłownie na dniach rodzę i się nie liczę?! Jak można zrobić coś tak podłego kobiecie w ciąży?! Za co ona aż tak mnie nienawidzi?! Bronisz jej, ale to przecież jasne, że jest pierdoloną psychopatką!

– Jest wredna, nic więcej. – Wojtek wzrusza ramionami.

– Jest chora! – mówię z naciskiem.

– Być może, ale to już problem jej ojca. Rozmawiałem z nim zresztą niedawno, bo chociaż jawnie okazuje mi niechęć, to zgadza się, że Daria jest w rozsypce i trzeba jakoś jej pomóc.

– Tak? I co ustaliliście?

– Niewiele – przyznaje szczerze Wojtek. – Teść chciałby sprzedać willę, w której mieszkaliśmy jako małżeństwo, i zabrać córkę do siebie, ale ona nie chce słyszeć o powrocie do rodziców. Mówi, że to jej dom, bez względu na to, czy jest mężatką, czy porzuconą żoną. Nie docierają do niej żadne argumenty, również ten, że wszystkie opłaty uiszcza jej ojciec. Ona nadal nie pracuje, całymi dniami siedzi w domu...

– I obmyśla, jak jeszcze może nam dowalić, a wolnego czasu ma naprawdę pod dostatkiem – kończę za niego.

– Teść obiecał, że coś podziała. Może jakaś terapia, te klimaty.

– Ona nie pójdzie na terapię! – parskam.

– To co proponujesz?! Mamy ją siłą zamknąć w wariatkowie?!

– A wiesz, że to wcale nie taki zły pomysł. – Uśmiecham się złośliwie, a Wojciech puszcza do mnie oczko.

– Kobiety... Zawsze ze sobą walczyacie, jakby nie dało się odpuścić.

– To przez was, kochany. Walczymy o najlepsze kąski, a godnych uwagi samców nie ma znowu tak wielu – mówię.

– Z tym muszę się zgodzić. – Mój narzeczony dumnie wypina pierś i wali w nią zaciśniętymi pięściami niczym Tarzan.

– Wariat. – Parskam śmiechem, a on pochyła się nade mną i całuje mnie w usta.

– Nie myśl o niej zbyt wiele – prosi. – Mamy solidne zamki w drzwiach, wysoki płot i zamykaną na klucz furtkę...

– Którą dziś najwyraźniej zapomnieliśmy zamknąć, dzięki czemu ona mogła położyć na wycieracze myszy – kończę za niego.

– Zamontuję kamery – proponuje, ale nie chcę o tym słyszeć.

– Nie lubię kamer – mówię.

– Bylibyśmy bezpieczniejsi.

– Nie!

– Jak wolisz.

– Odprowadź mnie na górę. Położę się, ledwo żyję – decyduję, bo chociaż jest dopiero wczesne popołudnie, po prostu muszę się zdrzemnąć.

Kiedy wchodzimy po schodach – ja ciężko dysząc, na opuchniętych nogach, Wojtek z tyłu, asekurując mnie – przypominam sobie mój niedawny sen: koszmar o tym, że Daria wślizgnęła się do naszej sypialni i udusiła mnie poduszką. Nie mówię o tym Wojtkowi, bo po co mam go niepokoić?

W sypialni opuszcza rolety, piętrzy poduszki, żebym mogła położyć się wysoko na plecach, a później ściąga buty i kładzie się obok mnie.

– Zadzwoń do jej ojca, jeszcze raz z nim pogadam, a jeśli to nic nie da, pójdę na policję – obiecuje mi w półmroku naszej sypialni.

Chwilę później zapadam w płytką drzemkę, czując się chwilowo bezpieczna przy leżącym obok mnie Wojtku.

17
IZABELA

Nasze dziewczynki przychodzą na świat bez komplikacji – piękne i zdrowe, a szczęście w oczach Wojtka sprawia, że zapominam o bólu, strachu i udrękach ostatnich tygodni tej trudnej ciąży – teraz jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie, bo po raz kolejny zostałam matką.

Wojciech płacze ze wzruszenia, kiedy pierwszy raz bierze na ręce nasze córeczki – najpierw jedną, później drugą.

Klaudii zawiązałam na nadgarstku błękitną nitkę, Karinie zieloną, ale oboje z Wojtkiem żartujemy, że i tak któregoś dnia pewnie je pomylimy, może nawet wielokrotnie.

Po powrocie do domu wpadam w ciąg źle przespanych nocy, długich dni i opieki nad dziewczynkami – za oknem salonu, w którym najczęściej spędzam dni, widzę najpierw złocące się jesienne liście, później nagie gałęzie, z których strząsnął je porywisty, lodowaty wiatr, w końcu szron i pierwszy śnieg. Nasze pierwsze Boże Narodzenie w nowym domu spędzamy we czwórkę – nie zapraszamy nikogo z rodziny, chcemy się nacieszyć sobą i dziewczynkami.

Daria odpuściła.

Nie mam pojęcia, jakich ostatecznie argumentów użył jej ojciec, ale dała nam spokój, co sprawia, że powoli wracam do równowagi emocjonalnej.

Wiosną, w połowie marca, kiedy nasze dziewczynki kończą pół roku, proszę Wojtka o pomoc i zaczynamy w końcu urządzać czekający na Igę pokój. Mimo moich planów nie chciałam tego robić zbyt wcześnie ze względu na tragiczne wieści o Amelii, ale teraz nagle czuję taką potrzebę. Pocieszające jest to, że po kilku miesiącach policji udało się złapać mordercę dziewczynki, który właśnie czeka na proces – popa-

praniec wpadł w Szwecji i od jakiegoś czasu przebywa w polskim areszcie, dokąd go przewieziono.

Dwa tygodnie później wszystko jest gotowe i wygląda przepięknie – ścianę za szerokim łóżkiem zdobi tapeta z flamingami, lustro w rzeźbionej ramie wygląda zjawiskowo, a biurczko z fikuśnie wygiętymi nóżkami dosłownie się prosi, żeby za nim zasiąść. Kupiłam też trzy komplety pościeli, oczywiście we wzór z flamingami, olbrzymiego pluszowego miśka, wygodny fotel i przestronną szafę, w której umieściłam trzy komplety wieszaków. Do tego mnóstwo drobiazgów, takich jak ozdobne poduchy, narzuta na łóżko, donice z kwiatami na parapecie.

– Jest idealnie – mówię ucieszona, przyglądając się, jak Wojtek zawiesza w oknie bladoróżowe zasłony z migającego drobinkami złota ciężkiego materiału.

– Fakt, wyszło nieźle – przyznaje.

Później wychodzimy z czekającego na Igę pokoju i cicho zamykamy za sobą drzwi, a ja wiem, że będę tam wchodzić tylko po to, żeby pościierać kurze i od czasu do czasu przewietrzyć, częściej nie dam rady – widok tych wszystkich czekających na moją zaginioną córeczkę rzeczy jest dla mnie zbyt bolesny – umeblowany pokój okazał się jeszcze trudniejszy do oswojenia niż ten do niedawna całkiem pusty.

*

Kolejne miesiące nie przynoszą wielu zmian, ale to nic – taka pełna rodzinnego ciepła rutyna w zupełności mi wystarcza. Wpadam w całodobowy rytm opieki nad dziećmi i jest mi z tym błogo, czuję się spełniona.

Wojciech sporo w tym czasie pracuje, ja zajmuję się dziewczynkami i nawet nie tęsknię za pracą, każdy dzień z bliźniaczkami, obserwowanie ich, zabawa i tulenie dają mi tyle szczęścia, że mogłabym fruwać.

Cieszy mnie to, że mój facet jest naprawdę wspaniałym tatą. Często, żeby mnie wyręczyć, wstaje do naszych malutkich w nocy, nosi je, tań-

czy z nimi w ramionach i z dumą zabiera na długie spacery, żebym mogła się zdrzemnąć, czy przez moment zająć sobą. Nasza nowa rodzina jest idealna, a ja znowu czuję się spełniona, jak kiedyś, lata temu, kiedy byłam jeszcze szczęśliwa z Robertem, zanim przepadła nasza Iga.

Pierwsze urodziny dziewczynek świętujemy w górach – od dnia, w którym się urodziły, nie wyjeżdżaliśmy na dłużej i jestem w euforii dzięki zmianie otoczenia i świadomości, że mamy dla siebie ponad tydzień.

Po powrocie do domu znowu wpadam w wir obowiązków, a deszczowa końcówka września za oknem gładko przechodzi w złoty październik i przygnębiająco mglisty, ponury listopad. Listopad, który, jak się okazuje dopiero pod koniec miesiąca, a konkretnie dwudziestego trzeciego, przynosi nam spore zmiany.

Za oknem mży. Wojtek pisze, że lada moment będzie w domu, musi jeszcze tylko podjechać do myjni, a ja w odpowiedzi wysyłam mu emotka – buziaka.

Siedzimy z dziewczynkami w salonie – księżniczki w kojcu, ja z telefonem w ręku, słuchając sączącego się z głośników wieży cichego jazzu.

Wtedy ktoś dzwoni do drzwi.

Niespodziewany dźwięk sprawia, że dopada mnie niepokój. Daria co prawda jakiś czas temu odpuściła, ale do dziś nie lubię niezapowiedzianych gości. Wstaję, rzucam okiem na dziewczynki i idę do korytarza. Później otwieram frontowe drzwi i widzę stojącego przy furtce Roberta.

Widok byłego męża sprawia, że serce zaczyna mi bić szybko, a przed oczyma na chwilę ciemnieje...

Iga. Musi chodzić o nią, bo o cóż by innego?, myślę, biegnąc w jego stronę przez ogród.

Jest zimno, zaledwie kilka stopni na plusie, ale wypadłam z domu tak, jak stałam.

– Znaleźli ją – mówi Robert łamiącym się głosem, a chwilę później zaczyna płakać.

Widząc go w takim stanie, wypuszczam z płuc powietrze, ulatuje ze mnie resztką nadziei. Nasza córka nie żyje, właśnie nadszedł ten dzień, mówię sobie, a wtedy Robert bierze mnie w ramiona i szlochając, krzyczy, że Igusia do nas wróciła.

– Co?! – udaje mi się wykrztusić, a on narzuca mi na ramiona swoją kurtkę i pyta, czy możemy wejść do środka.

– Gdzie ona jest? – Rozglądam się, z naiwną nadzieją, że córka, jak gdyby nigdy nic, siedzi na tylnym siedzeniu samochodu, którym przyjechał, a on blado się uśmiecha.

– W szpitalu – mówi, kiedy wchodzimy do domu, a ja zamykam za nami frontowe drzwi i odwieszam jego kurtkę.

W salonie Robert dodaje, że policja zadzwoniła do niego w środku nocy, informując go, że w lasach pod Zieloną Górą znaleziono nastoletnią dziewczynę, która twierdzi, że jest naszą córką.

– Pojechałem tam i zastałem ją...

– Czyli jest pod Zieloną Górą? Gdzie jest moja córka?! – krzyczę, zachynając nerwowo krążyć po pokoju.

– Już w Olsztynku, tu, w szpitalu. Przewieźli ją tu na moją prośbę, żebyś miała do niej blisko.

– Jest chora? – pytam, a on pochmurnieje i opada na sofę, jakby nagle zdał sobie sprawę, że dłużej nie udźwignie ciężaru emocji, stojąc.

– Nie jest już tą samą dziewczynką, którą straciliśmy – mówi po dłuższej chwili, po czym zerka w stronę kojca. – Są śliczne, gratuluję wam – uśmiecha się lekko, przyglądając się bliźniaczkom, ale jego twarz jest ściągnięta i widać na niej ból.

– To chyba oczywiste – mówię, nawiązując do tego, co powiedział na temat Igi.

– Nie jest ranna, ale odwodniona, ma też na ciele ślady po starych urazach, w tym blizny od gaszenia papierosów w kilku miejscach na skórze, głównie na rękach.

– Co? – pytam szeptem, nie potrafiąc poukładać sobie tego wszystkiego w głowie.

– Na pewno była gdzieś przetrzymywana, nie wiedzą jednak, gdzie. Policja podejrzewa, że w środku nocy ktoś wyrzucił ją z auta na odludnym, zalesionym terenie, chcąc się jej pozbyć, ale nie zabić. Była w piżamie, na którą miała założoną grubą męską kurtkę. Na nogach męskie buty, na głowie czapkę z pomponem, zrobioną na drutach. Jest też taka opcja, że sama uciekła.

– I nie powiedziała, gdzie była? Kto jej to zrobił? Jak...

– Ona nie mówi, Iza – wchodzi mi w słowo były mąż. – Odkąd ją znaleziono, nie odezwała się ani słowem, do nikogo. Napisała tylko na kartce nasze imiona i swoje nazwisko, to wszystko.

– Boże. – Zakrywam dłonią usta, a z mojego gardła wydobywa się szloch.

Kiedy przyjeżdża Wojtek, zostawiam go z dziewczynkami i jadę z Robertem do szpitala. Wychodzę z domu w starych dresowych spodniach i poplamionym jogurtem podkoszulku, na który narzucam jedynie puchową kurtkę. Na nogach mam pantofle – dopiero w samochodzie zdaję sobie sprawę z tego, że przed wyjściem nie założyłam butów, a Robert tego nie zauważył.

*

Iga leży w sali chorych numer trzy i wygląda przeraźliwie krucho na szpitalnym łóżku. Jest szczupła, wręcz wychudzona, a jej blond włosy, które pamiętam z jej dzieciństwa, szpeci nałożona niedawno, sądząc po braku odrostu, kruczoczarna farba. Jej rysy są ostre, postarzają ją – wygląda na więcej niż swoje siedemnaście i pół roku. Sprawia wrażenie zniszczonej życiem dorosłej kobiety.

– Iguś – szepczę, stając przy jej łóżku, ale ona nawet na mnie nie patrzy.

Po prostu tam leży, obojętna na otoczenie, jakby ktoś odciął jej emocje.

– Dostała niedawno sporą dawkę środków uspokajających – odzywa się za naszymi plecami pielęgniarka.

– Możemy porozmawiać z jej lekarzem prowadzącym? – pytam.

– Tak, pani doktor zaraz do państwa zajrzy – obiecuje kobieta, zanim zostawia nas samych.

Robert płacze, kompletnie się rozsypał. Na palcu prawej dłoni ma wąską złotą obrączkę, musiał się więc ożenić z kobietą, z którą się związał po naszym rozstaniu, co w sumie mnie cieszy. Nie chciałabym, żeby był sam.

– Wszystko będzie dobrze – mówię cicho, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Lekarka zjawia się chwilę później – jest wysoka, szczupła, obcięta na pazia i bardzo atrakcyjna. Duże ciemne oczy, pełne usta, wysokie kości policzkowe – gdyby nie wybrała medycyny, równie dobrze mogłaby zrobić karierę na światowych wybiegach.

– Doktor Marcinkowska – przedstawia się raczej oficjalnym tonem. – Państwo są rodzicami?

– Tak – potwierdzamy oboje, niemal w tym samym momencie.

– Dobrze. Powiem tak: stan ogólny Igi jest w miarę znośny. Ma silną anemię, ale to obecnie żaden większy problem medyczny, jeśli zabierzemy się za leczenie. Poza tym ślady po dawnym złamaniu lewej ręki, ukruszony ząb, górna dwójka, kilka siniaków i zadrapań, kilkucentymetrowa blizna nad kolanem, nic, co mogłoby obecnie zagrażać jej zdrowiu czy życiu. Aha, no i ślady po przypalaniu papierosami. Przykro mi. Natomiast jeśli chodzi o jej psychikę, nie potrafię określić jej stanu, zresztą nie mam takich kompetencji. Nie mówi i nie wiemy, czy to chwilowe, czy może taki stan rzeczy utrzymuje się od dawna. Szpital przydzieli państwu opiekę psychologiczną, ale...

– Chcemy ją zabrać do domu – Robert wchodzi w słowo lekarce. – Nie zostawię córki w rękach obcych ludzi po tym wszystkim, przez co niewątpliwie przeszła.

– To jak najbardziej zrozumiałe, sugerowałabym jednak pozostawienie jej tu, na obserwacji, przynajmniej przez dwa, trzy dni.

– Chcę zabrać córkę do domu! – podnosi głos Robert, a ja kładę rękę na jego ramieniu.

– Uspokój się. Zabierzemy ją, kiedy pani doktor uzna, że to dla niej bezpieczne – mówię, a lekarka potakująco kiwa głową oraz dodaje, że jeszcze za jakiś czas do nas zajrzy. Potem w pośpiechu wychodzi z sali chorych.

Chwilę później dociera do mnie, że mając dwie czternastomiesięczne córeczki, będę musiała się również zająć Igą.

Kiedy latami wyobrażałam sobie nasze spotkanie po jej odnalezieniu, oczyma wyobraźni widziałam rzucającą się nam w ramiona córkę, która stęskniona, z płaczem, pyta, czy jedziemy do domu. Ale to dziecko ze szpitalnego łóżka, ta poharatana emocjonalnie i fizycznie wychudzona nastolatka w niczym nie przypomina Igi, którą straciliśmy. Ba, ona nawet nie do końca wygląda jak nasza córka i nagle zaczynam mieć wątpliwości.

– Robert... – Odciągam byłego męża na bok. – A jeśli to nie ona? – szepczę, z dala od szpitalnego łóżka, chociaż nie sędzę, żeby do leżącej na nim dziewczyny docierał mój głos.

– Co ty wygadujesz?

– Ona nawet nie przypomina Igi – upieram się.

– Minęły lata, wyrosła. Zafarbowała włosy, wychudła, ale przecież...

– A jeśli to nie ona?! – krzyczę, co przyciąga uwagę stojącej w korytarzu lekarki, która stoi z telefonem w ręku przy wejściu do pokoju lekarskiego.

– Gdyby chciała pani porozmawiać z psychologiem... – odzywa się.

– Nie chcę rozmawiać z psychologiem! Chcę odzyskać moją córkę! – wybucham, a doktor Marcinkowska robi pełną współczucia minę i znika w pokoju lekarskim.

– Usiądź, jesteś w szoku. – Robert sadza mnie na jednym z krzeseł w korytarzu i obejmuje ramieniem. – Jeśli sobie nie poradzisz, mogę ją wziąć do siebie, ale...

– Poradzę sobie – przerywam mu, bo nagle robi mi się wstyd.

Moje dziecko się odnalazło, a ja wpadam w histerię i robię z siebie wariatkę?

– Poradzę sobie. Trzymamy dla niej pokój, wszystko się jakoś poukłada – zapewniam Roberta, kiedy już się trochę uspokajam.

– Jesteś pewna? Oczywiście, gdybyś potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, jestem do twojej dyspozycji.

– Dziękuję – mówię, mając wielką nadzieję, że faktycznie były mąż nie zostawi mnie z tym wszystkim samej.

*

Kilka dni później, wciąż milcząca, obca i zamknięta w sobie Iga przekracza próg naszego domu, w którym Wojtek wita ją „bukietem” kolorowych balonów i szerokim uśmiechem.

W środku Iga staje w korytarzu i niepewnie spogląda w stronę schodów – wygląda tak, jakby nie miała pojęcia, gdzie jest, co tu w ogóle robi, kim jesteśmy my i co będzie dalej.

– Córciu, poznajesz mnie? – pytam łamiącym się ze wzruszenia głosem. – To ja, mama. Czekaliśmy na ciebie przez tyle lat...

Wtedy na mnie spogląda. Spojrzenie ma całkiem przytomne, jakby świetnie wiedziała, kim jestem, ale nadal milczy.

Wieczór spędza u siebie, zamknięta w pokoju. Nie chce z nami jeść, nie chce zejść na dół, nawet na chwilę, i nie przejawia żadnego zainteresowania czternastomiesięcznymi siostrzyczkami, które chciałam jej przedstawić.

Na Wojtka nawet nie patrzy, ignoruje go, jakby był przezroczysty.

– Nie poradzę sobie – szepczę mu na ucho nocą, a on mocno mnie przytula.

– Jakoś będziemy musieli sobie poradzić – mówi, a potem mnie całuje.

Rano wstaję z nadzieją, że Iga doszła do siebie i powoli zacznie się na nas otwierać, ale kiedy idę do jej pokoju, nie odzywa się do mnie

nawet słowem. Po prostu leży na boku, gapiąc się w ścianę, a ja dosłownie czuję bijącą od niej obojętność, może nawet wrogość.

– Iga, odezwij się do mnie, córciu – błagam ją, kucając po drugiej stronie łóżka, z twarzą na wysokości jej twarzy.

I wtedy staje się cud.

– Mama, poznaję – szepcze moja córka, po czym wyciąga rękę, żeby dotknąć mojego policzka, ale zaraz ją cofa.

Wybucham płaczem i tulę ją w ramionach.

Nie odwzajemnia uścisku, wręcz przeciwnie – dosłownie tężeje w moich objęciach, ale czuję, że od teraz wszystko będzie już dobrze, a my, pod opieką dobrego psychologa, jakoś oswoimy tę trudną dla nas wszystkich nową codzienność.

– Jesteś w domu, malutka. I już wszystko będzie dobrze – szepczę jej na ucho, wciąż trzymając ją w ramionach.

Wtedy ona nagle mnie odpycha, siada na łóżku i dosłownie zaczyna wyć – dźwięk jest tak przerażający, że krzyczę, a Wojtek wpada do jej pokoju, blady i zszokowany.

Wyje przez kilka minut, w końcu milknie i wyrzuca z siebie jedno krótkie, wypowiedziane ze złością zdanie: „Idźcie sobie stąd”.

– Chodź, zostawmy ją samą. – Wojtek wyprowadza mnie na zewnątrz, roztrzęsioną.

– To nie jest moja Iga! – Płaczę, kiedy stoimy w korytarzu.

Zaprzeczam, chociaż przecież w głębi duszy wiem, że to moja córka. Problem w tym, że przeżycia odcisnęły na niej niewyobrażalne piętno, zmieniły ją. Jest moją córką i jednocześnie nią nie jest, a ja będę musiała jakoś sobie z tym poradzić.

– Dajmy jej trochę czasu, niech przywyknie, oswoi nowe miejsce, zapozna się z nami. A jeśli się nie uda, są inne opcje – mówi Wojtek cicho, ledwie słyszalnym szeptem.

– Inne opcje? Jakie? Zakład zamknięty?

– W ostateczności. Ale nie myśl o tym teraz – radzi mi, gładząc mnie po włosach.

Rozglądam się po domu. Widzę zdjęcia dziewczynek zawieszane w ozdobnych ramkach nad schodami, tapetę w kwiaty, którą z taką pieczołowitością wybieraliśmy, drewniany stolik ze stojącym na jego blacie kryształowym wazonem i wszystkie te piękne rzeczy, które teraz nie koją wzroku tak, jak kilka dni wcześniej. Dom nie wydaje się już bezpieczny, zachwiana została równowaga. Mam pod dachem całkowicie bezbronni, zdane wyłącznie na naszą opiekę czternastomiesięczne córeczki i straumatyzowaną nastolatkę, której kompletnie nie znam – dziewczynkę, która być może przeszła przez piekło, chociaż nie chce o tym mówić.

Córkę, która jest mi bliska i jednocześnie przerażająco obca.

*

Kolejne dni są piekłem. Wojtek wziął co prawda wolne, żeby mi pomóc w opiece nad Igą, ale jej ciągle wycie, przeplatane z długimi godzinami nieprzerwanego, upartego milczenia, odmawianie posiłków, prysznic i wszystkiego, co upodobniłoby ją do cywilizowanej ludzkiej istoty, wszystko to sprawia, że po niecałym tygodniu jestem wrakiem człowieka. Nocami nie mogę spać, nasłuchuję, zastanawiając się, czy Iga nie czai się gdzieś w ciemnościach, z szaleństwem w oczach i złymi zamiarami. Pochowałam wszystkie noże, ale i tak nieustannie się boję.

Psycholożka sugeruje zespół stresu pourazowego, radzi nam postarać się o dobrą opiekę psychiatryczną, ale Iga nie chce współpracować, na lekarzy jest zamknięta, z policją nadal nie rozmawia, a nas ciągle wyrzuca z pokoju. Do dziewczynek nie chce nawet podejść. W swojej naiwności myślałam, że może te dwie śliczne kruszynki sprawią, że moja starsza córka poczuje się jak w domu, odnajdzie w roli starszej siostry, ale ona nawet nie patrzy na bliźniaczki, a kiedy zaczynają płakać, krzyczy, żeby się zamknęły. Ich płacz sprawia, że wpada w szal, nie umie znieść tych dźwięków, chociaż sama potrafi wydawać znacznie gorsze.

Dwa tygodnie po jej odnalezieniu zgadzamy się na hospitalizację – w pobliskim szpitalu psychiatrycznym dla dzieci zwalnia się akurat łóżko.

Córka szybko jednak stamtąd ucieka, później śpi w jakimś pustostanie, w końcu policja przywozi ją do Roberta. Słowem – jesteśmy bezradni.

Nie wiem, co robić.

Nie radzę sobie, jestem w rozsypce.

– Znajdźcie chociaż nianię, która pomagałaby ci w ciągu dnia, przy dziewczynkach – radzi mi jedna z koleżanek, więc zatrudniam panią Alę, emerytowaną pielęgniarkę z oddziału neonatologii, która od pierwszych chwil cudownie zajmuje się naszymi dziewczynkami, ale przychodzi tylko na trzy godziny dziennie, późnym popołudniem.

Nie zmienia to jednak sytuacji, w jakiej wszyscy się znaleźliśmy – brakuje kilku tygodni do Bożego Narodzenia, a w naszym domu mieszka ktoś, kogo nie potrafimy oswoić.

Któregoś dnia, kiedy biorę prysznic, zastygam na krzyk pani Ali. Wybiegam więc z kabiny, ociekając wodą, narzucam na siebie szlafrok i boso pędzę do kuchni, gdzie niania z malującym się na twarzy szokiem tuli jedną z rozpaczliwie płaczących bliźniaczek.

– Uszczypała ją, kiedy robiłam im soczek z marchwi – mówi pani Ala, a ja z niedowierzaniem spoglądam na stojącą obok lodówki Igę.

– Uszczypnęłaś siostrzyczkę? – pytam, do głębi zszokowana, a moja najstarsza córka obojętnie wzrusza ramionami i złośliwie się uśmiecha.

– Życie jest złe. Niech się przyzwyczaja już od małego – odzywa się wolno, akcentując każde słowo, a ja zdaję sobie sprawę, że to najdłuższe zdanie, jakie z siebie wyrzuciła, odkąd zamieszkała pod naszym dachem.

18
IZABELA

Dwunastego grudnia kupujemy z Wojtkiem choinkę. Drzewko jest wysokie, sięga niemal sufitu, i rozłożyście – chcemy, żeby zachwyciło Igę, obudziło w niej dobre wspomnienia z dawnego życia, pomogło poczuć, że znowu jest w domu.

– Chodź, pomożesz nam ją ubrać – proszę najstarszą córkę, kiedy Wojtkowi udaje się opleść choinkę światłkami i zamieścić na jej czubku gwiazdę.

Iga milczy.

Na jej twarzy maluje się wrogie zacięcie, skubie skórę przy kciuku, włosy opadają jej na twarz. Nienawidzę ich – tych długich, kruczoczarnych, sięgających do połowy jej pleców, zmierzwionych kudłów, które upodabniają ją do postaci z mrocznego horroru.

– Umówiłam nas do znajomej fryzjerki – mówię. – Zrobi ci na głowie coś fajnego. A jeśli wolisz, obetnę cię ja. – Uśmiecham się do niej.

– Nie chcę – odpowiada złym, ostrym tonem, a ja, jak ostatnia idiotka, czuję się niemal zaszczycona tym, że w ogóle się odezwała, co wciąż nieczęsto się zdarza.

– Ubieramy ją? – pytam, wciąż chcąc wkręcić Igę w pomoc przy zdobieniu drzewka, ale ona tylko się krzywi i ostentacyjnie odwraca do mnie plecami.

– Wygląda na to, że musimy się z tym bawić sami – mówi Wojtek, otwierając pierwsze pudełko pełne kolorowych ozdób.

Iga idzie na górę. Podejrzewam, że chce się zaszyć w swoim pokoju. Za każdym razem, kiedy to robi, czuję narastający niepokój, bo absolutnie nie wiem, czego mogę się po niej spodziewać. Podetnie sobie

żyły? Wyskoczy przez okno, żeby od nas uciec? Podpali dom? Ostatnia myśl jest tak przerażająca, że po prostu zaczynam płakać.

– Iza, co się dzieje? – Wojtek obejmuje mnie ramieniem, całuje w czubek głowy, pociesza.

– Nie wiem, nie radzę sobie. Ona jest taka wroga, obca, przerażająca – szepczę, zerkając w stronę ustawionego na środku salonu kojca, w którym radośnie gaworzą nasze bliźniaczki. – Boję się, że coś zrobi sobie. Boję się o dziewczynki, mam koszmarne sny. Ostatnio śniło mi się nawet, że rzuciła Klaudią o ścianę, a później wybiegła z domu z Kariną w ramionach i nie mogłam jej dogonić.

– Normalne lęki świeżo upieczonej mamy – pociesza mnie Wojtek, ale przecież czuję, że to coś znacznie więcej.

Boję się Igi, mojej własnej córki, choć to jej powrotu wypatrywałam latami, marzyłam o nim, śniłam i modliłam się, żeby nastąpił...

Wojtek ubiera choinkę, radośnie pogwizdując. Jest mężczyzną, nie kieruje się intuicją ani przeczuciami. Dla niego wszystko jest czarno-białe, konkretne i jasne, a w tym akurat momencie nic nie wskazuje na jakiegokolwiek zagrożenie. W salonie jest jasno, czysto i spokojnie, z głośników sączy się blues, za oknem sypie śnieg... Sielanka. A jednak ja nie umiem przestać myśleć o kręcącej się gdzieś po piętrze Idze, której kroki nad naszymi głowami przyprawiają mnie o ciarki. Chodzi, skacze, z czegoś zeskakuje, chyba z łóżka. Nie usiedzi nawet chwili, ciągle jest pobudzona, podminowana, niespokojna, jakby nadal żyła w napięciu spowodowanym porwaniem i swoimi wieloletnimi przeżyciami.

Najtrudniejsze jest dla mnie to, że nie chce nam powiedzieć, przez co przeszła, jak udało się jej uwolnić i kto ją przetrzymywał. Nie wiemy, gdzie spędziła ostatnie lata, w jakich warunkach, z czym musiała się zmierzyć i co te przeżycia zrobiły z jej psychiką. Widzimy, że przeszła traumę, to jest dla nas oczywiste, ale nie mamy pojęcia, jaką... Policja nie naciska, ale czujemy, że prędzej, czy później będą chcieli dokopać się do konkretów. Na razie Idze przydzielono współpracującego z komendą wojewódzką psychologa, który spotyka się z nią dwa razy w ty-

godniu i delikatnie usiłuje wybadać, ale ona albo na dobre się w sobie zamknęła, albo jest niesamowicie sprytna, bo, jak dotąd, nie dała mu żadnych konkretów. Po prostu milczy i gapi się w okno albo mówi jakieś banały w stylu: „Lubię, kiedy sypie śnieg”.

Jedno, czego się dowiedzieliśmy, to fakt, że ma całkiem bogate słownictwo, musiała więc mieć dostęp albo do książek, albo do telewizora. Poza tym wszystko inne jest jedną wielką czarną dziurą.

– A może jednak złoto-zielone? – Głos Wojtka wyrывa mnie z zamyślenia. Mój facet wciąż się zastanawia, w jakie kolory ubrać choinkę.

– Wolę srebrno-różowe – upieram się i w końcu on się poddaje.

Szukam w pudełku ulubionego łańcucha, który zabrałam z poprzedniego domu, choć chyba raczej nie kojarzy mi się z Robertem, kiedy z góry dochodzi jakiś łomot, a później jeszcze jeden, jakby ktoś rzucił czymś ciężkim.

– Sprawdź. – Wojtek okłada trzymaną w ręku bombkę i rusza w stronę schodów na piętro.

Zerkam na dziewczynki, które nadal gaworzą w kojcu, i idę za nim.

Na górze przeżywam szok, zresztą Wojtek chyba też – kiedy wchodzimy do pokoju Igi, moja córka zdiera właśnie ze ściany tapetę we flamingi, mamrocząc coś pod nosem. Wcześniej zerwała z okien zasłony, zrzuciła z parapetu storczyki i przewróciła biurko. Lustro jest czymś pomazane, światełka, które okalały jego ramę leżą na podłodze, kilka lampek jest rozbitych, Iga chyba je rozdeptała. Obrazu nędzy i rozpaczony dopełnia pocięta nożyczkami nowa pościel, której strzępy walają się po wykładzinie.

Na nasz widok Iga złośliwie się uśmiecha, ale nie przestaje demolować pokoju – z premedytacją ciągnie za pas naderwanej tapety i wolno odrywa ją od ściany, po czym znacznie gwałtowniej szarpie za kolejny fragment.

Wojtek łapie ją za ramię i pyta, co robi.

Jego głos jest zaskakująco łagodny, zważywszy na okoliczności.

– Za ładnie – odpowiada mu moja córka, zanim zaczyna się wyrывać.

– Za ładnie? – Rozchyłam usta z niedowierzaniem
– Idź do dziewczynek – prosi mnie on, a moja córka rzuca przez zęby:

– Nie lubię ich.

– Nie lubisz siostrzyczek? – pytam, z trudem panując nad głosem.

– Nie miałam ich dawniej – dodaje.

– A teraz masz! Życie się zmienia, nie rozumiesz?! – krzyczę, wytrącona z równowagi, a później zaczynam płakać na widok zdemolowanego pokoju, który z taką czułością kiedyś urządzaliśmy.

Nagle przypominam sobie słowa byłego męża, który argumentując przeciwko staraniu się przez nas o kolejne dziecko, powiedział coś w stylu: „Jak się poczuje Iga, kiedy wróci i zastanie tu jakiegoś bachora?”.

Wyśmiałam go wtedy, uważałam, że to jakaś kolosalna bzdura, ale co, jeśli Robert miał rację?

– Idź do dziewczynek, poradzę sobie – prosi mnie Wojtek, a ja z niekłamana ulgą schodzę na parter i wracam do ubierania choinki, chociaż cała radość, jaką czułam na myśl o zbliżających się świętach, zdążyła już ze mnie bezpowrotnie ulecieć.

Do wieczora w domu jest w miarę spokojnie. Iga rozmawia z psychologiem, za którego prywatnie płacimy – to zupełnie inna osoba niż współpracujący z policją specjalista.

Dziewczynki są grzeczne, Wojtek pomaga mi piec pierniczki – słowem sielanka.

Dopiero koło dwudziestej drugiej rozpętuje się piekło. – Iga wchodzi do salonu, gdzie siedzimy z kieliszkami wina w dłoniach, i zaczyna wrzeszczeć, że nie chce tu być.

– Gdzie jest dom?! Gdzie jest mój dom?! – krzyczy, biegając po pokoju, a później, w złości, przewraca choinkę i zaczyna skakać po kilku strąconych z gałęzi bombkach, dosłownie miażdżąc je pod podeszwami nowych pantofli.

– To jest teraz twój dom – tłumaczy jej Wojtek, a ona go odpycha.

– To nie jest dom! Gdzie tato, gdzie mój pokój, gdzie jest wszystko?! – szlocha.

– Ja jestem, córeczko – mówię łamiącym się głosem, ale ona nawet na mnie nie patrzy.

Opada na podłogę, sięga po jeden ze szklanych odłamków rozbitej starej bombki i jednym przerażająco pewnym ruchem, bez cienia wahania, rozcina sobie nadgarstek.

– Chryste Panie! – krzyczę, w panice szukając czegoś, czym mogłabym zatamować krew, podczas gdy Wojtek już wyjmuję z jej ręki ostry fragment choinkowej ozdoby i unosi mocno krwawiącą dłoń.

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze. Zadzwoń po karetkę – prosi. – Iza, teraz! – podnosi głos, a ja w końcu robię to, co mi każe.

– Albo nie, czekaj. Sam zawiozę ją na SOR – decyduje, zanim sięgam po swoją komórkę i wybieram numer pogotowia. – To chyba nie jest szczególnie głębokie rozcięcie – dodaje, przyglądając się nadgarstkwowi mojej córki.

Kiedy wychodzą, wrzeszczę – z wściekłości, bezsilności, strachu i frustracji.

Później wybieram numer Roberta, a kiedy mój były mąż odbiera, krzyczę, że musi zabrać Igę na święta, bo ja już sobie nie radzę.

– W tym roku? Mówiłaś, że zostanie u was. Chciałaś, żeby się zaaklimatyzowała, przecież rozmawialiśmy. – Robert wydaje się zdziwiony.

– Zmieniłam zdanie.

– Ale my wyjeżdżamy.

– Co? Chyba żartujesz?!

– Nie. Zuzanna koniecznie chciała na Kanary i dwudziestego drugiego lecimy na Teneryfę.

– Świetnie, że mi o tym powiedziałaś! – rzucam przez zęby.

– Nie pytałaś. I mówiłaś, że Boże Narodzenie z całą pewnością Iga spędzi u was, więc...

– Nie radzę sobie z nią – wchodzę mu w słowo.

– W jakim sensie? Posłuchaj, domyślam się, że ci teraz trudno. Małe dzieci i ona, ale ja też nie...

– Jesteś jej ojcem! I gównu mnie obchodzi, że niedawno się ożeniłeś i jesteś na etapie pieprzonego miesiąca miodowego! Wiem, że Zuzanna nie będzie zachwycona tym, że częściowo i na nią spadnie opieka nad Igą, ale mam to gdzieś! Wyszła za ciebie, biorąc cię z całym twoim chaosem! A ty musisz mi z nią pomóc, bo nie jest w dobrym stanie! – krzyczę.

– Przecież zrzucamy się na psychologa – dziwi się Robert, jakby to miało wszystko naprawić, a ja wybucham śmiechem, który brzmi przeraźliwie gorzko.

– I uważasz, że to wystarczy? – parskam.

– To co mogę zrobić, zanim wyjadę? Wiesz, że ciągle remontujemy dom pod Ostródą, ale w tym miesiącu na pewno nie przygotuję dla niej pokoju. Krucho u nas z kasą...

– Krucho z kasą, ale lecisz sobie na Kanary? – wyrzucam mu.

– Właśnie dlatego krucho z kasą – tłumaczy się Robert. – Wykupiliśmy dość drogi pobyt, poza tym chcemy...

– Nieważne. Odezwę się w takim razie po Nowym Roku – wchodzę mu w słowo, rozgoryczona, że wszystko spada na mnie, a on umywa ręce.

Później się rozłączam. Bez pożegnania, bez życzenia mu zdrowych, radosnych świąt.

Jestem wściekła, przemęczona, niewyspana i totalnie rozbita emocjonalnie. Jeśli tak ma teraz wyglądać moje nowe życie, chcę się cofnąć w czasie, bo wychodzi na to, że o wiele szczęśliwsza byłam, marząc o powrocie córki, niż mając ją pod dachem... I nagle przechodzi mi przez głowę coś, co sprawia, że czuję się jak potwór. Zazdroszczę Wojtkowi, że nie musi się użerać z tak zmienioną, niepodobną do siebie Amelią. Zazdroszczę mu, że jego córka nie żyje, a ja odzyskałam tę obcą, wrogą, podłą dziewczuchę, która w niczym nie przypomina mojej słodkiej, ukochanej dziewczynki – myślę i zaczynam szlochać. Nie wiem, czy to przemęczenie, skrajne niewyspanie spowodowane opieką nad słabo sypiającymi po nocach bliźniaczkami, czy może stres, ale

w tym momencie czuję do Igi tylko nienawiść. Nie znam jej, chyba nie chcę jej poznać i nie mam pojęcia, jak sobie z nią poradzę.

Wróciła, ale nas nie chce, a my nie chcemy jej, przynajmniej ja. Nie pasuje do nas, do mojej nowej rodziny, do spokoju, który w końcu zaczęliśmy odzyskiwać, ani do tego pięknego, dopieszczonego domu, który udało się nam z Wojtkiem stworzyć. Nie chcę jej tu, myślę połykając łzy. Co ze mnie za matka, skoro nie chcę mojej własnej córki? Nie wiem, ale teraz nic mnie to nie obchodzi... Pragnę tylko jednego – żeby ona zniknęła...

Wojtek dzwoni ze szpitala, kiedy nalewam sobie kieliszek wina.

– Słuchaj, lekarze chcą ją tu zatrzymać. Połapali się, że chciała sobie podciąć żyły i upierają się na hospitalizację. Usłyszałem w dodatku, że powinienem być wdzięczny, bo rzadko kiedy mają wolne łóżko na psychiatrii dziecięcej, ale nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Tyle ostatnio przeszła, że wolałbym zabrać ją z powrotem do domu. – W głosie Wojciecha słyszę wahanie, ale ja nie widzę przeszkód.

– Niech zostanie – mówię. – Niech ją tam trzymają tak długo, jak się da.

– Chyba żartujesz? Iza, przecież jeszcze niedawno...

– Po prostu ją tam zostaw i wracaj do domu! – krzyczę.

Później przerywam połączenie i znowu wybucham płaczem.

Kiedy Wojtek wraca sam, czuję taką ulgę, że mam ochotę skakać z radości – chyba do końca bałam się, że z jego auta wysiądzie również ona.

– Powiedzieli ci, jak długo tam posiedzi? – pytam go, a on z niedowierzaniem kiwa głową.

– Wiesz, ile bym dał, żeby to moja Amelka wróciła do domu? – mówi cicho, ze łzami w oczach. – A ty zachowujesz się, jakby Iga ci przeszkadzała.

– Gdyby Amelka wróciła taka jak Iga? Obca, wroga, wredna? – syczę.

– To tylko dziecko! Ma siedemnaście lat, przeżyła piekło! Naprawdę odtrącasz ją dlatego, że podarła pieprzoną tapetę we flamingi czy coś

tam ci odburknęła?! – naskakuje na mnie Wojciech.

– Zamknij się, obudzisz dziewczynki!

– Co się z tobą dzieje, Iza? – pyta Wojtek ciszej, łagodniej, a w jego oczach widzę ciepło i troskę.

– Co się ze mną dzieje?! Rozpadam się na milion kawałków! Nie mogę spać, boję się o nasze dzieci... Nie mamy pojęcia, kim ona jest, nie rozumiesz?! Nie wiemy nic! Do czego jest zdolna, co siedzi w jej głowie, co planuje! Uszczypnęła siostrzyczkę, czternastomiesięczną dziewczynkę! Zrobiła to z premedytacją, przecież wiesz! A dwa dni temu, w środku nocy, przyłapałam ją w pokoju bliźniaczek! Sterczała nad łóżeczkiem Klaudii i po prostu się na nią gapiała!

– O tym mi nie wspomniałaś...

– Więc teraz ci mówię! Boję się jej, Wojtek!

– To twoja córka. Musimy jakoś jej pomóc, przywrócić ją do życia, oddać społeczeństwu. Nikt inny tego za nas nie robi. Nie możesz chować głowy w piasek, Iza!

– A chowam?! Nie przygarnęłam jej?! Nie okazałam serca?! Nie zaprosiłam do domu?!

– Nie zaprosiłaś jej. To po prostu jej dom, ma prawo tu być. To twoja córka. A przygarnia się bezpańskiego psa, nie własne dziecko – powtarza Wojciech z naciskiem, zanim zamyka mnie w ramionach. – Porwałaś zupełnie obce dziecko, chcąc je kochać, pamiętasz? A teraz nie chcesz własnego?

– Mieliśmy o tym nie rozmawiać – przypominam mu, wzdrygając się na samo wspomnienie tamtego szaleństwa. – O Mai, nigdy więcej – mówię z policzkiem wtulonym w jego ramię.

– Co nie zmienia faktu, że tak właśnie było.

– To była mała, słodka dziewczynka. Nie zagrażałaby nam ani naszym dzieciom. A Iga zagraża. Obudzisz się dopiero, kiedy zrobi im krzywdę?

– Czemu miałyby robić im krzywdę?! Uroiłaś sobie coś, Iza!

– Uroiłam sobie?! Przecież ci mówię, że ona uszczypnęła siostrzyczkę! Że jest podła, wredna, mściwa i zagubiona! Potrzebuje dwu-

dziestoczęterogodzinnej opieki psychiatrycznej, a nie tego domu! Jesteśmy zupełnie bezbronni w konfrontacji z nią, nie rozumiesz?! I to, jak ciągle łązi nocami po pokojach... Boję się zasnąć, ciągle mam taką wizję, że obudzę się, a ona będzie sterczeć nad naszym łóżkiem z obłędem w oczach i nożem w dłoni! Najchętniej zabarykadowałabym komodą drzwi od naszej sypialni, tak właśnie się czuję!

– Więc ją porzucisz? Zdasz się na to nasze bezduszne, kulawe państwo, załatwisz jej jakiś koszmarny ośrodek, w którym najprawdopodobniej będą ją bić, wiązać i faszerować otumaniającymi lekami? Tego chcesz dla swojej własnej córki? – mówi cicho Wojtek znów ze łzami w oczach. – A wszystkie noże pochowałaś, przypominam.

– Posłuchaj, wiem, że bronisz Igi, bo ciągle myślisz o Amelce. Że dałbyś wszystko, żeby móc ją odzyskać, czy chociaż zobaczyć po raz ostatni, ale to są dwie zupełnie różne dziewczyny i dwie różne sytuacje.

– Wiem tylko, że jesteś jej matką i powinnaś o nią walczyć. A ty wpadasz w histerię i odcinasz się od problemów.

– Bo nie sypiam! Bo mam na głowie jeszcze dwójkę maleńkich dzieci! Bo po prostu przestaję sobie radzić! – krzyczę, a później wyswobadzam się z jego uścisku i samotnie idę na górę.

Jeśli nic się nie zmieni, ona zniszczy nasz związek, myślę w naszej sypialni. Wojtek trzyma jej stronę, ale nie ma bladego pojęcia, z czym muszę się mierzyć dzień po dniu. On długie godziny spędza w pracy, na budowach, podczas gdy ja tkwię tu, w moim wymarzonym domu, chłostana nienawistnymi, wrogimi spojrzeniami Igi, która obwinia mnie o całą swoją krzywdę, chociaż przecież nie zrobiłam jej nic złego.

19
IZABELA

Igę wypisują ze szpitala kilka dni przed świętami. Kiedy Wojtek mówi mi, że zabieramy ją do domu, jestem załamana. Staram się tego jednak nie okazywać, wręcz przeciwnie, z czasem rodzi się w moim sercu jakaś dziwna, niczym nieuzasadniona nadzieja. Kupuję dla Igi prezenty, mnóstwo prezentów – kosmetyki, kilka błyskotek, dwa śliczne zimowe swetry, książki, słodycze. Wojciech kupuje jej rower, mówi, że wiosną na pewno na niego wsiądzie i znowu będzie siedemnastolatką, która po prostu chce pojeździć po okolicy, poznać inne nastoletnie dzieciaki i odzyskać dawne beztrudne życie.

Jego prezent wydaje mi się nietrafiony. Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić Igi z uśmiechem na ustach jeżdżącej na ślicznym rowerze z blado-

różową ramą, ale nie komentuję. Wojtek się stara, co jest dla mnie niezwykle cenne.

Iga wraca ze szpitala wyciszona i znacznie spokojniejsza. Czymkolwiek ją tam faszerowali, działa. Dajcie mi tego więcej, myślę, przyglądając się siedzącej na sofie córce, która w milczeniu obserwuje sypiący za oknem śnieg. Wojtek wie, co moja córka ma zażywać, zajął się jej lekami, ogarnia recepty, apteki, wszystko. Ja nie daję rady, za dużo tego.

Dzień przed wigilią dzieje się coś, co sprawia, że moja nadzieja rośnie, postępuje – Iga, zupełnie znienacka podchodzi do kojca, wyjmuje z niego Karinę i bierze ją na ręce. Widząc to, truchleję. Boję się, że ją upuści, uszczypnie, albo zrobi jej coś złego, ale ona tylko huśta ją w ramionach i coś jej podśpiewuje. Dopiero kiedy mała zaczyna niespodzie-

wanie płakać, starsza córka podchodzi do mnie i dosłownie mi ją wciska.

– Jaka ona głupia! – rzuca przez zęby, kiedy biorę od niej dziewczynkę.

– To malutkie dziecko. Nie jest głupie, po prostu się rozplakało – tłumaczę, a ona wzrusza ramionami i wraca na sofę, żeby gapić się na sypiący coraz gęściej mokry śnieg.

Wieczorem Iga pozwala mi w końcu obciąć sobie włosy – przycinam je więc na pazia, robię jej grzywkę, która łagodzi jej ostre, wychudzone rysy i namawiam na lekkie rozjaśnienie.

– Może kiedyś obie będziemy rude? – pytam, gładząc ją po świeżo umytych, wymodelowanych na szczytce włosach.

– Wszystko jedno – odpowiada.

– Podoba ci się?

– Nie – burczy. – Długie były lepsze.

– Tak wyglądasz ślicznie – zapewniam ją, a ona gwałtownie wstaje z taboretu, który przyniosłam do łazienki, żeby zająć się jej fryzurą.

– Nie jestem śliczna – rzuca. – Jestem zła! – Ostatnie słowo wibruje między nami, dosłownie wisząc nad naszymi głowami.

Zła...

Czemu mówi o sobie w taki sposób?, zastanawiam się. Co musiała robić, żeby przetrwać tam, gdzie ją przetrzymywano? Kto ją miał? Żli ludzie? A może po prostu tacy, którzy ukradli nam dziecko, żeby „przerobić je” na swoje? Tacy, którym się wydawało, że mieli swoje powody, żeby zrobić coś tak potwornego. Tak, jak kiedyś ja, kiedy zabrałam Maję.

– Córeczko, opowiesz mi o nich? O ludziach, którzy cię zabrali? – pytam cicho, a ona nagle, zupełnie niespodziewanie patrzy mi w oczy.

– O nim. To był on. On mnie zabrał – szepcze, ogląda się przez ramię, jakby ze strachu, że mężczyzna, który ją skrzywdził, stanie w progu. Zaczyna się drapać po przedramieniu, na którym połyskują blizny – część z nich wygląda tak, jakby ktoś gasił na jej skórze papierosy.

– Uciekłaś mu? Wypuścił cię? Co zrobił, że...

– Nie chcę mówić – odpowiada mi. – Nie chcę o nim.

– Musisz komuś o tym powiedzieć. Psychologom, policji. Wiesz, że prowadzą śledztwo, prawda? Chcą wiedzieć, co się stało, muszą...

– Nie! – Iga wybiega z łazienki i zostaje sama.

Sprzątając bałagan, jakiego narobiłam przy ścinaniu jej włosów, przygryzam wargę.

Więc to był on. Nie para, która rozpaczliwie pragnęła własnego dziecka, ale on, zapewne jakiś zboczur, który porwał jedenastolatkę, żeby przetrzymywać ją i robić jej straszne rzeczy. Pedofil, dociera do mnie.

Chwilę później zdaję sobie sprawę, że Iga wyszła z łazienki, a dziewczynki są same – śpią w swoich łóżeczkach – i ogarnia mnie niepokój. Wiem, że to irracjonalne, ale ciągle się boję, że moja najstarsza córka robi im coś złego – ten strach wrósł we mnie już tak głęboko, że nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się go wykorzenić...

Kiedy zaglądam do dziecięcego pokoju, obie bliźniaczki śpią. Iga siedzi na podłodze, przy ścianie pod oknem i coś sobie nuci.

Jej widok łapie mnie za serce, sprawia, że mięknę. A może ona nie chce ich skrzywdzić? Może zaczęła się oswajać z ich obecnością?. Ta myśl mnie pokrzepia. Siadam obok niej i opieram się plecami o ścianę.

– Są takie małe – mówi cicho Iga, a później robi coś, co sprawia, że zaczynam płakać ze wzruszenia: łapie mnie za rękę.

Zaraz jednak ją cofa, jakby moja dłoń ją oparzyła, ale sam jej gest... Rozpływam się z emocji, coś chwyta mnie za gardło...

– Tak bardzo za tobą tęskniliśmy, córciu – mówię szeptem. – Ja, tato, cała rodzina. A ty? Tęskniłaś za nami?

– Rzadko – mówi, a jej bolesna szczerość sprawia, że magiczna chwila pryska.

– Robił ci krzywdę? Ten człowiek? Czy on...

– Czasem.

– Gdybyś chciała...

– Nie chcę. – Iga wstaje, wychodzi z pokoju dziewczynek i zbiega na dół.

Słyszę ją na schodach, a później w salonie.

Choinki już na parterze nie ma. Wojtek wyniósł ją z dużego pokoju i postawił w naszej sypialni, bo podejrzewaliśmy, że widok udekorowanego drzewka z jakichś zupełnie niezrozumiałych dla nas powodów wytrąca Igę z równowagi.

Zerkam na wciąż śpiące dziewczynki, na palcach wychodzę z ich pokoju i cicho pokonuję stopnie na dół.

– Pamiętasz, jak bardzo kiedyś lubiłaś gorącą czekoladę z bitą śmietaną? – pytam Igę, którą zastaję w kuchni.

– Nie – burczy.

– A chciałybyś się napić?

– Za dużo mówisz. Wszyscy za dużo mówią – odpowiada ostrym, pełnym pretensji tonem.

Chwilę później wyjmuję z szuflady nożyczki i zanim zdążę zareagować, obcina sobie kosmyk włosów z boku głowy, tnąc go dosłownie przy samej skórze.

– Nie podobają mi się te włosy – mamrocze.

Podbiegam, żeby zabrać jej nożyczki, a ona wyciąga w moją stronę rękę z zaciśniętymi na ich rękojeści palcami i wybucha śmiechem.

– Wiem, wariatka nie może się bawić takimi rzeczami – rzuca przez zęby, zanim w złości ciska je na podłogę, a one z brzękiem upadają na kuchenne płytki.

Podnoszę je, bliska łez. Przez chwilę wydawało mi się, że zaczęłyśmy normalnie ze sobą rozmawiać, ale widzę, że to tylko złudzenie. Nadal nie mam pojęcia, jakie demony zaległy się w głowie mojej cudem odzyskanej córki, nie umiem też ich oswoić...

*

W pierwszy dzień świąt odwiedza nas moja starsza siostra, Mariola. Bałam się tej wizyty, byłam pewna, że widok kogoś z przeszłości wy-

trąci Igę z równowagi, ale nie – wręcz przeciwnie – moja córka nie odstępowała Marioli na krok, a nawet kilkakrotnie się do niej przytula. Ten widok sprawia, że czuję zazdrość. Wobec mnie nie jest tak wylewna, zdaje się nieustannie ze mną walczyć...

– Jak sobie radzisz? – pyta mnie siostra, kiedy Iga, siedząc na dywanie pośrodku salonu, przegląda prezenty, a Wojtek zajmuje się dziewczynkami.

– Fatalnie – przyznaję szczerze, a później streszczam jej sytuację, opowiadając jej o kilku najbardziej problematycznych incydentach, które mnie zaniepokoiły.

Słucha w milczeniu, z malującym się na twarzy współczuciem, a później proponuje coś zupełnie niespodziewanego.

– Słuchaj, a może ja ją wezmę? Na początek na trochę, może na kilka tygodni, a jeśli dobrze się u mnie odnajdzie, zostanie na dłużej, na ile tylko będzie potrzebować.

– Mówisz poważnie? – niespodziewana i chyba mocno spontaniczna propozycja Marioli kompletnie mnie zaskakuje.

– No tak, czemu nie? Jestem jej chrzestną matką, pamiętasz? – Uśmiecha się.

– Naprawdę nie masz pojęcia, co chcesz na siebie wziąć – uprzedzam ją. – Ona jest niestabilna emocjonalnie, kompletnie rozchwiana i wrogo nastawiona do otoczenia. Bywa, że...

– Wrogo nastawiona? Nie żartuj. – Mariola bagatelizuje moje ostrzeżenie i dodaje, że odkąd rozstała się z Aleksandrem, w domu ma mnóstwo miejsca i drugie tyle czasu.

Jej praca też sprzyja temu pomysłowi – moja siostra zarządza firmą z kuchennego stołu, gdzie przed laptopem ogarnia najważniejsze sprawy i wysyła dziesiątki maili. Resztę robi księgowa.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – waham się, choć w głębi serca już się do niego zapaliłam.

Wyobrażam sobie spokój, jaki zapanuje w naszym domu po wyprawie Igi, moje błogie wieczory z kieliszkiem wina i książką w rękę, noce przespane znacznie spokojniej, bez ciągłych obaw o dziewczynki.

– Powiem jej, niech sama zdecyduje.

Mariola wstaje z sofy, a później pyta Ige, czy pojedzie z nią do jej domu.

– Jeśli razem zamieszkamy, będziemy robić fajne rzeczy – kusi moją córkę. – Jeść lody, urządzać pizama party, bić się na poduszki – dodaje z uśmiechem, a do mnie dociera, że ona po prostu jest samotna po rozpadzie jej związku z Olkiem, który odszedł do innej kobiety, i chce czymś tę pustkę zapełnić.

Problem w tym, że moja córka nie jest kochanym, stworzonym do głaskania króliczkiem, ale hardą, agresywną i pełną problemów nastolatką, która najprawdopodobniej wróciła z bardzo ponurego miejsca.

Mariola zdaje się jednak nie przyjmować żadnych moich argumentów, uparła się, że zabiera Ige, więc w końcu pomagam jej ją spakować.

– Wiesz, że zawsze możesz wrócić do domu, prawda? – mówię, trochę wbrew sobie, kiedy dwie godziny później się żegnamy.

– To nie jest mój dom – odpowiada mi moja córka, zanim łapie za rękę Mariolę i razem wychodzą na mróz.

– Widziałeś to? – rzucam do Wojtka, zaskoczona nagłą metamorfozą Igi, a on lekko wzrusza ramionami.

– Przecież powinnaś się cieszyć – mówi.

– Jasne, że się cieszę. Po raz pierwszy od tygodni zasnę dziś bez obaw o dziewczynki – uśmiecham się, a on zamyka frontowe drzwi.

Mariola dzwoni pół godziny później. Odbieram telefon z ciężkim sercem, pewna, że Iga urządziła jej jedną ze swoich scen i siostra zdążyła już spanikować, ale okazuje się, że chce tylko zapytać, czy młoda nie zostawiła u nas ulubionej szczotki do włosów.

– Tak, jest w łazience. Podrzucę ci ją jutro – obiecuję, a Mariola wzdycha.

– Obawiam się, że ona chce ją mieć już dziś. Bardzo krzyczy, wpadła w histerię – wyznaje moja siostra i faktycznie w tle słyszę jakieś wrzaski.

– Przyjadę – obiecuję i chociaż jest już późno, a zasypane śniegiem ulice są śliskie, proszę Wojtka, żeby został z bliźniaczkami, wkładam do torebki cholerną szczotkę do włosów i jadę przez miasto, żeby wręczyć ją córce.

Kiedy docieram przed dom Marioli – parterowy, zadbane budynek z pistacjową fasadą, który kilka lat temu siostra kupiła po sympatycznie okazjonalnej cenie, Iga wybiega na śnieg, tak jak stała – w pizamie i bosa.

– Wracaj do domu, bo się zaziębisz – rzucam, kiedy wysiadam z samochodu.

– To nie jest mój dom. – Córka wskazuje palcem na budynek, a ja zagryzam wargę, żeby nie krzyczeć z bezsilności.

Więc już? Zaczęło się? Ciekawe, kiedy Mariola ją nam odda? Daję jej trzy dni, myślę, wprowadzając córkę do środka.

– Dzięki. – Mariola bierze ode mnie szczotkę i pyta, czy się czegoś napiję.

– Nie, daj spokój. Wracam do siebie – mówię. – Gdzie ją ulokowałaś? – pytam jeszcze tylko, zanim wychodzę.

– Na razie w gościnnym, ale mogę przerobić dawny gabinet Olka na jej własny pokój.

– Niezły pomysł. Tylko liczyć się z tym, że pozdziera ci ze ścian tapety.

– Uśmiecham się krzywo.

– Są w życiu gorsze tragedie niż kawałek zerwanej tapety. – Mariola wzrusza ramionami.

– Skoro tak mówisz. – Macham jej na pożegnanie, krzyczę: „Pa, Iga!” i z ulgą wychodzę wreszcie na zewnątrz.

Jadąc w stronę domu, zdaję sobie sprawę, że dawno nie byłam taka szczęśliwa. Mariola zdjęła z moich barków olbrzymi ciężar, uwalniając od odpowiedzialności za córkę, którą tak ciężko było mi się zająć.

Mijam miejski park i zostawiam auto przy wejściu do niego, wysiadam i wbiegam na zasypany śniegiem trawnik, po którym przez dłuższą chwilę skaczę, jak rozbrykane, cieszące się białym puchem dziecko. Dopiero na widok idącego jedną z alejek starszego faceta

z psem wracam do samochodu i parskam śmiechem, gdy przekręcę kluczyk w stacyjce.

Jestem wolna, myślę. Opadło ze mnie napięcie ostatnich lat spowodowane nieznanym losem Igi, a jednocześnie uwolniłam się od piekła, jakim stało się moje życie po jej odzyskaniu. Wolność jest piękna, pachnie dymem z kominów, szczypie w policzki mroźnym powietrzem i osadza się śnieżnymi gwiazdkami na powiekach i rzęsach. Dziś w nocy nie będę już śnić koszmarów, a nawet jeśli, po przebudzeniu poczuję spokój. Odzyskałam siebie, moje życie i mój dom, mówię sobie, przekręcając kluczyk w stacyjce, a świadomość tego jest tak słodka, że płaczę ze szczęścia.

Dzień później Mariola dzwoni do mnie aż siedmiokrotnie i za każdym razem ma jakiś problem z Igą, ale póki co nie pada z jej ust żadna propozycja oddania jej nam, co przyjmuję z ulgą. Natomiast Iga nie chce ze mną rozmawiać, chociaż kilka razy proszę ją do telefonu. W tle słyszę tylko, jak mówi: „nie” i coś łapie mnie za gardło. Odrzuciła mnie, podobnie jak ja odrzuciłam ją. Ta myśl sprawia mi ulgę, a jednocześnie ciągle boli. Patrzę na siedzące w kojcu dziewczynki i myślę nad tym, jak się nam kiedyś poukłada. Człowiek daje im tyle ciepła, miłości, czasu i całego siebie, ale nigdy nie ma pewności, co otrzyma w zamian – rodzicielstwo jest jedną wielką niewiadomą, co z jednej strony fascynuje, a z drugiej przeraża i bardzo frustruje.

**CZEŚĆ TRZECIA – DZIEWCZYNA, KTÓRA WRÓCIŁA Z PIE-
KŁA**

20 IGA

Pamiętam białe auto z lekko ubłoconymi drzwiami, volvo kombi, jedno z tych starych, niezawodnych, które czasem jeszcze widuje się na drogach. Mężczyzna, który z niego wysiadł, miał jasne, piaskowe włosy, szare oczy i widoczną, choć już nieco wyblakłą szramę na starannie ogolonej brodzie. Mimo blizny sprawiał wrażenie miłego, wzbudził moje zaufanie. Był ubrany w blezer i eleganckie spodnie. Powiedział, że jest lekarzem, a moja mama miała wypadek. „Musimy jechać, szybko!”, złapał mnie za rękę i zanim się zorientowałam, siedziałam na tylnym siedzeniu jego samochodu.

To się stało tak nagle, że kiedy teraz o tym myślę, dociera do mnie, że moje ciało dosłownie nie zdążyło zareagować. Nie użył siły, wręcz przeciwnie – wsadził mnie do samochodu z troską, z jaką mógłby to zrobić ojciec czy dziadek. Czemu nie krzyczałam? Bo byłam grzeczną dziewczynką. Bo nie wyskoczył zza krzaków jakiś agresywny, cuchnący przetrawionym alkoholem menel, ale pan, który powiedział, że jest lekarzem. Lubiłam mojego pediatrę, ufałam mu, kojarzył mi się z miłymi wizytami w przychodni i lizakami, które od niego dostawałam. Lekarzom się ufało, to wiedziały nawet dzieciaki. Dlatego wsiałam.

Kiedy ruszył, przyszło mi do głowy, że to jednak nieco dziwne, bo przecież kilka minut wcześniej mama machała mi na pożegnanie, kiedy powiedziałam jej, że wychodzę do koleżanki.

Ale być może w kilka minut wiele może się zmienić?, tłumaczyłam sobie, starając się zagłuszyć niepokój.

– Co się stało mamusi? – zapytałam w końcu, a on powiedział, że się oparzyła.

Zacząłam płakać.

Zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Że to nic, on jej pomoże, ale musimy szybko jechać razem do szpitala. Mając jedenaście lat, byłam niegłupia, jednocześnie pozostawałam jednak tylko dzieckiem. Dzieckiem, które zmanipulowano.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że obserwował mnie od dawna po tym, jak zupełnie przypadkiem któregoś wiosennego dnia zauważył mnie z mamą w supermarkecie.

Nie byłam jakoś szczególnie podobna do córki, którą stracił, ale i tak postanowił, że to będę ja. Podobno miał przeczucie.

Jechaliśmy wtedy długo, wydawało mi się, że w nieskończoność. Za miastem krajobraz za oknami samochodu diametralnie się zmienił – zabudowania zostały za nami, teraz otaczały nas pola. Później był jego dom – stary i parterowy, brzydki, na odludziu pod lasem.

Był też kudłaty pies, który okazał mi mnóstwo entuzjazmu, kiedy wysiadłam z samochodu, i wreszcie mój nowy pokój – pełen pluszowych zabawek, książeczek i kredek, z wąskim łóżkiem, które nie przypominało mojego dawnego i było dużo mniej wygodne.

– Gdzie moja mama? – zapytałam go, pewna, że w jakiś sposób do niej dotrę.

Przecież miałam się z nią spotkać, tak obiecał!

Wtedy on powiedział, że ma na imię Arkadiusz, ale powinnam mówić do niego „tato”.

– Moją córeczkę zabrał Bóg, ale ty zamieszkasz tu, na jej miejsce – usłyszałam.

Wtedy jeszcze nie płakałam, ciągle wydawało mi się, że to tylko jakiś żart, zły sen, który lada moment się skończy.

Ale on nie żartował.

Na kolację podał waniliowy budyń i czekoladowe ciasteczka. Do tego szklanka ciepłego mleka i mandarynka, którą dla mnie obrał i podzielił na części. Pamiętam to tak dobrze, jakby minęła jedynie chwila, a nie kilka lat. Zjadłam wszystko, z apetytem, bo byłam bardzo

głodna, a on powiedział, że jestem grzeczną dziewczynką i jest ze mnie dumny.

– Leczysz chore dzieci w szpitalu? – zapytałam go, kiedy z podwiniętymi rękawami koszuli zmywał brudne talerze, a on się lekko uśmiechnął i do mnie odwrócił.

– Tak naprawdę wcale nie jestem lekarzem – powiedział.

Wtedy dotarło do mnie, że nic już z tego nie rozumiem... Że nie ma mamy, taty, dziadków, nikogo nie ma, że dałam się wywieźć z daleka od domu, porwać, otumanić.

Płakałam, siedząc przy stole, a on wytarł dłonie w kraciatą, czerwono-białą kuchenną ścierekę i pogłaskał mnie po głowie.

– Teraz się boisz, ale niedługo poczujesz się tu jak w domu – powiedział.

Miał ładny głos, kojący. Zrobił coś złego, ale nie sprawiał wrażenia podłego człowieka.

Wtedy jeszcze nie...

Później był wspólny wieczorny pacierz. Mężczyzna, który kazał nazywać się tatą, klęczał przy mnie, obok mojego nowego łóżka, i prosił o ochronę. „Bóg czasem zabiera dzieci, dlatego trzeba codziennie prosić, żeby cię pilnował”, wytłumaczył mi, zanim wstał, pocałował mnie w czoło i zgasił światło w moim nowym pokoju.

Ciemność mnie przerażała. Mama zawsze zostawiała uchylone drzwi na korytarz, żeby wpadała przez nie chociaż odrobina światła, ale on je za sobą zamknął i zostałam sama. Ciemność na wsi była głębsza niż ta w mieście, nierozjaśniona neonami, billboardami i ulicznymi lampami – leżąc na tym wąskim, obcym łóżku miałam wrażenie, że wssała mnie nieprzenikniona aksamitna czerń, z której nigdy nie znajdę drogi wyjścia.

W nocy chciałam otworzyć okno i uciec, żeby móc wrócić do mamy, ale rama okazała się zabita gwoździami. Drzwi również nie udało mi się otworzyć i chyba właśnie wtedy ostatecznie do mnie dotarło, że zostałam porwana.

Kolejne dwa lata zwały mi się w niekończący się ciąg tkwienia w pokoju, szybkich, wieczornych spacerów po lesie, zabaw z psem i jego wizyt. Arkadiusz odwiedzał mnie kilka razy w ciągu dnia, czesał moje włosy, śpiewał mi, często wspólnie się modliliśmy. Na niewielkim biurku w moim pokoju stało zdjęcie ładnej jasnowłosej kobiety i szczupłej dziewczynki w komunijnej sukience.

Kiedy zapytałam, kto to, powiedział, że jego żona i córka, które zabrał Bóg.

– Ale teraz mam ciebie. – Uśmiechnął się.

Czasem płakałam. Krzyczałam, kopałam, wołałam mamę i tatę, błagałam go, żeby mnie wypuścił, ale powiedział, że nie może.

– Bóg dał mi cię w zamian, nie możesz nic z tym zrobić, taka jest jego wola – usłyszałam.

Kiedy skończyłam czternaście lat, Arkadiusz zdecydował, że jednak woli mieć we mnie żonę niż córkę i po raz pierwszy zaczął się do mnie dobierać. Nie wiedziałam nawet, czy to, co robił, było złe – mentalnie utknęłam na etapie rozwoju jedenastolatki, a on nie robił wiele, żeby wyjaśnić mi świat. Nie broniłam się, pozwoliłam mu na wszystko. Myślałam, że tak trzeba, że nie mam wyjścia, a on nie wyprowadzał mnie z błędu.

Na piętnaste urodziny kupił mi niewielki telewizor i to głównie z niego uczyłam się życia, poznawałam nowe emocje, chłonełam seriale, dokumenty i programy przyrodnicze, uwielbiając zwłaszcza południowoamerykańskie telenowele – tasiemce – o wielkich namiętnościach, zdradach, oszustwach i intrygach. I to właśnie z nich dowiedziałam się z czasem, że to, co ze mną robił, było złe, że to pedofilia. Słowo „pedofil” wykrzyczałam mu kiedyś w twarz, a on wtedy zabrał z mojego pokoju telewizor i już nigdy mi go nie oddał.

Później był dla mnie coraz bardziej surowy, podły, złośliwy... Im byłam starsza, tym mniej okazywał mi serca, a więcej pogardy. Nocami brał mnie w ciszy i nieprzeniknionej ciemności mojego infantylnego pokoju jego córki, a teraz żony. W ciągu dnia szczypał, kopał, poszturchiwał i wymyślał mi od idiotek. Nie kupował mi już słodczy, nie na-

zywał córeczką. Mówił, że jestem głupią krową, która trafiła mu się w zamian za ukochaną, idealną żonę. Któregoś dnia zrozumiałam, że on mnie nienawidzi, gardzi mną, ale jednocześnie nie potrafi się mnie pozbyć – byłam jego kulą u nogi i uzależnieniem, wyrzutem sumienia i słodką nagrodą, którą sam sobie przydzielił po tym, jak kilka lat wcześniej jego żona, wioząc na tylnym siedzeniu dziesięcioletnią córkę, wpadła w poślizg i wjechała w filar wiaduktu, w wyniku czego obie zginęły na miejscu.

Na szesnaste urodziny poprosiłam o kruczoczną farbę, którą nałożyłam sobie na włosy. Chciałam wyglądać jak Carmen Lucia, jedna z bohaterek mojej ulubionej wenezuelskiej telenoweli, a on nie miał nic przeciwko. Myślę, że już wtedy zupełnie mu na mnie nie zależało – traktował mnie jak prywatną niewolnicę, która nocami robiła za kochankę, a w ciągu dnia za darmową sprzątaczkę.

Któregoś dnia, przy obiedzie, powiedział, że niebawem powinnam urodzić mu dziecko, a ja zrozumiałam, że muszę od niego uciec. Nie chciałam tego. Moje uczucia do niego były zawile, dla kogoś patrzącego na nas z boku zapewne zupełnie niezrozumiałe – nienawidziłam go, bałam się, ale też w pewien sposób kochałam – od kilku lat był całym moim światem, jedyną rodziną, jaką miałam, człowiekiem, który jako jeden ze wszystkich ludzi na ziemi dotykał mnie, mówił do mnie, karmił i objaśniał świat. Ale kiedy zdechł jego pies, istota, którą kochałam całym sercem, postanowiłam uciec. On chyba myślał, że przywykłam, że to już mój dom, bo stracił czujność i bywało, że nawet nie zamykał mnie na noc.

Kiedy później o tym myślałam, wydawało mi się to niewiarygodne – nie musiałam się nawet szarpać na przykrótkim łańcuchu, bo wcale go nie miałam, a jednak nie pomyślałam, żeby uciec wcześniej, coś trzymało mnie w miejscu, zakotwiczyłam u boku mojego oprawcy, nie mając pojęcia, że przy odrobinie odwagi mogę wrócić do dawnego świata... Dopiero znacznie później, po powrocie do prawdziwej rodziny dowiedziałam się, że byłam po prostu ofiarą syndromu sztokholm-

skiego. Wcześniej, przed rozmowami z psychologiem, nie umiałam sobie wytłumaczyć, jak to w ogóle możliwe...

W ostatnich miesiącach pobytu u niego panicznie bałam się ciąży. Pamiętałam obejrzany w telewizji dokument o komplikacjach podczas porodu i nie umiałam sobie wyobrazić, że może mnie czekać to samo. A on ciągle mówił o tym, że jeśli urodzę mu córkę, znowu będzie mieć i żonę, i dziecko, wszystko wróci na miejsce, Bóg wynagrodzi mu tamten wypadek i śmierć osób, które kochał. Mówił o tym codziennie, tuląc mnie, wyznając mi miłość, zapewniając, że z nim będę szczęśliwa – nagle znowu zrobił się czuły, miły, opiekuńczy, ale ja chciałam już tylko od niego uciec, zobaczyć świat, opuścić jego dom, okolice, pola, las i to zadupie, które wydawało mi się krańcem wszystkiego, piekielnym zakątkiem, za którym nie było już nic.

Marzyłam o dużych miastach, pełnych żywiołowej muzyki i kolorowych drinków imprezach, które widywałam w serialach, zanim zabrał mi telewizor, koleżankach, ciuchach i podróżach. Chciałam być kimś, kim nigdy nie będę, tkwiąc z nim w tym starym, brzydkim domu z brudnymi ścianami i powgniatanymi, pociemniałymi od upływu czasu płytkami parkietu.

Pewnego razu się upił. Zawsze lubił piwo, czasem wlewał w siebie coś mocniejszego, ale tak, jak wtedy, nie był pijany chyba jeszcze nigdy. Nie znałam pojęcia „urwał mu się film”, ale intuicyjnie podejrzewałam, że po prostu odleciał i szybko się nie ocknie. Nie umiem powiedzieć, co sprawiło, że zrobiłam coś takiego, ale związałam mu nogi paskiem od szlafroka, a ręce grubym sznurem, który kilka dni wcześniej znalazłam w piwnicy. A on nadal siedział na sofie z głową lekko odchyloną do tyłu i spał, przeciągle pochrapując, jakby jego ciało przestało reagować na jakiegokolwiek bodźce.

Wtedy przyniosłam z kuchni jedną z tych cieniutkich toreb z przezroczystego plastiku, w których przywoził kupione w supermarkecie pomidory, założyłam mu ją na głowę i owinęłam taśmą klejącą, jakbym pakowała nieforemną, okrągłą paczkę.

Ocknął się nagle, nie mogąc złapać oddechu.

Szarpał się, ale mocno go związałam, jakbym czuła, że kolejnej szansy nie będzie...

Udało mu się wstać z sofy, ale zaraz później runął jak długi, a skrępowane nogi nie pozwalały mu stawiać kroków.

Kiedy leżał na podłodze przy sofie, wijąc się w narastającej z sekundy na sekundę panice, czubkiem buta trąciłam go w bok, a później odskoczyłam i przyglądałam mu się z odległości dwóch metrów, przeżona i zafascynowana jednocześnie. Wiedziałam, że to, co mu robiłam, było złe, a jednak spektakl rozgrywający się u moich stóp uznałam za coś pociągającego. To, co zakazane, zawsze wydawało mi się szczególnie kuszące i miało niezapomniany smak.

Patrzyłam, jak się dusi, przez dłuższą chwilę nie umiałam oderwać od niego wzroku. W końcu, zaczynając od firanek w dużym pokoju, podpaliłam ten pełen kurzu i rupieci stary dom, a potem w jego kurtce, butach i wełnianej czapce, którą znalazłam w komodzie przy frontowych drzwiach, wybiegłam czym prędzej na zewnątrz. Pamiętam mroźne powietrze, które natychmiast wdarło mi się do płuc, dolałujący zza moich pleców swąd dymu i otaczającą mnie ciszę, która sprawiała wrażenie nienaturalnej. Nie miałam bladego pojęcia, co to za miejsce, bo on nigdy nie powiedział mi, gdzie tak naprawdę mieszka, ale okolica musiała być wyjątkowo odludna.

Później był wielogodzinny, niekończący się marsz przez przyprószone śniegiem pola, lasy i niewielkie wioski. Ukrywałam się przed ludźmi, szukając bocznych dróg i zadrzewionych skrótów, instynktownie czułam, że mój widok nie pozostawiłby ich obojętnymi.

A ja przecież chciałam być niewidoczna.

Dopiero kiedy zupełnie opadłam z sił – odwodniona, głodna, przemarznięta i zdezorientowana – pozwoliłam się odnaleźć – gdzieś daleko od domu, w którym mnie trzymał mój oprawca, w jakimś kompletnie mi nieznanym zakątku kraju, skąd zabrano mnie do rodziny.

Policjanci, lekarze, psychologowie – wszyscy chcieli wiedzieć, co mi się przytrafiło, ale zdecydowałam, że nie powiem im ani słowa. Im dłużej milczałam, tym większą czułam władzę – nikt nie wiedział, skąd

się wzięłam, przez co przeszłam i jak wyrwałam się z piekła, a ja zatrzasnęłam wszystkie złe wspomnienia na samym dnie serca i wyrzuciłam kluczyk od kłódki daleko, daleko za siebie.

Kiedy matka zabrała mnie do siebie, przez chwilę myślałam, że to jest mój dom. Miejsce, w którym się odnajdę, moja przyszłość. Jednak widok pełnego flamingów pokoju, świeżo wyremontowanej, pełnej bibelotów willi i dwójki dziewczynek, które podobno były moimi siostrami, chociaż wcale tego nie czułam, sprawił, że zamknęłam się w sobie ostatecznie.

To nie była już mama, którą pamiętałam. W jej sercu nie było miejsca tylko dla mnie. Nie było też taty, tylko Wojciech – ten obcy, jasnowłosy mężczyzna, któremu nie potrafiłam zaufać. Od początku był dla mnie bardzo miły, ale przecież wiedziałam, kiedy mężczyźni tacy bywają – wtedy, kiedy mnie chcą. Mojego ciała, duszy, seksu. Dlatego znienawidziłam ich oboje. Mamę za to, że mnie zdradziła i nie czekając, aż wrócę, ułożyła sobie życie od nowa, dziewczynki za to, że były tak idealne i w żaden sposób do mnie nie pasowały, a Wojciecha po prostu za to, że był facetem. Mężczyznom nie można było ufać. Każdy ich dowód sympatii brał się z wyrachowania. Bywali mili wyłącznie dla własnych korzyści, mówiłam sobie, przyglądając mu się z daleka.

Kiedy pierwszy raz się odezwałam, matka wpadła w zachwyty. Wtedy zrozumiałam, że tak samo jak wcześniej – milczenie, tak teraz skąpo dawki słowa pomogą mi utrzymać nad nimi władzę. Szybko się jednak okazało, że to nie wystarczy. Matka mnie nie zaakceptowała. Udawała radość, ale nie mogła znieść mojej obecności. Zawadzałam jej, sam mój widok uwierał ją niczym kamień w bucie. Nie pasowałam do jej idealnego domu, wymuszkanej rodziny i bajkowego życia. Przez chwilę usiłowała jeszcze ukształtować mnie wedle własnego widzi mi się, stąd zmiana mojej fryzury i próby wtłoczenia mnie w sztywne schematy życia na przedmieściach, ale nie pozwoliłam jej na to.

Byłam obca dla niej, a ona była obca dla mnie.

Przeżyłam rzeczy, o których nie potrafiłabym jej opowiedzieć. Gasiłam na przedramionach wyjmowane spod jego palców, żarzące

się papierosy, wiedząc, że za kilka godzin on znowu przyjdzie do mnie w nocy. Fizyczny ból pomagał mi oswoić to, co mi robił, odwracał moją uwagę od plugawienia mojego ciała, którego regularnie się dopuszczał. Cięłam się żyletką, uderzałam głową o ścianę, biłam po twarzy, wyszarpywałam sobie włosy. Byłam nieodwracalnie popsuta, zniszczona psychicznie, poharatana emocjonalnie. Matka być może też, w końcu kiedyś porwano jej dziecko, ale w miejscu, w którym spotkałyśmy się na nowo, nie wyczuwałam już jej traumy – wręcz przeciwnie – miałam wrażenie, że za wszelką cenę pragnie o niej zapomnieć i po prostu być szczęśliwa. Problem w tym, że ja nie potrafiłam.

Dlatego ją odrzuciłam. Złość, którą czułam na myśl, że nie pasuję już nigdzie, a żadne z miejsc na ziemi nie jest moim domem, uzewnętrzniła się w dniu, w którym zdemolowałam pokój. Nie pasował do mnie, był śmieszny, kiczowaty i zbyt słodki, a ja z całą pewnością nie byłam dziewczyną, która odnalazłaby się w różu, falbanach i flamingach. Gdyby to zależało ode mnie, wolałabym czarne ściany, minimalistyczny wystrój i brzydką szarą pościel. Moje życie skończyło się, kiedy miałam jedenaście lat. Później było już tylko więzienie – najpierw w domu oprawcy, później u matki.

Widok ciotki Marioli obudził wspomnienia. Kojarzyła mi się z wyprawami do parku, karuzelą, watą cukrową i balonowymi gumami, które mi kupowała. Dużo miłych wspomnień, a później nic – bezpieczny bufor czasowy złożony z kilku lat jej nieobecności w moim życiu. Może dlatego zgodziłam się, kiedy zaproponowała, że mnie zabierze? Matka przez chwilę protestowała, ale nie dałam się nabrać – oczy dosłownie jej błyszczały, kiedy usłyszała propozycję ciotki. Wyraźnie nie mogła się doczekać, kiedy zniknę.

Dlatego w pośpiechu spakowałam swoje rzeczy i nie oglądając się za siebie, pojechałam z chrzestną. Później była moja histeria z zagubioną szczotką do włosów w tle i świadomość, że w zasadzie nic się nie zmieniło. W domu ciotki nie było różu, obszytych falbanami poduszek i flamingów, ale tu również musiałam się zachowywać tak, jak ode mnie oczekiwano. Nie rozumiałam tego, nie akceptowałam... Czy już nigdy

i nigdzie nie będę naprawdę wolna?, zastanawiałam się, samotnie siedząc w ciemnym, obcym pokoju.

Jedynym plusem mieszkania z siostrą matki był brak mężczyzny – pod jej dachem nie musiałam się zastanawiać, czy miłe gesty jakiegoś samca biorą się z życzliwości, czy może stoi za nimi coś więcej? Tu nikt nie przyjdzie do mnie nocą, powiedziałam sobie i po raz pierwszy od dawna w miarę szybko zasnęłam.

21
IGA

Ciotka Mariola bardzo się stara przywrócić mnie do życia, naprawić, ale wszystkie jej działania przynoszą odwrotne efekty – nienawidzę spotkań z psychologami, rozmów o indywidualnym nauczaniu, które powinnam zacząć, wizyt w przychodni i wszystkich tych ludzi, którzy mówią mi, że będzie dobrze.

Nic nie będzie dobrze, naprawdę tego nie rozumiecie?!, mam ochotę wrzeszczeć, ale tylko siedzę i skubię skórki przy paznokciach.

Dwa dni temu ukradłam ciotce dwie stówki i kupiłam za nie fajki, słodycze i flaszkę wódki, którą popijam nocami, pociągając prosto z butelki, kiedy siostra matki idzie w końcu spać. Alkohol pali mój przełyk, ale w zaskakująco przyjemny sposób koi duszę.

Później chodzę po domu – na palcach, poruszając się bezszelestnie – tego nauczyłam się, mieszkając z nim – bycia niewidoczną i niesłyszaną – dziewczyna cień, widmo dawnej mnie.

Ciotka nie zamyka na noc drzwi od swojej sypialni – zostawia je na oścież otwarte, mówi, że przy zamkniętych jej duszno. Wchodzę do pokoju i staję nad jej łóżkiem. Sypia w taniej, flanelowej koszuli nocnej, zazwyczaj leżąc na wznak, a jej duże, ciężkie piersi unoszą się i opadają z każdym jej oddechem. Jest nieco bardziej zaokrąglona od mojej matki, choć nie nazwałabym jej otyłą. Ma mocno kobiece kształty, długie, kasztanowe włosy i szerokie, mięsiste wargi, których nigdy nie ciąga szminką.

Teraz śpi, oddychając przez lekko rozchylone usta, a ja stoję nad łóżkiem i przyglądam się jej twarzy. Wygląda spokojnie, ale też przeraźliwie bezbronne. Wyobrażam sobie, że biorę jedną z leżących na fotelu ozdobnych poduszek, okrakiem siadam na leżącej na wznak ciotce,

a później przyciskam poduchę do jej twarzy i trzymam tak długo, aż jej ciało znieruchomieje. Wspomnienie duszącego się Arkadiusza sprawia, że lekko się uśmiecham. Gdy patrzyłam, jak umiera, walcząc o każdy haust powietrza, czułam się ważna, potężna i wszechmocna. Jego śmierć dodała mi siły. Zrozumiałam, że jestem silniejsza, niż myślałam. Że sobie radzę.

Gdybym zabiła ciotkę, mogłabym przejąć ten dom, jej życie, pieniądze i spokój, przechodzi mi przez głowę, szybko jednak do mnie dociera, że to nierealne. Matka szybko odkryłaby to, co zrobiłam, a był jeszcze Wojciech i wszyscy ci ludzie, którzy ciągle czegoś ode mnie chcieli. Zresztą ciotka była dobra i kiedyś, kiedy jeszcze potrafiłam kochać, bardzo dla mnie ważna.

– Nie zabijesz ciotki, idiotko – mówię do siebie ledwie słyszalnym szeptem i kilkakrotnie uderzam się po twarzy, chcąc się ukarać.

Później przyklekam przy jej łóżku i przez dłuższą chwilę przyglądam się śpiącej kobiecie. Wiem, że powinnam mocniej ją kochać, ale chyba nie umiem – od jakiegoś czasu odczuwam jedynie dziwną pustkę, a jeśli czuję jakąkolwiek ekscytację, to wyłącznie wtedy, kiedy robię coś zakazanego.

Po wyjściu z jej sypialni zastanawiam się, czy uda mi się znaleźć w domu jakiś alkohol, ale ona nie pije i barek jest pusty. Nudna krowa, myślę, wracając do siebie, gdzie pociągam kilka ostatnich łyków wódki.

Później otwieram okno, ciskam pustą butelkę w żywopłot, zarzucam na ramiona koc i z zapalonym papierosem w dłoni siadam na parapecie.

Jest środek nocy, okolica śpi. Mogłabym podpalić któryś z tych domów, poderznąć gardło siostrze matki, poprzecinać sąsiadom opony, zrobić tyle różnych rzeczy, a oni po prostu by spali, myślę.

Rano budzi mnie ciotka. Wydaje się nie w humorze.

– Nie możesz sypiać do dziesiątej czterdzieści – wyrzuca mi, stawiając na nocnej szafce tacę ze śniadaniem.

– Czemu? – dziwię się, bo u Arkadiusza przecież mogłam.

On sam lubił się kłaść późno, czasem dopiero przed trzecią nad ranem, a noce stanowiły dla nas okazję do oglądania telewizji, jedzenia chipsów i bezcelowego kręcenia się po lesie za domem. Zabrał z mojego pokoju telewizor, ale pozwalał mi czasem oglądać ten w salonie, zwłaszcza jeśli byłam grzeczna, jak to określał. Natomiast z długich leśnych wycieczek wracaliśmy ubłoceni, roześmiani i wściekle głodni – kiedy nocami szwendaliśmy się wśród drzew, zapominałam nawet na chwilę, że mężczyzna, który idzie obok, mnie porwał. Wtedy był tylko towarzyszem nocnych przygód, kimś, kto świecił mi pod nogi, pomagał przekraczać niewielkie strumyki i szedł przodem, żeby gałęzie nie były mnie po twarzy. Uwielbiałam las nocą. Było w nim coś magicznego. Z latarką w dłoni chodziłam między drzewami, a strach, który czułam na początku, z czasem był już tylko wspomnieniem.

Ale tu nie ma lasu... Są tylko te nudne, nijakie domy, rzędy podobnie wyglądających uliczek i ciotka, która coraz częściej zaciska usta na mój widok, jakby z każdym mijającym dniem bardziej i bardziej zdawała sobie sprawę, że wzięła na siebie zbyt wiele, tak bezrefleksyjnie proponując mojej matce opiekę nade mną.

- Zjedz i idziemy do dentysty – mówi, wyrrywając mnie z zamyślenia.
- Po co? – krzywię się.
- Bo twoje zęby są w opłakanym stanie.
- Nie wszystkie – rzucam lekkim tonem, a ona podchodzi do okna, rozsuwa firany i odkrywa leżącą na parapecie paczkę fajek.
- Poważnie? – pyta, strącając papierosy z parapetu na podłogę.
- Mam prawie osiemnaście lat – przypominam jej, bo przecież na początku czerwca będę już pełnoletnia.
- Co nie znaczy, że powinnaś palić! To trucizna!
- Życie jest trujące – rzucam, a ona się krzywi.
- Wstań, musisz się zbierać. Dentysta nie będzie czekać. I daruj sobie ten cynizm, jesteś na niego zbyt młoda.
- Nie chcę tam iść – mówię, a siostra matki podchodzi do łóżka i ściąga ze mnie kołdrę.
- Owszem, pójdziesz – cedzi.

Widzę, że jest wściekła i przestała to już nawet ukrywać. Irytuje ją, ma mnie dość, co sprawia mi zaskakującą przyjemność. Lubię wytrącać ludzi z równowagi, czuję wtedy, że mam wtedy nad nimi przewagę.

Jedząc, wyobrażam sobie, że uciekam z jej domu i po prostu się włóczę – całymi dniami jeżdżę autostopem jak bohaterka obejrzanego kiedyś filmu, może nawet zatrzymuję się u jakiegoś faceta. Jak dotąd nigdy wcześniej nie byłam zakochana, bo trudno nazwać miłością to, co łączyło mnie z Arkadiuszem, ale przechodzi mi przez głowę, że chciałabym spróbować. Seks w telewizji wyglądał znacznie lepiej niż ten, który miałam z nim, i czasem marzyłam, że mam faceta, który nosi mnie na rękach, kupuje biżuterię i całuje tak długo i wolno, że aż wije się z rozkoszy w jego ramionach.

Gdybym uciekła, mogłabym kogoś takiego spotkać, myślę, kończąc posmarowaną pastą twarogową kajzerkę.

U dentysty jest naprawdę koszmarnie – nie lubię tego starszego, mało cierpliwego lekarza i nienawidzę tego, co mi robi, kiedy siedzę w fotelu, ale ciotka obiecuje, że jeśli przetrwam, zabierze mnie na zakupy. Godzinę później faktycznie jesteśmy w centrum handlowym.

– To. – Pokazuję palcem naszyjnik wyeksponowany w witrynie jubilera, a ciotka parska śmiechem. – Chcę to.

– Jest zdobiony rubinami, kosztuje majątek – tłumaczy mi jak dziecku.

– Nie masz pieniędzy? – pytam.

– Nie o to chodzi. Po prostu takich rzeczy się nie kupuje.

– To po co on tu jest? – dziwię się.

– Żeby nabył go ktoś na szczególną okazję. Na przykład bogaty facet na trzydziestą rocznicę ślubu, dla żony, jeśli po tylu latach wciąż jeszcze aż tak ją kocha – mówi ciotka z lekkim przekąsem. – To są rzeczy dla bogatych.

– A ten? – Pokazuję palcem inny naszyjnik, a siostra matki przewraca oczami.

– Chodźmy stąd – mówi i ciągnie mnie w stronę butików z taną, sztuczną biżuterią, gdzie wybieram sobie dwie bransoletki z koralików

i pierścionelek.

Później idziemy na pizzę. Uwielbiam pizzę, mogłabym ją jadać codziennie. Do niej zamawiam colę, piję ją niemal duszkiem i przeraźliwie głośno bekam, co przyciąga zniesmaczone spojrzenia siedzących przy sąsiednich stolikach ludzi. Obserwuję ich z rozbawieniem.

– Nie możesz tak się zachowywać – syczy ciotka, mocno zmieszana.

– Bo?

– Bo tak się nie robi w restauracji – wyjaśnia, a ja wzruszam ramionami.

– Przecież zrobiłam – uśmiecham się złośliwie, a później robię kulkę z jednej z serwetek i ciskam ją na podłogę.

– Iga! – Teraz ciotka jest wściekła. – Podnieś to!

– Czy to jest elegancka restauracja? – pytam.

– Nie. To po prostu knajpa z pizzą, pośrodku centrum handlowego. Ale tu też trzeba się zachowywać – tłumaczy mi ciotka.

Podnoszę więc kulkę z serwetki – niechętnie, ale robię to, i wkładam ją do kieszeni.

– Chcę iść do eleganckiej restauracji – mówię.

– Pójdziemy – obiecuje mi ciotka.

– Z mamą i tatą.

– Twoi rodzice są rozwiedzeni, wiesz o tym. Twój tato ma nową żonę, a mama...

– Chcę iść z nimi – upieram się, wchodząc ciotce w słowo.

*

Dwa dni później matka zaprasza mnie do Moco Loco, jednej z najlepszych knajp w naszym mieście, ale nie pojawia się z ojcem, a z Wojciechem. Są też z nimi dzieci, co już na wejściu wytrąca mnie z równowagi.

– Ich tu nie chciałam – rzucam przez zęby, a matka robi zboląłą minę.

– To twoje siostry – syczy.

– Nieprawda! Nie znam tych dzieci! – podnoszę głos, a ona z trudem się powstrzymuje, żeby nie wdać się ze mną w pyskówkę.

Wojciech kładzie dłoń na jej ramieniu, usiłując ją uspokoić, ale w jej oczach jeszcze długo widzę wściekłość.

Jedzenie jest dobre, ale nie umiem się nim delektować, kiedy bliźniaczki co chwilę popłakują, gaworzą, wiercą się i domagają uwagi – ich obślinione podbródki, lśniące od łez oczy i wydawane z ich gardeł dźwięki sprawiają, że chce mi się wyć.

Wojciech stale mnie o coś wypytuje: jak psycholog? co z nauczaniem indywidualnym? czy wytrzymałam wizytę u dentysty? Odpowiadam mu półsłówkami, czuję się niezręcznie w jego towarzystwie, tymczasem matka, karmiąc jednocześnie bliźniaczki, dopytuje, jak mi się układa z ciotką Mariolą.

– Chcę zamieszkać z ojcem – mówię, bo nagle zdaję sobie sprawę, że bardzo za nim tęsknię, ale okazuje się, że nie ma takiej opcji.

– Twój tato niedawno się ożenił, nie możesz z nim zamieszkać – tłumaczy mi matka.

– Ale ja chcę! – krzyczę.

Chwilę później celowo zrzucam na ziemię talerz z niedojedzoną porcją spaghetti i warczę, że idę do łazienki.

W toalecie jest czysto, jasno i kwiatowo – na komódce z białego drewna stoją sztuczne lilie w pękatach szklanych wazonach, a okno z witrażową szybą od razu przyciąga moją uwagę.

Otwieram je, wdrapuję się na parapet i zeskakuję po drugiej stronie. Później mam do przebiegnięcia już tylko kawałek trawnika, niskie ogrodzenie z białych drewnianych sztachet i jestem na chodniku. Torebkę mam przy sobie – jest maleńka, zawieszona na pozłacanym łańcuszku, dokładnie taka, jaką nosiła Carmen Lucia, moja ulubiona bohaterka telenoweli.

Do wieczora włóczę się po mieście, kradnę z delikatesów słodycze i szwendam bez celu, absolutnie nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

W końcu zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, gdzie jestem – nie

znam dobrze Olsztynka, to miasto z mojego dzieciństwa. Poznawałam wtedy jedynie najbliższe okolice domu rodziców, dalej jest pustka.

Dzwonię do matki.

Odbiera od razu. Musiała czuwać przy telefonie, co sprawia mi pewnego rodzaju przyjemność, bo znowu mam nad nią władzę.

– Można wiedzieć, czemu uciekłaś z restauracji?! – pyta.

– Denerwowały mnie te dzieci – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Te dzieci to są twoje młodsze siostry, Iga! I obie mają imiona! – powtarza matka, chyba po raz piąty tego dnia.

Milczę.

– Gdzie jesteś? Mam po ciebie przyjechać?

– Nie wiem.

– Nie wiesz, czy mam przyjechać, czy nie wiesz, gdzie jesteś? Znajdź tabliczkę z nazwą ulicy – sugeruje, a ja po chwili rozglądania się dookoła podaję jej adres.

Kiedy na nią czekam, zaczyna sypać śnieg. Dawniej lubiłam zimę, zwłaszcza w te dni, kiedy mogłam się bawić z psem i gonić wieczorem po lesie, ale teraz nie ma już psa, nie ma lasu i nie ma tamtej mnie. Wszystko się zmienia, czego nienawidzę. Nie lubię zmian i ciężko mi się z nimi pogodzić.

Przez chwilę myślę o Arkadiuszu. Czasem, w pewien sposób za nim tęsknię. Tylko on gładził mnie po plecach i sprawiał, że się relaksowałam. Robił dla mnie kakao, zaplatał mi warkocze i gotował gęste, pożywne zupy. Jego miłość do mnie była chora, wypaczona i koślawą, ale to była miłość, a nie obowiązek zajęcia się mną, jakiego doświadczałam obecnie ze strony rodziny. Matka mówi, że mnie kocha, ale nie umiem jej uwierzyć. Ona nie kocha mnie. Kocha jedenastoletnią Igę, tamtą słodką, jasnowłosą dziewczynkę, która zaginęła w drodze do koleżanki.

Podjeżdża poirytowana. Stara się tego nie pokazywać, ale wyraźnie to czuję.

– Wsiadaj – rzuca ostro, niecierpliwie.

Później zawraca w wąskiej uliczce, w której na nią czekałam i w ciężkim milczeniu ruszamy przez miasto. Za oknami samochodu jest już ciemno, a śnieg, który prószył przed momentem, zniecka zamienił się w siąpiącą niemrawo mżawkę. Zmarzłam i drapie mnie w gardle, ale najgorsza jest świadomość tego, że w aucie matki jest mi obco – dziecięce foteliki na tylnym siedzeniu, nieznamy zapach jej nowych perfum, wszystko to sprawia, że znowu czuję się wyobcowana, nie mam pojęcia, co tak naprawdę tu robię.

– Ciocia Mariola się o ciebie martwiła – informuje, kiedy światło zmienia się na żółte, a ona zatrzymuje auto przed skrzyżowaniem i odwraca w moją stronę, nie musząc chwilowo skupiać na prowadzeniu. – Nie możesz tak po prostu zniknąć, zwłaszcza po tym, co spotkało naszą rodzinę. Dlaczego wyszłaś przez okno jak jakaś dzikuska?

– Nie wiem – mówię i w sumie nawet nie kłamię. To był impuls, nagle potrzeba wydostania się na zewnątrz bez konieczności przejścia przez duszną i pełną ludzi restauracyjną salę.

– Znowu była u nas ta policjantka – mówi matka. – Zaczynają naciskać, chcą wiedzieć więcej. Gdzie byłaś, kto cię przetrzymywał, jak się wydostałaś. Musisz im coś powiedzieć, rozumiesz? Porozmawiać z nimi, dać im cokolwiek.

– Ale ja niczego nie pamiętam – kłamię, a ona gniewnie parska.

– Nie pogrywaj sobie ze mną, Iga!

Nie odpowiadam.

Patrzę na miasto – nijakie, nudne, mokre od deszczu i równie mało ekscytujące, co moje życie. Lata spędzone u Arkadiusza, nie licząc pewnych traum i przykrości, bywały inne niż to, co zastałam tutaj. Tam żyliśmy zgodnie z rytmem natury, cyklem pór roku, bardziej prymitywnie, ale też barwnie i intensywnie. Tu jest mnóstwo nowych rzeczy, których nie potrafię zaakceptować. Nauczyciele, którzy usiłują mnie zainteresować nudnymi, niezrozumiałymi dla mnie książkami, psychologowie, lekarze, ciotka Mariola, która z dnia na dzień coraz bardziej zaczyna się zamieniać w mojego klawisza – wszystko to jest coraz bardziej męczące, niezrozumiałe i mnie obciąża. Czuję się tak,

jakbym z jednego potwornego zakątka trafiła do drugiego i chociaż oba te miejsca są skrajnie od siebie różne i jedno, i drugie wydaje mi się prawdziwym piekłem.

– Chcę zamieszkać u taty – powtarzam, a matka w złości uderza pięścią o kierownicę.

– Mówiłam ci, że to niemożliwe – rzuca ostrym tonem. – Ale zawsze możesz wrócić do nas – dodaje, chyba wbrew sobie, tak to przynajmniej brzmi.

– Nie chcę – mówię.

– Szkoda. Liczyłam na to, że nasze relacje będą znacznie cieplejsze.

– Nie kochasz mnie – wyrzucam jej, a ona wybucha śmiechem, który brzmi niemal histerycznie.

– Nie kocham cię?! Oszalałaś?! – krzyczy.

Chwilę później ktoś na nas trąbi, a ona rusza – gwałtownie, ostro, bez wyczucia.

– Zawsze cię kochałam, a ostatnie lata były dla mnie piekłem. Codziennie się modliłam, żeby cię odzyskać i odzyskałam, a ty...

– Ale nie odzyskałaś – mówię. – Chciałaś tamtej Igi. Tej starej, słodkiej, innej, a tymczasem dostałaś mnie – mówię mściwie.

– To wciąż jedna i ta sama osoba. Ty jesteś tamtą Igą, bez względu na to, co cię spotkało, córeczko – mówi matka, ale wiem, że się myli.

Jestem kimś zupełnie innym niż tamta dziewczynka, która pewnego słonecznego wrześnieowego popołudnia wsiadła do starego białego volva kombi.

Nagle wyobrażam sobie, że mówię matce prawdę o tym, co zrobiłam Arkadiuszowi, i uśmiecham się pod nosem. Niewiele wiem o psychologii, ale na pewnym prymitywnym, instynktownym poziomie przetrwania i rozróżniania emocji podejrzewam, że matka źle by to zniosła.

O takich rzeczach po prostu się nie mówi. W serialach wszyscy, którzy kogoś zabiją, ukrywają to tak długo, jak tylko mogą, więc założyłam, że ja też powinnam.

Nie wiem, czy policja dotarła już do ciała mojego porywacza. Czy jego dom spłonął doszczętnie, czy może pożar nie strawił całego bu-

dynku? Nie mam pojęcia, czy ktoś w ogóle zauważył ogień i odkrył zwłoki, czy może mój oprawca wciąż leży obok sofy – martwy i zapomniany, z dala od świata i ludzi, od których trzymał się na dystans również wtedy, kiedy jeszcze żył. Gdy go znajdą, będą szukać mordercy, to również wiedziałam z seriali. Ale przecież nikt nie wiedział, że przez ostatnie lata mieszkałam z nim ja. Być może znajdą jakieś rzeczy, które podszeptają im, że była z nim kobieta – podpaski, kobiece czasopisma, które czasem mi kupował, moje spinki do włosów, kosmetyki. Ale nic nie powie im, że kobietą, która z nim żyła, okazałaby się zaginiona przez laty dziewczynka, która przepadła w drodze do koleżanki. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

22

IGA

Któregoś ranka, chyba w połowie marca, uciekam ciotce, która planuje mnie zabrać do fryzjera, i idę na pobliski plac zabaw. Jest brzydki i zaniedbany – kilka starych huśtawek z przerdzewiałymi konstrukcjami, karuzela, na której siedzeniu ktoś postawił kilka puszek po piwie, i drabinki.

Wokół nie widzę żadnych dzieciaków. Stojące nieopodal szare bloki socjalne są ciche i podniszczone, o tej porze dzieci przebywają jeszcze w domach, jedząc płatki i wysłuchując utyskiwań skacowanych ojców i matek. Jest sobota, wietrzny i ponury dzień. Siadam na karuzeli i odpychając się stopami, kręcę się w kółko, aż robi mi się niedobrze z głodu, bo wymknęłam się bod ciotki bez śniadania.

Palę, gapiąc się w niebo, kiedy na placu zabaw pojawia się szczupła i drobna kobieta przed czterdziestką. Nie znam jej, ale kiedy się do mnie uśmiecha, ku własnemu zaskoczeniu odwzajemniam uśmiech. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, ale mam wrażenie, że nieznam ją jest w pewien sposób zagubiona, zupełnie jak ja...

– Poczęstujesz mnie papierosem? – pyta, więc wyciągam z kieszeni kurtki fajki i podaję jej razem z zapalniczką.

– Dzięki – mówi i siada na jednej z huśtawek.

Podoba mi się jej styl – ma na sobie ciężkie czarne glany z metalowymi klamerkami i grube czarne rajstopy, ale, dla kontrastu, zwiewną kolorową kieckę w stylu boho, na którą zarzuciła podszyty białym futerkiem krótki kożuszek z wywijanym kołnierzem. Wygląda na przemarzną, co w jakiś sposób sprawia, że wydaje się też krucha i dziewczęca. Domyślam się, że jest mniej więcej w wieku mojej matki,

a jednak pozostało w niej coś słodkiego, co kojarzy się z młodością. Tak przynajmniej ją odbieram.

– Wiosny nie widać – mówi po tym, kiedy już zaciąga się dymem, wypuszcza go i z błogością przymyka oczy.

W jej uszach zauważam maleńkie złote kolczyki, usta ma przeciągnięte jasnoróżową szminką, ale to cały jej makijaż.

– No nie – przyznaję i po chwili sama zapalam kolejnego papierosa.

– Jestem Daria – mówi i wdeptuje niedopałek w ziemię.

Potem zaczyna się huśtać i parska śmiechem jak dziecko.

– Przychodziłam tu czasem z córeczką – mówi.

– I co? Wyrosła? – Uśmiecham się krzywo, a ona poważnieje.

– Umarła. Porwano ją, a później znaleziono martwą – szepcze, a ja nieruchomieję.

To jakiś żart? Ta kobieta odkryła moją przeszłość i po prostu się ze mnie nabija, czy może jakimś nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności jej rodzinie przytrafiło się to samo, co kiedyś nam?, zastanawiam się.

– Wiem, jak to brzmi – dodaje. – Bo sama pomyśl... Komu przytrafiają się takie rzeczy? – Daria lekko wzrusza ramionami i schodzi z huśtawki. – Przepraszam, nie będę ci zawracać głowy moimi problemami – dodaje i rusza w stronę wyjścia z placu zabaw.

– Czekaj! – wołam, zrywam się z karuzeli i biegnę za nią. – Mnie też kiedyś porwano – mówię, kiedy się zrównujemy na wysokości przedziewiałej furtki, przez którą się wchodzi na plac.

– Wiem – mówi ona, przystając.

– Skąd? – pytam, kompletnie zaskoczona.

– Znałam kiedyś twoją mamę. Tatę też, przyjaźniliśmy się.

– Znasz moich rodziców?

– Tak, ale nie mów im o naszym spotkaniu – prosi.

Wtedy dociera do mnie, że nic, co się właśnie przytrafiło, nie jest przypadkowe.

– Specjalnie mnie znalazłaś i zagadałaś? – pytam cicho, nie wiedząc jeszcze, co o tym sądzić.

– Tak – przyznaje Daria. – Nie będę cię okłamywać, więc powiem wprost. Od dawna chciałam z tobą porozmawiać. Poznać cię, móc... – Nagle urywa, a w jej jasnych oczach pojawiają się łzy. – Przepraszam – dodaje chwilę później. – To emocje... Dla ciebie jestem zupełnie obcą paniusią, która zjawia się znikąd i zaczyna mówić dziwne rzeczy, ale ty jesteś mi bliska... Kiedy się dowiedziałam, że się odnalazłaś, musiałam cię poznać. Upewnić się, że wszystko u ciebie dobrze, powiedzieć, że to cud, który nie zdarza się każdemu. Bo moja Amelia nie żyje, dla niej los nie był łaskawy.

– Była w moim wieku? Twoja córeczka? – pytam, poruszona jej łzami i historią, którą mi właśnie opowiedziała.

– Kilka lat młodsza.

– Matka nigdy mi o tobie nie wspomniała – mówię szczerze, a ona się krzywi.

– Pokłóciłyśmy się jakiś czas temu. Nie umiałam jej pewnych rzeczy wybaczyć i nasze drogi się rozeszły.

– Jakich rzeczy? – pytam, zaintrygowana, a wtedy Daria mówi coś, co sprawia, że uginają się pode mną nogi.

– Na przykład tego, że twoja matka ukradła mi męża. Wojciech, mężczyzna, z którym teraz jest Izabela, ojciec twoich słodkich przyrodnych siostrzyczek, to mój mąż. Nawet nie były, ale obecny, bo nie mamy rozvodu.

– Co?! – pytam, zszokowana, bo matka słowem mi nie wspomniała, że on jest żonaty. – To jego córka zaginęła? Nic mi nie powiedział, on...

– Być może nie byli z tobą szczerzy, żeby oszczędzić ci stresu. Ciężko w końcu powiedzieć dziewczynie, która kiedyś została porwana, że w rodzinie jest inna zaginiona dziewczynka, która w dodatku odnalazła się martwa, i to dosłownie tuż przed tym, jak twoja własna matka urodziła bliźniaki.

– To niemożliwe – szepczę, bo wciąż ciężko mi w to wszystko uwierzyć.

Czuję się tak, jakby ktoś uderzył mnie właśnie pięścią w przeponę. Moja matka ukradła tej kobiecie męża i nawet słowem nie wspo-

mniała mi, że Wojciech stracił córkę, która również została kiedyś porwana?! Mówi o nim „mój partner”, a on jest ciągle mężem innej! Jakie ohydne zakłamanie!, myślę. I ona ma czelność mnie pouczać?!

– Masz ochotę na coś słodkiego? Tu niedaleko jest świetna kawiarnia. Zapraszam cię na kawałek sernika – mówi nagle Daria.

– Jak mnie znalazłaś? – pytam, a ona niby obojętnie wzrusza ramionami, choć wygląda na lekko zażenowaną.

– Nie będę kłamać, snuję się czasem przy domu twojej matki i sporo wiem o jej życiu. Dzielimy się miłością do tego samego faceta, sama rozumiesz...

– Kręcisz się tak, żeby się na niej zemścić? – pytam, zastanawiając się, czy w takim wypadku ostrzegłabym matkę, czy może po prostu to olała?

Zresztą, co takiego może zrobić jej Daria? To miła kobieta, ciepła, zagubiona i bardzo wrażliwa, myślę sobie. Kobieta, którą moja matka ohydnie skrzywdziła.

– Kręcę się tam, żeby sprawdzić, co u Wojtka. Wciąż go kocham, jak już się pewnie domyśliłaś... Wiem, że może się to wydawać dziwne, zwłaszcza że mnie porzucił, ale nadal nie umiem się pogodzić z tym, że odszedł.

– Okłamali mnie – mówię szeptem. – Oboje mnie okłamali, zresztą ciotka też – dodaję, a ona obejmuje mnie ramieniem.

– Przykro mi, kochanie – pociesza mnie, gładząc mnie po plecach, a ja zdaję sobie sprawę, że dobrze mi w jej ramionach.

Matce nie pozwalam się przytulać, ale Daria... Sama nie wiem, wyczuwam w niej bratnią duszę. Lgnę do niej, nie wzbraniam się przed tym, żeby się przed nią otworzyć.

– Mieszkasz niedaleko? – pytam, kiedy już się od siebie odsuwamy i obie ścieramy z policzków łzy, a ona przecząco kręci głową.

– W Iławie – mówi.

– Więc jakim cudem przychodziłaś na ten plac zabaw z córeczką? – dziwię się.

– Nie przychodziłam. Chciałam cię zagadać i rzuciłam coś głupiego, przepraszam...

– Mówiłaś, że nie chcesz mnie okłamywać – przypominam jej, a ona lekko się uśmiecha.

– Ten jeden raz, wybacz.

– Opowiesz mi o twojej córeczce?

– Miała na imię Amelia, porwano ją na szkolnej wycieczce do Trójmiasta, a mężczyzna, który ją zabrał... Przepraszam, nie mogę – przerywa, poruszona.

– Zabił ją? – pytam cicho, a Daria zaczyna płakać i tym razem to ja ją pocieszam. – Chodź, kupisz mi ten sernik – mówię, łapiąc ją za rękę, a ona rusza za mną wzdłuż ulicy.

Idąc obok niej, wdychając zapach jej perfum, trzymając ją za rękę, czuję się tak, jakbym znała ją od wieków, a przecież poznałyśmy się przed momentem. Wyczuwam jednak, że w przeciwieństwie do mojej matki, ona mogłaby mnie zrozumieć. Są w niej jakiś ból, piętno, które odcisnął na niej los, coś, czego nie dostrzegam u matki. Ona, zajęta opieką nad bliźniaczkami, zakochana i pochłonięta budowaniem nowego, idealnego życia, nie nosi już w sobie cierpienia, pozbyła się go z taką łatwością, z jaką wyrzuca się starą, niemodną torebkę, a ja nie umiem jej tego wybaczyć. Chcę, żeby nadal cierpiała. Żeby płakała nad tym, co przytrafiło się mnie, opłakiwała naszą rozbitą rodzinę, tęskniła za tatą, któremu pozwoliła odejść i ożenić się z tą okropną, wychudzoną babą, która nawet nie próbuje udawać, że mnie lubi. Chcę, żeby było jak dawniej, ale nie jest... Straciłam matkę, ojca, dom i wszystko, co przez ostatnie lata hołubiłam we wspomnieniach. Nie mam już nic i to właśnie przez matkę.

Kawiarnia jest niemal pusta – teraz, tuż po dziesiątej rano, jesteśmy pierwszymi klientkami.

Daria zamawia dla nas po kawałku sernika, dla mnie colę, dla siebie kawę, a później siada naprzeciwko i chwyta mnie za rękę.

– Izabela musi być taka szczęśliwa, że cię odzyskała – mówi, a ja się krzywię.

– Raczej nie – wzdycham.

– Co masz na myśli? – dziwi się Daria.

– To, że stanowią dla niej ciężar. Kulę u nogi, rozumiesz? Nie chce mnie, marzyła o dawnej Idze, ale ja nie umiem już nią być. Jestem kimś zupełnie innym.

– Wspaniałą młodą kobietą, która przeżyła piekło. – Daria zaciska palce na mojej dłoni, jej dotyk jest kurczowy, ale nie sprawia mi bólu, wręcz przeciwnie. Po raz pierwszy od dawna zaczynam czuć jakieś głębsze, cieplejsze emocje.

– Raczej ciężarem – powtarzam, a ona ujmuję moją twarz w dłonie i mówi coś, co sprawia, że ostatecznie mięknę.

– Jesteś cudem. I jeśli mi na to pozwolisz, chciałabym być obecna w twoim życiu. Zaopiekuję się tobą, dam ci to, czego brakuje ci w domu. Pozwól mi poczuć się ważną, cenioną i cenną – prosi ze łzami w oczach, a ja wybucham płaczem.

– Dobrze – mówię, a ona się uśmiecha i ściera z mojego policzka łzę.

– Wiem, że wróciłaś z jednego piekła do kolejnego. Że nie umiesz się odnaleźć w nowym domu, wśród nowych ludzi, obcych twarzy, ale obiecuję ci, że razem to wszystko oswoimy – mówi. – Zapisz sobie mój telefon – prosi. – Wiem, że mieszkam aż w Iławie, a ty, nie mając auta, pewnie myślisz, że to koniec świata, ale będę przyjeżdżać, będziemy do siebie dzwonić, rozmawiać i się pocieszać.

– Nie wiem, czy będę umiała zastąpić ci twoją córkę – mówię nagle, a ona kręci głową, gwałtownie zaprzeczając.

– Nie chcę, żebyś kogokolwiek mi zastępowała. Chcę poznać ciebie – mówi z naciskiem.

Zapisuję więc w komórce namiary na nią i podaję jej swój numer, a ona obiecuje, że jeszcze tego samego dnia się do mnie odezwie.

– Muszę już iść – mówi.

Zaczyna się spieszyć, a ja boję się, że może nieświadomie zrobiłam coś nie tak i już jej nie zobaczę.

– Daria. – Wstaję od stolika i łapię ją za rękę. – Zadzwonisz? Obiecuj – proszę.

– Przecież już obiecałam – śmieje się, a później jeszcze raz mnie przytula, a ja wdycham zapach jej perfum i wypowiadam w duchu życzenie: „Chcę, żebyśmy zostały najlepszymi przyjaciółkami”.

Kiedy wychodzi, dojadam sernik, a później biorę do ręki filiżankę, z której piła kawę, i uśmiecham się na widok różowego śladu szminki odbitego na białej porcelanie. Więc sobie tego nie wyobraziłam. Ona tu była. Kobieta, która okazała mi serce, ktoś, kto tak dobrze mnie rozumie. Nie jestem już sama, mówię sobie w duchu.

Wieczorem do mnie dzwoni, jak obiecała. Rozmawiamy prawie dwie godziny, zwierając się sobie, chichocząc i co chwilę zniżając głos.

– Obiecuj, że kiedyś do mnie przyjedziesz – prosi mnie Daria, zanim się rozłącza. – Mam duży ogród, ładny dom i mnóstwo miejsca dla gości. Będziemy oglądać filmy, zajadać się sernikiem, pić lemoniadę i malować sobie paznokcie. Zabiorę cię nad jezioro, zrobimy sobie zdjęcia, będziemy razem gotować, opowiadać sobie durne żarciki i zajadać się frytkami. Lubisz frytki?

– Uwielbiam – mówię, a ona obiecuje, że zrobi dla mnie domowe, najlepsze.

– Przyjedziesz? – pyta. – Może w przyszły weekend? Tylko nie mów nikomu, że się poznałyśmy. Twoja matka nigdy nie pozwoliłaby się nam zaprzyjaźnić.

– Wiem – mówię. – To egoistka, myśli tylko o sobie. Ustawiła wszystkich tak, jak jej pasuje: mnie, Wojciecha, ciotkę Mariolę, każdego! – wyrzucam z siebie.

– Być może, ale nie mówmy o niej. Po prostu skłam ciotce, że jedziesz do koleżanki, reszta jest nieważna – mówi Daria, a ja obiecuję jej, że tak właśnie zrobię.

Kiedy się rozłącza, schodzę na dół i przyrządzam sobie kolację. Ciotka jest w salonie, ale kiedy słyszy mnie w kuchni, od razu się zjawia.

– Z kim tyle rozmawiałaś? – pyta. – Słyszałam, że gadasz przez komórkę. Strasznie długo.

– Z nikiem, z koleżanką – kłamię.

- To z nikim czy z koleżanką?
- Nieważne – bąkam pod nosem, a ona marszczy czoło.
- Tajemnice źle się kończą, Iga. Wszystkie. Nie miej przede mną tajemnic, kochanie – prosi.
- Nie mam – burczę, zanim okładam kanapkę plasterkami żółtego sera.
- A może masz jakiegoś chłopca? – interesuje się ciotka.
- Nie – zaprzeczam, sięgając po keczup.
- Nie byłoby w tym nic złego, gdybyś...
- Nie mam żadnego chłopca!!! – wrzeszczę na nią, zupełnie wytrącona z równowagi i z talerzem w ręku wybiegam z kuchni.
- Nie musisz od razu się tak unosić! – krzyczy w ślad za mną ciotka.
- Nie zrobiłam nic złego, nie wrzeszcz na mnie! – woła gdzieś z kuchni, ale ja już wchodzę do swojego pokoju.

Odwal się, myślę. Wszyscy się ode mnie wreszcie odwalcie!

Później przeglądam zdjęcia od Darii, które wysłała mi na WhatsAppie. Dwie fotografie roześmianej Amelii, zrobione podobno na kilka dni przed jej zaginięciem, oraz fotkę Darii i Wojciecha z ich wesela – ona jest w białej sukni z welonem, on w eleganckim ciemnobezowym garniturze.

„Bardzo go kochałam!”, podpisała ją.

„Wciąż go kocham!”, dorzuciła jakąś minutę później.

Następnie wysłała jeszcze płaczącego emotka i zamilkła.

Patrzę na ich ślubną fotografię i dziwnie się czuję. Poznałam tego mężczyznę jako partnera mojej matki, niemal jej męża. To z nim ma dzieci, stworzyła dom, mieszka i sypia, a tymczasem inna kobieta nadal wypłakuje sobie oczy, cierpiąc z jej powodu.

– Egoistka – mówię do siebie i odkładam komórkę.

Czułam, że nie można jej ufać, i być może dlatego po powrocie do domu nie umiałam się przed nią otworzyć. Jest podła, dwulicowa i diabolicznie sprytna. Myśli tylko o sobie, deptając po drodze uczucia innych. A ja miałam nadzieję, że na nowo zbudujemy więź... Nie było

opcji! Dopiero teraz, po spotkaniu z Darią, widzę, kim tak naprawdę jest moja matka.

23 IGA

Przez kolejne miesiące widujemy się z Darią regularnie, a ja przynajmniej raz na jakiś czas spędzam weekend w jej domu, w Iławie. Poznanie jej to najlepsze, co przytrafiło mi się od dnia powrotu do Olsztynka. Codziennie jestem wdzięczna za to, że stałam się częścią jej życia.

Dzwonimy do siebie non stop, piszemy es-emesy, wysyłamy zdjęcia, wspieramy się i podnosimy na duchu. Nie zasnę bez rozmowy z nią, a kiedy tylko się budzę, sprawdzam, czy zdążyła mi już coś wysłać, czy może jeszcze śpi. Wiem, że ma swoje problemy, nie do końca udało się jej otrząsnąć po tragicznej śmierci córki, co zrobiło z niej wrak człowieka. Czasem za dużo pije, bywa, że łyka jakieś leki, nie sypia po nocach, wyrzuca sobie, że była złą matką. Pocieszam ją wtedy, jak umiem, słucham, jak płacze, zapewniam, że Amelia umarła nie z jej winy.

A kiedy rozsypuję się ja, Daria robi dla mnie to samo – słucha, pociesza, koi.

Myślę, że ją kocham. Do niedawna nie byłam pewna, czy jestem jeszcze zdolna do takich silnych, wzniosłych uczuć, ale do niej na pewno coś takiego czuję. Zależy mi na niej bardziej niż na matce, ojcu, ciotce, Wojciechu i tych obślinionych smarkulach razem wziętych. To dla Darii usiłuję wziąć się w garść, wstaję rano z łóżka i staram jako tako funkcjonować.

Któregoś dnia, kiedy siedzimy na tarasie w jej domu, opowiadam o tym, co zrobiłam Arkadiuszowi, a Daria z całym przekonaniem mówi, że to było jedyne wyjście, chwali mnie za odwagę, przytula i każe mi obiecać, że już nigdy nikomu tego nie powiem.

– Niech to będzie nasza wspólna tajemnica – prosi i faktycznie nasza przyjaźń zacieśnia się dosłownie z dnia na dzień. Nie potrafimy już bez siebie żyć.

Jednocześnie usiłuję się wyzwolić spod wpływu matki i ostatecznie odciąć się od niej emocjonalnie, ale okazuje się, że to nie takie proste... Wciąż czuję się przez nią porzucona, mam żal, że tak słabo o mnie walczyła, że pozbyła się mnie ze swojego życia, oddała komuś jak psa, który na początku cieszył, ale później zaczął gryźć buty i szczać na dywan. Rzadko się widzujemy. Nie lubię jej odwiedzać w tamtym nowym domu, w którym czuję się fatalnie, z kolei, kiedy jemy gdzieś na mieście, zawsze są z nią bliźniaczki i Wojtek, co też mi nie odpowiada.

Nie potrafię pokochać dziewczynek. Jestem o nie zazdrosna, irytuje mnie każdy okazywany im przez matkę przejaw troski. Wojciech również nie jest już dla mnie taki miły, jak na początku. Poddał się, zrozumiał, że nie uda się nam nawiązać kontaktu i okazuje mi wyłącznie grzeczną obojętność. Odcięli się ode mnie, oboje, a jednak ciągle się katuję, myśląc o nich. Bywa, że chodzę wieczorami pod ich nowy dom i przyczajona za zaparkowaną naprzeciwko furgonetką, gapię się w okna. Czasem widzę, jak piją wino, tańczą w świetle świec albo bawią się z dziećmi. Jak jedzą kolację, okazując sobie miłość, śmieją się, oglądają telewizję. Widzę to wszystko i czuję się jak zbity pies. Wiem, że ja nigdy czegoś takiego z nikim nie stworzę, bo jestem wybrakowana – przez to, co mnie spotkało, nie umiem już nikomu zaufać, nie potrafię kochać.

Któregoś razu, w maju, kilka tygodni przed moimi osiemnastymi urodzinami, proszę matkę o klucze do ich domu.

– Po prostu chcę je mieć – tłumaczę, a ona obiecuje, że dorobi dla mnie komplet.

Wręcza mi je kilka dni później, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i chociaż bardzo się staram, nie umiem odgadnąć, czy moja prośba ją ucieszyła, czy może jest dla niej z jakichś przyczyn niewygodna. Ale klucze dostałam, noszę je przy sobie, nie rozstaję się z nimi, są moją

przepustką do drzwi, które – poniekąd jako konsekwencję mojego wyboru – kilka miesięcy wcześniej przede mną zamknięto.

Później nabieram zwyczaju wchodzenia do domu podczas ich nieobecności – buszuję po szafkach, kręcę się po ich sypialni, dotykam przedmiotów, czytam pozostawioną na komodzie przy frontowych drzwiach korespondencję, grzebię w szufladach z bielizną.

Matka szybko odkrywa, co robię, i w końcu jasno i wyraźnie daje mi do zrozumienia, że jej to nie odpowiada.

– W domu są kamery, Iga. Nie znoszę ich, ale nalegał na nie Wojtek. Wiemy, że kręcisz się tu, kiedy nas nie ma, i prosimy, żebyś przestała. Dostałaś klucze na wypadek jakiejś sytuacji, kiedy chciałabyś się u nas zatrzymać czy schronić, a nie po to, żeby przegrzebywać nam szuflady. Musisz przestać się do nas zakradać, słyszysz mnie? – pyta matka, kiedy rozmawiamy w jej ogrodzie.

– Okej – mówię i wściekam się, że odkryła mój sekret.

Ale skoro wie...

Nie pojawiaam się u nich przez kolejne dwa tygodnie, po prostu boję się, że przegnę, a ona zmieni zamki. Ciągłe jednak kręcę się w okolicach ich domu, a kiedy któregoś dnia widzę, że matka wyjeżdża gdzieś z dziećmi, postanawiam wejść do środka. Wiem, że zostanę nagrana, ale nagle mam to gdzieś. Wojciech remontuje podobno zabytkowy pałacyk w okolicach Giżycka i na pewno mi nie przeszkodzi, a ona co najwyżej się na mnie wydrze. Zresztą to już ostatni raz, powtarzam sobie w duchu, przekręcając klucz w górnym zamku.

W domu pachnie jej perfumami. Wszystko jest wysprzątane, idealne i czyste, na stole w salonie stoi wielki wazon pełen fioletowego bzu, który oszałamiająco pachnie i rodzi wspomnienia – za domem Arkadiusza również rosły bzy... Chodzę po jej królestwie i narasta we mnie złość. Czemu ona ma tak dużo, a ja tak niewiele? Jeszcze kilka miesięcy temu byłam cudem odnalezioną dziewczyną, nad której losem wszyscy się rozplýwali, ale nie mam złudzeń – dziś jestem głównie trudną, „kolczastą” nastolatką z problemami i ostrzyżonymi na krótko włosami, które ciągle przycinam sobie nożyczkami, tnąc nierówno, nie-

mal na ośle, jakbym nawet swoim żenująco chujowym wyglądem chciała udowodnić światu, że jestem nic niewarta, stracona i przegrana.

Na komodach stoją zdjęcia w ramkach, ale chociaż matka ponoć tak się cieszyła z mojego powrotu, widzę na nich głównie ją, dziewczynki i Wojciecha. Ja jestem tylko na jednej fotce, wiszącej na ścianie w korytarzu, tuż przy wnęce pod schodami i to jest zdjęcie tamtej Igi, która jeszcze wtedy nie zdążyła zagać, a nie moje. Mnie, tej obecnej, nie ma nigdzie.

Wtedy czuję złość. Po chwili wściekłość dosłownie wypala mnie od środka, zalewa mi oczy jakąś ciemną, brudną falą. Nie ma mnie w jej życiu, nie ma mnie, nie ma, nie ma, nie ma... Powtarzam to sobie, chodząc po domu. Na kuchennym blacie leży nóż. Nie wiem, czemu biorę go do ręki, ale nagle zdaję sobie sprawę, że po prostu chcę poczuć go w dłoni, przejść się z nim po pokojach, zapoznać. Pasujemy do siebie – on i ja.

Nagle słyszę odgłos silnika wjeżdżającego na podjazd samochodu i domyślam się, że matka musiała wrócić i właśnie parkuje przed domem. Myślę o bliźniaczkach, których gaworzenie zaraz zapewne zakłóci błogą ciszę majowego przedpołudnia, i złość wraca. Nienawidzę tych bachorów i nienawidzę jej! One zabrały mi matkę, a ona już nawet nie udaje, że chce nadal nią być.

„Niedługo będziesz pełnoletnia, powoli zaczniesz własne dorosłe życie”, powiedziała mi niedawno, jakby tymi słowami też chciała się ode mnie odciąć.

Widzę ją przez okno, wygląda na promienną. Wysiada z samochodu i z elegancką lakierowaną torebką w dłoni idzie w stronę skrzynki na listy. Jej rude włosy lśnią w ostrym przedpołudniowym słońcu, chód ma lekki, taneczny, jakby nie miała już żadnych zmartwień. Kwiecista sukienka podkreśla sielski stan jej umysłu, wygląda tak zwiewnie, uosobienie maja.

Przy ich domu, od frontu, rośnie rozłożysty krzak fioletowego bzu. Stoję w kuchni, za szybą, ale niemal go czuję. Zapach w mojej głowie

jest odurzający, uwodzi obietnicą czegoś miłego. Kiedy matka wyjmuje rzeczy ze skrzynki, odsuwam się od okna. Nie chcę, żeby mnie zauważyła. Jeszcze nie teraz, mówię sobie. Odgarnia włosy z czoła, uśmiecha się, pobieżnie przeglądając korespondencję, a później zerka na stojący na podjeździe samochód, w którym zostawiła dziewczynki, i uśmiecha się jeszcze promiennie. Wygląda na szczęśliwą, dosłownie bucha z niej radość. Czuję gorycz, rękojeść noża w mojej dłoni jest twarda, zdradziecka. Zaciskam na niej palce, chcę ją czuć, wiedzieć, że tym razem to ja rozdaję karty.

Na ich podjazd wchodzi kot. Jest czarno-biały, dobrze odkarmiony, sprawia wrażenie zadowolonego. Cóż, myślę. Wygląda na to, że w tej okolicy wszyscy są szczęśliwi. Patrzę na jej włosy. Są takie piękne, zawsze były. Nóż w moim ręku zaczyna mi ciążyć, wydaje się żyć własnym życiem, ponaglać mnie. Zrób to! Pokaż jej, ukarż ją!, krzyczy jakiś głos w mojej głowie.

Nagle przypominam sobie Darię, wsparcie, jakie mi okazała w ostatnich miesiącach, i jej miłość, a później konfrontuję je z zachowaniem matki, która mnie odrzuciła, i czuję niemal fizyczny ból na myśl o tym, że ostatecznie kobieta, która mnie urodziła i wykarmiła, nie chciała mnie w swoim nowym, idealnym życiu, chociaż podobno latami tak bardzo pragnęła mnie odzyskać.

Przygryzam wargę tak mocno, że czuję metaliczny posmak krwi. Później wychodzę z kuchni i ruszam przez korytarz w stronę frontowych drzwi.

Kiedy wychodzę na podjazd, ona szuka czegoś w torebce.

Nie widzi mnie, wciąż jestem za jej plecami. Zbliżam się do niej bezszelestnie, jakbym płynęła w powietrzu, unoszę dłoń z nożem i bez wahania zadaję pierwszy cios, zupełnie jakby moją ręką kierowała jakaś niewidzialna, tajemnicza siła. Ostrze dużego kuchennego noża zaskakująco łatwo wchodzi w jej ciało, trafia w sam środek bordowego kielicha kwiatu zdobiącego piękną, rozkloszowaną sukienkę. Spodziewam się krzyku, ale widzę tylko jej oszołomione, zszokowane spojrzenie – odwróciła się twarzą do mnie i w panice uciska zraniony bok,

a przez jej palce przecieka szkarłatna, ciepła krew. Wtedy zadaję drugi cios, a później jeszcze jeden i jeszcze... W absolutnej ciszy, wśród intensywnego zapachu bzu, na wyłożonym kolorową kostką brukową podjeździe rozgrywa się niewyobrażalny dramat, którego świadkiem jest tylko ten obcy, czarno-biały kot.

Matka upada.

Osuwa się na ziemię z zaskakującą gracją, jakby, nawet umierając, miała w sobie coś królewskiego. Jej długie, lśniące włosy rozsypują się wokół głowy, na twarzy wciąż ma wypisany szok i niedowierzanie, do których po chwili dochodzi jeszcze grymas bólu. Kiedy cicho jęczy i usiłuje coś powiedzieć, z jej ust wypływa stróżka krwi. Widok jest upiorny, wstrząsa mną, boli. Cofam się o krok, ale wciąż wpatruję w jej oczy. Nie umiem oderwać od nich wzroku. Porusza ustami, jakby chciała zapytać: „Czemu?“, ale spomiędzy jej warg wydobywa się tylko jakiś dziwny bulgot.

– Przepraszam – szepczę.

Nie czuję przy tym jakichś szczególnych wyrzutów sumienia, ale podejrzewam, że należy jej się chociaż to jedno słowo... Resztki zwykłej ludzkiej przyzwoitości nakazują mi je wymówić i precyzyjnie przeczekać przez usta.

Chwilę później wypuszczam z dłoni zakrwawiony nóż, który upada na kostkę brukową przy jej ciele i nie oglądając się za siebie, uciekam.

Zasłużyła na to, czemu więc jednak chce mi się płakać? Zasłużyła na każdy cios, wmawiam sobie. Czarno-biały kot został na podjeździe. Biegnąc wzdłuż ulicy, wyobrażam sobie, jak nieśmiało podchodzi do leżącego na bruku ciała i czubkiem zwinnego języka zlizuje z niego krew. Huczy mi w skroniach, serce bije szybko, zbyt szybko.

– Zasłużyła sobie na to, zasłużyła, zasłużyła, zasłużyła... – mamroczę pod nosem, skręcając w Klonową.

Krew na moich dłoniach jest nieprzyjemnie lepka. Mimo że zadaję ciosy, lekko zacięłam się w rękę, nie czuję fizycznego bólu, wyłącznie radość z wyrównania rachunków.

Dopiero kiedy wchodzę pod pobliski most, chcąc zebrać myśli, umyć dłonie i uspokoić szaleńczo bijące serce, dociera do mnie, że już nigdy nie usłyszę jej śmiechu, a z mojego gardła wydobywa się gwałtowny, urywany szloch. Szybko się jednak uspokajam, jestem przekonana, że miałam prawo wyrównać rachunki. Ukaralam ją za brak miłości, za to, że nie potrafiła być dla mnie matką. Daria umiała mi to dać, chociaż nie jestem przecież nawet jej Amelią, ale matka nie.

Nie walczyła o mnie, pozbyła się, odpuściła.

Dlatego właśnie ją zabiłam.

Nie wiem, jak długo siedzę pod mostem, ale przypuszczam, że mija sporo czasu, zanim udaje mi się ochłonać na tyle, żeby wytrzeć dłonie w spodnie, napić się wyjętej z plecaka wody i wstać. Droga nade mną przejeżdżają samochody, ale tu, pod filarami starej konstrukcji jest cicho i przyjemnie chłodno. Rzeka płynie wolno, majestatycznie, opływając wrzucony do jej nurtu stary rower i używany fotel z pluszowym obiciem w musztardowym kolorze, który ktoś musiał cisnąć do wody z mostu.

Myślę o tym, co zrobiłam, analizuję to raz za razem, odtwarzam w myślach jej zszokowaną twarz, szkarłatną plamę krwi na jej sukience i własne emocje, które w chwili, gdy wbijałam w jej ciało nóż, skoczyły gwałtownie w stronę zakazanego, gwałtownego podekscytowania. Podobnie czułam się, zabijając Arkadiusza. Polubiłam to, sprawiało mi przyjemność.

Nad moją głową przejeżdża jakieś duże auto, chyba ciężarówka. Kulę ramiona, jakbym się bała, że żelbetonowa konstrukcja mostu zawali mi się na głowę, ale on pozostaje niewzruszony. Upał zdaje się nasilać z minuty na minutę, musi być koło południa, to jeden z tych pięknych majowych dni, które z nostalgią wspomina się zimą. W długi weekend też było ciepło, ale tego dnia jest po prostu gorąco. Lubię taką pogodę, myślę, ściągając buty. Później schodzę po leżących u podnóża betonowej konstrukcji mostu olbrzymich głazach i powoli zanurzam stopy w wodzie. Mimo upału wydaje się przyjemnie chłodna, kontakt z nią sprawia mi przyjemność. Pod mostem leży sporo szkła i rozbitych bu-

telek po piwie, podejrzewam więc, że ostre fragmenty mogą również być w wodzie, ale na razie udaje mi się je omijać. Schylam się i myję ręce, wycieram je w dzinsy i brodzę dalej w rzece, która teraz sięga mi do kolan, aż porzucam padający na moją twarz cień mostu i wychodzę na słońce. Czując na policzkach jego palące promienie, z błogością przymykam oczy i przez dłuższą chwilę się opalam. Wokół brzęczą owady, gdzieś na pobliskich polach pracuje traktor, szosą jedno za drugim mkną auta, jakby ktoś wypuszczał w świat ich niezliczoną liczbę, a one po prostu połykały kolejne kilometry, napojone benzyną, wolne i kolorowe.

Kiedy w końcu wychodzę z wody, czuję kompletny, wszechogarniający spokój. Zniknęło gdzieś towarzyszące mi od miesiący pragnienie bicia głową w mur czy nieustanne poczucie bycia obcą, niedopasowaną. Jestem we właściwym miejscu i czasie, myślę, siadając na betonowej płycie u podnóża mostu. Później dopijam wodę, ciskam butelkę w rosnące nieopodal łopiany i znajduję w plecaku ostatni zbożowy batonik, który kupiła dla mnie ciotka Mariola. Na myśl o niej czuję coś, czego nie potrafię zidentyfikować. Żal, że pewnie więcej jej nie zobaczę? Smutek? Tęsknotę? A może poczucie winy na myśl, że tak bardzo ją zawiodłam. Szybko jednak dociera do mnie, że te uczucia są nieistotne. Liczy się tylko to, czego chcę ja, to, co mnie czeka. Moje życie, moja wolność, mój nowy dzień. Wyrównałam rachunki i idę do przodu. Nikt mnie nie zatrzyma, nikt nie będzie mi już mówił, co mam robić. Nikt. Ani Arkadiusz, ani matka, ani ciotka, do której nie zamierzam wracać.

Jestem wolna, myślę i szeroko się uśmiecham.

Później dzwonię do Darii i wyrzucając z siebie nieskładne, chaotyczne zdania, mówię jej, że wyrównałam rachunki.

– Ona już mnie nie skrzywdzi. Ani mnie, ani ciebie. Zmazałam z jej twarzy to szczęście, odebrałam jej to, co nie należało do niej – mówię do telefonu.

– Czy ty... – Daria urywa, ale przecież wiem, o co chce zapytać.

– Tak, zrobiłam to – szepczę, wciąż skulona pod mostem, z krwawymi plamami na jasnej bluzce, ale przerażająco spokojnym sercem. Zemsta oczyszcza, myślę.

Przynajmniej ja czuję się oczyszczona.

– Gdzie jesteś? – pyta Daria. – Przyjadę po ciebie. Zabiorę cię do siebie, zamieszkaś u mnie. Zasługujesz na coś lepszego niż tkwienie kątem u nudnej ciotki, jak jakiś zbędny mebel, niepotrzebny grat.

– Dzisiaj? – pytam z nadzieją w głosie, bo przecież marzyłam o tym, odkąd pierwszy raz zaprosiła mnie do siebie.

– Oczywiście – słyszę.

Nie widzę jej twarzy, ale czuję, że się do mnie uśmiecha. Jest dobra, miła i wrażliwa, tylko ona tak naprawdę mnie rozumie. Cieszę się, że mnie odnalazła, od tamtego dnia wszystko jest inne, lepsze, mówię sobie w duchu.

– Tęsknię za tobą – wyznaje, chociaż przecież widziałyśmy zaledwie dwa dni wcześniej.

– Ja za tobą też.

– Dobrze zrobiłaś, Iga – zapewnia mnie. – Izabela to był zły człowiek, podła, podstępna kobieta. Dobrze i odważnie – dodaje.

– Wiem – mówię z pełnym przekonaniem.

– Więc? Gdzie jesteś? – pyta ona, ale nagle nachodzą mnie wątpliwości.

Nie mogę tak po prostu z nią zamieszkać, nie po tym, co zrobiłam. Znała moją matkę, były powiązane osobą Wojciecha, policja w końcu na pewno by mnie u niej znalazła, myślę.

– Odezwę się do ciebie – obiecuję jej. – Za jakiś czas. Bo teraz muszę jeszcze coś zrobić.

– Co? Iga, co musisz... Daj spokój, teraz musisz ochłonać, odpocząć. Pozwól mi się sobą zaopiekować – przekonuje mnie i w końcu się poddaję.

Ona ma rację, mówię sobie w duchu po dłuższej chwili niepewności. To właśnie teraz potrzebuję jej tak bardzo, jak nigdy wcześniej, do-

ciera do mnie i podaję jej lokalizację, w której się zaszłam, szczegółowo opisując okolicę i drogę przy moście.

Później znowu wchodzę do wody, nie wiem czemu, ale brodzenie w jej chłodnym nurcie sprawia mi nieprawdopodobną radość, dosłownie nie potrafię wyjść spod tego mostu, który dał mi cień, miejsce na zebranie myśli i kojący chłód przepływającej pod nim rzeki. Brodę w wodzie, spaceruję. Stawiam kroki ostrożnie, chodzę po oślizgłych, porośniętych zielonym mchem głazach, mulistym dnie i kamykach, które boleśnie ranią mi stopy, ale to przyjemny ból i całkiem znośny.

Po jakimś czasie słyszę przeciągłe, nasilające się wycie syren, ale nawet przez chwilę nie przechodzi mi przez głowę, że mają jakikolwiek związek ze mną. Stoję w wodzie, czując promienie słońca na twarzy, ciesząc się ciepłem pięknego majowego dnia. Na niebie nie ma ani jednej chmurki, świat wydaje się prawie idealny. Syreny wyją już gdzieś obok, ciężko ten dźwięk ignorować, rodzi we mnie niepokój. Kiedy widzę zbiegającego po skarpie młodego gliniarza, nadal stoję w wodzie. Gapię się na niego, a on gapi się na mnie. Nad moją głową, gdzieś na moście, pojawia się kolejny radiowóz, z oddali słyszę wycie kolejnej syreny, później wszystko zaczyna się toczyć w zwolnionym tempie, jakby czas przystanął.

Daria!, dociera do mnie. To ona ich wezwała, zdradzając mnie. Tylko ona wiedziała, gdzie jestem, tylko jej powiedziałam, co zrobiłam.

Przez chwilę stoję nieruchomo, usiłując poukładać sobie w głowie to, co mi zrobiła. Więc to był blef – jej propozycja wspólnego zamieszkania, to, że mnie wspiera i chwali za to, co zrobiłam? A może jednak śmierć mojej matki ją ucieszyła, ale nie chciała mieć już nic wspólnego ze mną? Zemściła się na rywalce, która odebrała jej męża, i zrobiła to moimi rękoma. Do niczego nie jestem jej już potrzebna, myślę i zaczynam płakać.

Policjanci każą mi wyjść na brzeg, ich głosy są ostre, ponagląjące.

Przez chwilę zastanawiam się, czy jakimś cudem mogłabym im uciec, ale szybko przychodzi jasny osąd sytuacji – jestem w potrzasku.

CZEŚĆ CZWARTA – LALECZKA VOODOO

24
DARIA

Robię sobie drinka i zasiadam w salonie, przed włączonym telewizorem, w którym zaraz rozpoczną się wiadomości. Sprawa brutalnie zamordowanej przez nastoletnią córkę matki, która latami czekała na jej odnalezienie poruszyłaby opinię publiczną wystarczająco, ale to, co się stało z bliźniaczkami... Cóż, nazwę to wisienką na torcie... Dziewczynki zmarły w aucie, zanim ktokolwiek zdołał zauważyć leżące na podjeździe zwłoki ich matki i wezwać pomoc – tamtego przedpołudnia był duży upał, a przecież wystarczy ponoć dziesięć minut, żeby temperatura w zamkniętym samochodzie podniosła się do czterdziestu dwóch stopni. W dwadzieścia minut w aucie jest prawie pięćdziesiąt. Nie pamiętam, gdzie to czytałam, ale byłam w szoku, zdając sobie sprawę, jak szybko może dojść do tragedii, zwłaszcza w przypadku małych dzieci. A bliźniaczki nie miały jeszcze dwóch lat, nic więc dziwnego, że zamknięte w wozie Izabeli, niczym w piekarniku, podążyły w zaświaty tuż za bestialsko zaszlachtowaną matką, poszerzając grono aniołków. Ich los początkowo nawet nieco mnie wzruszył, w końcu to były takie maleństwa, ale szybko przestałam się tym zadreć – dzieci umierają, taki jest świat. Giną w tragicznych wypadkach, podczas klęsk żywiołowych i katastrof, a bywa, że z rąk własnych rodziców, czy jakichś przypadkowych zwyrodnialców, jak moja Amelia. Ich życie jest równie kruche, co nasze, dorosłych, a może jeszcze bardziej, bo w przeciwieństwie do nas są takie bezbronne.

Pijąc kolejnego drinka, wpatruję się w ekran – ubrana w białą sukienkę o prostym kroju młoda dziennikarka ze spiętymi gładko włosami relacjonuje właśnie to, co kilka dni wcześniej zastała na podjeździe Izabeli jedna z sąsiadek, która zauważyła ciało.

– W to, że nastoletnia dziewczyna zadźgała własną matkę ciężko nam wszystkim uwierzyć, ale jej obojętność wobec losu przyrodnych siostrzyczek wydaje się wręcz diaboliczna... Po tym, jak nastolatka zadała matce śmiertelny cios, najprawdopodobniej cisnęła narzędzie zbrodni na bruk i uciekła, nawet przez moment nie zastanawiając się nad losem pozostawionych w aucie, nadal siedzących w fotelikach, bezbronnych dzieci. Czy łudziła się, że tu, w tej cichej, peryferyjnej uliczce, ktoś szybko je znajdzie, nie zdając sobie sprawy, jak śmiertelnie niebezpieczną pułapką jest rozgrzany, pozostawiony w pełnym słońcu samochód? A może było jej to zupełnie obojętne? Ofiara wysiadła z auta, żeby zajrzeć do skrzynki i najprawdopodobniej natychmiast zamierzała wyjąć córeczki z fotelików, żeby zabrać je do domu. Nie przewidziała tylko jednego: że dokładnie w tym momencie zaatakuje ją jej własna córka, która w jakimś amoku rzuci się na nią z nożem... Co skłoniło tę dziewczynę do zrobienia czegoś tak nieludzkiego? Co zaszło między matką a córką? Być może nigdy się tego nie dowiemy...

Dziennikarka przerywa na chwilę i w tle widać przebitki na okolicę domu.

– Nastolatka uparcie milczy – kontynuuje, kiedy wraca na wizję – od chwili zatrzymania nie powiedziała nawet słowa. Jej biologiczny ojciec nie wie, jakie były ostatnio ich relacje, trzymał się raczej z dala od konfliktów między matką i córką, a ojczym przebywa w zakładzie psychiatrycznym, po tym jak usiłował odebrać sobie życie po śmierci żony oraz córek, i również niczego nam nie wyjaśni, przynajmniej nie w najbliższym czasie. Sąsiedzi mówią, że to była, tu cytuję: dobra, spokojna rodzina. Czysty dom, zadbane dzieci, uśmiechnięci ludzie. Żadnej wódki, żadnej patologii, głośnych imprez czy odwiedzającego ich szemranego towarzystwa. Matka wyglądała na wprost wpatrzoną w swoje córeczki, on wyglądał na zakochanego w żonie i uwielbiającego ich wspólne dzieci, nic nie wskazywało ponoć na to, że może tu dojść do jakiegokolwiek tragedii... Jak pani sądzi, co kierowało córką, która zrobiła coś tak niewyobrażalnego? – Nagle dziennikarka zwraca

się do jednej z sąsiadek, które stoją przed domem Izabeli i Wojciecha, a starsza, kasztanowłosa kobieta z siwizną w kilkucentymetrowym odroście zaczyna płakać.

– Nie wiem – mówi. – Boże drogi, nie wiem... Przecież to jest nie do wyobrażenia... Ja tę dziewczynę widywałam rzadko, ale wydawała mi się dziwna. Ponura, zamknięta w sobie, jakaś taka odstręczająca.

– Przypomnę, że ona również przeżyła tragedię, kiedy została porwana jako dziecko i zabrana od rodziny – mówi dziennikarka, a kobieta wzrusza ramionami.

– A nawet jeśli tak, to co? Czy to jest powód, żeby zabijać własną matkę? Co one teraz mają w głowach, te młode? Od tych gier powariowały chyba, albo od tego telewizora – mówi jeszcze kobieta.

– Ta młoda to często się tu kręciła. Bywało, że gapiła się na dom, zwłaszcza wieczorami. Widywałem ją, wychodząc z psem, ale jakoś tak się nigdy nie złożyło, żebyśmy zamienili nawet dwa słowa – odzywa się stojący obok dziennikarki starszy, wąsaty facet.

Pogląsniam telewizor, bojąc się, że stracę coś z wypowiedzi świadków, i przyglądam się obrazowi z kamery, która robi właśnie najazd na fasadę zadbanego domu Izabeli i Wojciecha oraz pełen maskotek, kwiatów i zniczy, wyłożony kolorową kostką brukową podjazd, na którym kilka dni wcześniej zginęła matka Igi, a w aucie zmarły bliźniaczki.

Myśląc o Idze, krzywo się uśmiecham. Od początku chciałam ją manipulować, jak tylko się dowiedziałam, że się odnalazła i wróciła do domu. Zamknięta w sobie, z silnym poczuciem odrzucenia, okazała się idealnie łatwym celem, a ja szybko owinęłam ją sobie wokół palca. Oczywiście nie planowałam zabójstwa Izabeli, aż tak machiaweliczna nie jestem. Wyobrażałam sobie wiele różnych zemst, jakich dokonam rękoma współpracującej ze mną Igi, ale morderstwo... Zrobiła to sama, przypuszczam, że bez planu i spontanicznie, ale być może pod wpływem moich słów – wielokrotnie sugerowałam jej przecież, że matka za mało się o nią stara, że ja bardziej walczyłabym o córkę, gdybym miała okazję ją odzyskać. Cóż, okazało się, że ziarno padło na

podatny grunt, a jej nienawiść do mojej rywalki eskalowała i pęczniała, aż w końcu wybuchła.

Dopijając drinka, wyobrażam sobie Igę rzucającą się z nożem na Izabelę i czuję dreszczyk rozkoszy, przyjemne mrowienie w podbrzuszu. Nienawidziłam tej suki od dnia, w którym dowiedziałam się, że ma romans z Wojtkiem, i życzyłam jej wszystkiego, co najgorsze, ale tego, że zginie z rąk własnej córki, nie przewidziałam.

Ściszam telewizor, zresztą w wiadomościach mówią już o czymś zupełnie innym niż śmierć Izabeli i dziewczynek, a później przełączam kanał, trafiając na dyskusję o pladze umierających w rozgrzanych samochodach dzieci – w USA takich przypadków jest ponoć kilkanaście rocznie, a to, co spotkało bliźniaczki, na nowo wywołało temat, zwłaszcza u progu gorącego lata.

– W przypadku małego dziecka, które może umrzeć w rozgrzanym samochodzie już nawet w czterdzieści minut, trzeba pamiętać... – mówi jakaś ekspertka w zielonej garsonce, ale nie chce mi się słuchać.

W przeciwieństwie do tego, co spotkało Izabelę, tragiczna śmierć bliźniaczek nie sprawia mi większej radości, nie zamierzam się nią ekscytować czy napawać, a już z całą pewnością nie mam ochoty słuchać pieprzenia tej paniusi, myślę, przełączając kanał na kolejny. Tu mówią jednak o jakimś koszmarnym wypadku szkolnego autokaru i w końcu, zmęczona, wyłączam telewizor.

Siedząc na sofie, myślę o Idze. Jest wczesny wieczór, za oknem jeszcze jasno, w pokoju zrobiło się duszno, a ja jestem podpita. Kiedy do mnie zadzwoniła, mówiąc, że na dobre zgasiła uśmiech na twarzy matki, od razu zrozumiałam, do czego doszło. Jakbym miała jakieś przeczucie. A później wyciągnęłam z niej, gdzie jest, nakłamałam, że po nią przyjadę, po czym, udając szok, zadzwoniłam prosto na policję, mówiąc, że córka mojej dawnej przyjaciółki chyba zrobiła jej coś złego. Rozmawiając z dyspozytorką, starałam się sprawiać wrażenie wstrząśniętej – udawałam, że płaczę i błagałam, żeby pomogli Izabeli. Nie chciałam jednak, żeby zbyt szybko do niej dotarli, na wypadek gdyby przeżyła atak, więc udawałam, że nie pamiętam jej nowego adresu.

Igę znaleźli jednak szybko i zabrali na komendę prostu pod mostu, pod którym się przyczaiła. Do jej osiemnastych urodzin brakowało niecałych dwóch tygodni i zastanawiam się, czy w obliczu wyjątkowego bestialstwa, jakiego się dopuściła, wymiar sprawiedliwości będzie ją sądzić jako nieletnią, czy może odpowie już jako osoba dorosła.

Robiąc sobie kolejnego drinka, wyglądam przez okno i myślę o Wojciechu. Jest w szpitalu, podobno w fatalnym stanie, gdzie trzymają go na psychiatrii po tym, jak kompletnie pijany wjechał autem do jeziora, chcąc się zabić. Tylko fart, że na brzegu był przebywający w okolicy na urlopie komandos, który wyciągnął go z napełniającego się wodą wozu, sprawił, że udało mu się przeżyć. Żal mi go, serce mi się kraje na myśl o tym, co przeżywa, bo przecież wciąż go kocham, ale pocieszam się, że najgorsze już za nim. Jest wolny. Uwolnił się od tej zdziry, która zagięła na niego parol i podstępnie rozbiła naszą rodzinę, nie ma już małych dzieci, które by go przy niej trzymały, i kto wie, może za rok czy dwa, wróci do mnie i do domu, myślę.

Później wyjmuję z szuflady ponakłuwaną szpilkami laleczkę voodoo, którą zamówiłam w sieci, kiedy Izabela była w ciąży, uśmiecham się na jej widok i wciskam ją z powrotem do pudełka, znacznie głębiej pomiędzy leżącą w szufladzie bielizną.

Spełniła swoje zadanie, więcej nie będzie mi potrzebna, myślę.

Tato wpada pół godziny później, przynosi mi chałkę i pyta, jak się czuję. Udaje, że zajrzał w drodze do znajomych, ale wiem, że to po prostu rutynowa kontrola – przyszedł sprawdzić, jak bardzo jestem już pijana, czy nie leżę gdzieś na podłodze z rozbitą głową i czy się czegoś nie nałykałam, albo nie podciąłam sobie żył. Ale nie, więcej tego nie zrobię. Teraz, kiedy zniknęła ta zdradziecka zdzira Izabela, ja znowu mam ochotę żyć, planować i marzyć, jakbym zaczynała coś od nowa. Wojtek znowu jest wolny, powtarzam sobie i chce mi się skakać ze szczęścia. Odzyskam go, obiecuję sobie co wieczór, zanim zasypiam wtulona w jego stary wełniany sweter. Odzyskam go za wszelką cenę, choćbym miała poświęcić na to całą resztę swojego życia!

Ale najpierw sama muszę stanąć na nogi, dlatego lada dzień koniec z wodą, później szukanie pracy i w końcu jakoś się pozbieram.

– Wszystko u mnie dobrze, tato – mówię, zanim go przytulam. – Jestem tylko trochę zmęczona i wypięłam dwa słabe drinki – kłamię, bo przecież wypięłam trzy, mocne.

Nazajutrz jadę odwiedzić Wojciecha. Do kliniki psychiatrycznej, w której go umieszczono, wpuszczają mnie bez problemu, bo oficjalnie nadal jestem przecież jego żoną.

– Cześć, kochanie – mówię, wchodząc do pokoju, w którym przebywa. – Przyniosłam ci wodę, mandarynki i coś dobrego do czytania – mówię, kładąc na stoliku nocnym dwa kryminały i „Politykę”, chociaż, na moje oko, Wojciech wygląda tak, jakby nie był nawet w stanie przeczytać etykiety na słoiku z dżemem.

Ma pusty wzrok, nie reaguje na moją obecność, a z kącika ust spływa mu wąska strużka śliny. Wycieram ją i głaszczę go po głowie, starając się nie zauważać paskudnej, szerokiej i wciąż nie do końca zagojonej szramy na jego czole, której nabawił się podczas próby samobójczej.

– Wyglądasz, jakby zafundowali ci tu co najmniej lobotomię – mówię cicho, przeczesując mu włosy palcami.

Wtedy on zaczyna się kiwać, w przód i w tył, jak osieroczone dziecko, a z jego ust wydobywa się cichy, bolesny jęk.

– Ćśśś, kochanie – mówię, tuląc jego głowę do piersi. – Już dobrze, wszystko będzie dobrze. Niedługo zabiorę cię do domu, zajmę się tobą.

Wojciech nie odpowiada, ale nie mam mu tego za złe. Nie wygląda dobrze, a ja rozumiem, że w pierwszej kolejności musi dojść do siebie. Całą resztą będziemy się martwić później. Najważniejsze jest dla mnie to, że jak tylko będzie to możliwe, zabiorę go do domu. Zajmę się nim, otoczę go troskliwą opieką i będę kochać tak mocno, aż przypomni sobie nasze dawne życie, szczęśliwe i udane małżeństwo. Dam mu wszystko i, kto wie, może po kilku latach przekłęta Izabela i jego krótki, cudzołożny związek z tą dziwką staną się tylko odległym, mgli-

stym wspomnieniem? Myślę o tym, tuląc jego obojętne na bodźce, bezwładne ciało.

– Proszę nie przemęczać pacjenta – odzywa się młoda pielęgniarka, która bezszelestnie zjawia się w jego pokoju z tacą pełną leków.

– To mój mąż i zapewniam panią, że wiem, co robię – odpowiadam jej ostro, wyniośle, a ona się peszy i cicho mnie przeprosza.

Kiedy wychodzi, pochylam się i całuję Wojciecha w usta, starając się nie myśleć o tym, że kilka minut wcześniej zastałam go nieapetycznie zaślinionego.

– Kocham cię, kotku – szepczę mu na ucho. – A wszystko, co złe, już za nami.

W odpowiedzi Wojciech przeciągle jęczy, ale ja tylko się uśmiecham.

Ludzie myślą, że jestem krucha, nadwrażliwa i słaba. Nie wiem, może to kwestia mojej fizjonomii i szczupłej, dziewczęcej sylwetki. Cóż, nie wyprowadzam ich z błędu, bo po co miałabym to robić? Dopiero z czasem dowiadują się, że ja zawsze, za wszelką cenę, stawiam na swoim. Zawsze.

KONIEC

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Cytat

CZĘŚĆ PIERWSZA – ONI ZROZUMIEJĄ

1. IZABELA

2. DARIA

3. IZABELA

4. DARIA

5. IZABELA

6. DARIA

7. IZABELA

8. DARIA

9. IZABELA

10. DARIA

11. IZABELA

12. DARIA

CZĘŚĆ DRUGA – TO, CO NIE NASZE

13. IZABELA

14. IZABELA

15. IZABELA

16. IZABELA

17. IZABELA

18. IZABELA

19. IZABELA

CZEŚĆ TRZECIA – DZIEWCZYNA, KTÓRA WRÓCIŁA Z PIEKŁA

20. IGA

21. IGA

22. IGA

23. IGA

CZEŚĆ CZWARTA – LALE CZKA VOODOO

24. DARIA

Karta redakcyjna

Copyright © by Sonia Rosa, 2022
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Yolande de Kort / Trevillion Images

Redakcja: Kamila Reclaw
Korekta: Joanna Błakita
Skład i łamanie: Andrzej Owsiany

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-966-4

FILIA

Grupa Wydawnicza Folia Sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofolia.pl
kontakt@wydawnictwofolia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.